BALZAC

KOMEDJA LUDZKA

Dwaj poeci

ARCYDZIEŁA LITERATURY FRANCUSKIEJ
„BIBLJOTEKA BOY'A"

Dwaj poeci

Honoré de Balzac

Bibljoteka Boya, Warszawa, 1930

Pobrano z Wikiźródeł dnia 22 września 2025

B A L Z A C

K O M E D J A L U D Z K A

D w a j p o e c i

Od tłumacza
Dwaj poeci

ARCYDZIEŁA LITERATURY FRANCUSKIEJ
„BIBLJOTEKA BOY'A”

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [Honoré de Balzac](#) i tłumacza: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

OD TŁUMACZA

Powieść niniejsza jest pierwszym ogniwem cyklu, który znowuż stanowi jakgdyby kręgosłup *Komedji Ludzkiej* Balzaka, łącząc jej mniej lub więcej luźne żebrowania. Miałem już sposobność zaznaczyć, jak bardzo zyskuje dzieło Balzaka na ujęciu go z perspektywy całości; to iż w ostatnich dziesiątkach lat w Polsce genialny ten pisarz budził tak słabe stosunkowo zainteresowanie, ma niewątpliwie przyczynę w okoliczności, iż dawniejsze polskie wydawnictwa w osobliwy sposób pominęły właśnie te utwory, które pozwalają skupić świat *Komedji Ludzkiej* w organiczną całość. Jakgdyby zgodnie z poglądami Balzaka na potężną rolę myśli w całokształcie zjawisk, tłem, na którem się rozwija ten centralny niejako cykl powieści — *Dwaj poeci*, *Stracone Złudzenia*, *Cierpienia wynalazcy*[1] — jest warsztat myśli ludzkiej, ujęty, jak zawsze u Balzaka, możliwie szeroko, wraz z wszystkiem co doń przynależy: od skromnej drukarni na prowincji, gdzie samotny myśliciel waży wynalazki mające przetworzyć technikę książki i czasopism, od ubogiej izdebki paryzkiego poddasza, gdzie również myśliciel-asceta, poczyna, w klasztornej ciszy i skupieniu, wielkie dzieła, aż do najjaskrawszych przybytków rozpusty ducha, błyszczącego świata teatrów, dziennika i wielkiego księgarstwa paryzkiego. A ten świat, niby tysiącznemi mackami, styka się z dziedzinami polityki,

finansów, dyplomacji, przemysłu, zbytku, prostytucji i zbrodni.

W chronologji *Komedji Ludzkiej* (t. zn. chronologji jej akcji, nie powstawania dzieł), cykl ten zajmuje, obok *Ojca Goriot*, miejsce jedno z najwcześniejszych. Chronologja ta rozpoczyna się mniejwięcej zgodnie z wejściem w życie samego Balzaka, t. j. około r. 1820; zapoznanie się zaś z paroma rysami życia pisarza objaśni nam mechanizm przerabiania się w nim wrażeń i przeżyć osobistych w twórczy materjał; wskaże nam, ile z siebie, z krwi swojej serdecznej włożył ten *najobjektywniejszy* ze wszystkich pisarzy w każdą ze stworzonych przez siebie postaci. Początki zawodu piśmienniczego Balzaka nie były łatwe. Zawodu tego chwycił się wbrew woli rodziny, nie wierzącej, wraz z bliższem otoczeniem, w jego talent, nie mającej zresztą środków na zapewnienie mu swobody i niezależności. Aby móc pisać, trzeba żyć; aby móc żyć, trzeba pisać: to błędne koło problematu wtrąca Balzaka na drogę fabrykowania na urząd ladajakich romansów, — czasem na współkę z siostrą! — które zresztą podpisuje zmyślonem nazwiskiem i których nigdy nie uznał publicznie za swoje. Ta pisanina miała mu zapewnić byt materjalny i swobodę poświęcenia się swoim już, prawdziwym dziełom. Ale rychło spostrzega młody utopista beznadziejność tej pracy, która daje ledwie tyle aby nędznie wyżyć, a równocześnie pochłania cały czas i zużywa siły; dlatego ciągle mu się roją w głowie jakieś wynalazki, przedsiębiorstwa, które, mocą śmiałego i szczęśliwego rzutu myśli, dałyby mu w krótkim czasie fortunę i

niezależność. Zamówienia przez księgarza przedmowa do dzieł La Fontaine‘a wprowadza Balzaka na tę rzekomą drogę do fortuny. Wpada na pomysł — nowy wówczas i w zasadzie szczęśliwy — stworzenia tanich wydawnictw klasyków; wchodzi w spółkę, zakupuje małą drukarnię w Paryżu, i, z oszołomionego gorączką sławy młodego pisarza, przedzierzga się na kilka lat w drukarza i wydawcę. Pani de Berny, owa kochanka-matka, jedyna która wierzyła w przyszłość Balzaka i wszystko była gotowa jej poświęcić, ułatwia mu rozpoczęcie tego przedsiębiorstwa, opartego głównie na kredycie. Tanie wydawnictwa — później, po upadku Balzaka-wydawcy, przejęte przez księgarzy i zmienione w doskonały interes — kończą się kompletnem fiaskiem i deficytem; nie mogąc się pogodzić z katastrofą, Balzak brnie coraz głębiej w imprezy przemysłowe, rozszerza drukarnię, zakupuje do spółki odlewnię czcionek, szamoce się, walczy, aż wreszcie, po trzech latach, pada obciążony 70.000 franków długu — sumą olbrzymią jak na owe czasy i na jego pozycję socjalną w danej chwili! — powodując tą katastrofą śmierć ojca ze zgryzoty, ruinę finansową matki i stwarzając dla siebie zobowiązania, pod których ciężarem będzie się uginał całe życie.

Ten epizod z życia pisarza potrzebny był do zrozumienia, ile z niego samego, z własnych przeżyć i wzruszeń, wchodzi zarówno w ambitne i niecierpliwe marzenia Lucjana, jak w „trzeźwe“ kalkulacje skromnego Dawida. Każdego z nich obdzielił Balzak cząstką swej bogatej indywidualności, której zresztą, prócz tych dwu postaci, starczyło na cały świat jeszcze. Interesującem jest, iż,

kreśląc fizyczny portret Dawida, Balzak odmalował niemal żywcem samego siebie; jeżeli zaś ukochanej jego dał imię Ewy, to dlatego, aby, pod tem przebraniem, móc oświadczać się swej dalekiej *quasi*-narzeczonej, Ewie Hańskiej, dla której tak samo — przez całe życie, niestety! — budował plany spokojnej i szczęśliwej przyszłości, wciąż odsuwające się w niknące perspektywy.

Jak w wielu innych utworach Balzaka, tak i tutaj uderzającą jest stosunkowa nikłość akcyi w porównaniu do szeroko i aż nazbyt drobiazgowo podmalowanego tła; bo też, powieść ta, bardziej jeszcze niż inne, jest organiczną cząstką większej całości. Zresztą, tło — jeden z warjantów tak nienawistnego Balzakowi życia prowincji — nakreślone jest z takiem mistrzostwem, iż, mimo tylokrotnego powtarzania się satyry antyprowincjonalnej w nowożytnej beletrystyce, niewiele chyba zdołała ona dodać do pierwszego a tak bardzo ostatecznego jej ujęcia w licznych utworach Balzaka. Obraz ten prowincji zyskuje jeszcze na głębi przez kontrast z drugą częścią cyklu *(Stracone złudzenia)*, której treścią są dalsze losy Lucjana i pani de Bargeton w Paryżu.

Kraków, w grudniu 1918.

1. ↑ Cykl ten obejmują nowsze francuskie wydania Balzaka pod wspólnym tytułem *Stracone złudzenia*; w

osobowym związku z tym cyklem pozostają dalej *Blaski i nędze życia kurtyzany*, oraz *Ostatnie wcielenie Vautrina*.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Boy-Żeleński.*

DWAJ POECI[1].

W epoce gdy się zaczyna to opowiadanie, prasa Stanhopa i rulony do farby drukarskiej nieznane były jeszcze w małych drukarniach na prowincji. Mimo specjalności, dzięki której miasto to styka się wciąż z typografją paryską, Angoulême posługiwało się wciąż prasą drewnianą, któremu-to instrumentowi język zawdzięcza wyrażenie „jęczenie prasy“, obecnie przebrzmiałe. Zacofane drukarnie używały jeszcze poduszeczek skórzanych napojonych farbą, któremi robotnik pocierał ręcznie czcionki. Ruchoma płyta, na której spoczywa pełna czcionek *forma*, była jeszcze z kamienia i usprawiedliwiała nazwę *marmuru*. Zwycięskie dziś prasy mechaniczne tak dalece wtrąciły już w zapomnienie ów system, któremu, mimo jego niedoskonałości, zawdzięczamy piękne wydawnictwa Elzewirów, Plantynów i Didotów, że trzeba nam wspomnieć tu nieco o starych narzędziach, do których Hieronim Séchard żywił zabobonne przywiązanie, odgrywają one bowiem rolę w tej małej a zarazem dużej opowiastce.

Ów Séchard, był to dawny robotnik przy prasie, z tych, których, w gwarze drukarskiej, robotnicy zajęci składaniem nazywają *niedźwiedziami*. Ruch naprzód i wstecz, dosyć podobny do ruchu niedźwiedzia w klatce, którym drukarze

poruszają się od kubła z farbą do prasy i od prasy do kubła, stał się zapewne źródłem tego przydomku. Nawzajem, *niedźwiedzie* nazwali składających czcionki *małpami* dla nieustannych ruchów, jakie wykonywują, czerpiąc czcionki w stu pięćdziesięciu dwóch przegródkach, w których się mieszczą. W smutnej pamięci epoce 1793, Séchard, liczący około pięćdziesięciu lat, właśnie się ożenił. Wiek i świeże małżeństwo ocaliły go od masowego poboru, który powołał prawie wszystkich robotników do armji. Stary niedźwiedź był sam w drukarni, której pryncypał umarł właśnie, zostawiając bezdzietną wdowę. Zakładowi groziła ruina; samotny *niedźwiedź* niezdolny był przeobrazić się w *małpę*; mimo iż drukarz, nie nauczył się czytać ani pisać. Bez względu na jego nieudolność, reprezentant ludu, któremu pilno było rozpowszechniać dekrety Konwentu, ozdobił Sécharda dyplomem majstra drukarskiego, i zarekwirował jego zakład. Przyjąwszy ten niebezpieczny dyplom, obywatel Séchard spłacił wdowę po pryncypale, oddając jej oszczędności żony, któremi zapłacił inwentarz drukarni nabywszy go za pół ceny. To jeszcze nic. Trzeba było drukować, bez chyby i odwłoki, dekrety republikańskie. W tych trudnych okolicznościach, Hieronim-Mikołaj Séchard miał to szczęście, iż trafił ma szlachcica z pod Marsylji, który nie chciał ani emigrować aby nie postradać dóbr, ani pokazywać się aby nie stracić głowy, a który mógł zarobić na życie jedynie jakąś pracą. Hrabia de Maucombe wdział tedy skromną katanę prowincjonalnego zecera: składał, przeglądał i sam poprawiał dekrety skazujące na śmierć obywateli, którzy ukrywali kogoś ze szlachty; *niedźwiedź*,

który stał się pryncypałem, tłoczył je, rozlepiał, i obaj zostali zdrowi i cali. W r. 1795, gdy chmura terroru przeszła, Mikołaj Séchard musiał szukać innego chwata, któryby mógł być zecerem, korektorem i metrampażem. Pewien ksiądz, który później za Restauracji został biskupem, wówczas zaś wzbraniał się złożyć przysięgi, zastąpił hrabiego de Maucombe, do dnia w którym Pierwszy Konsul przywrócił religję katolicką. Hrabia i biskup spotkali się później na jednej ławce w Izbie Parów. W 1802, Hieronim-Mikołaj Séchard wciąż nie umiał czytać, jak w 1793-im; ale w zamian, odłożył sobie dość ładny fundusik aby opłacać zecera. Dawny robotnik, tak pełen beztroski o przyszłość, stał się groźnym pryncypałem dla swoich *małp* i *niedźwiedzi*. Skąpstwo zaczyna się tam, gdzie ubóstwo się kończy. Z dniem, w którym drukarz ujrzał możliwość uciułania fortuny, interes rozwinął u niego inteligencję zawodową, chciwą, podejrzliwą, przenikliwą. Praktyka jego urągała teorji. Doszedł do tego, iż jednym rzutem oka oceniał cenę stronnicy i arkusza, w każdym rodzaju pisma. Dowodził naiwnym klientom, że składanie dużemi czcionkami wypada drożej niż drobnemi; kiedy znów chodziło o małe, powiadał, że manipulacja jest trudniejsza. Ponieważ *skład* był działem typografji na którym nie rozumiał się nic, tedy w obawie, aby go nie oszukiwano, godził się jedynie *na akord*. Jeżeli składacze pracowali na godziny, oko starego nie opuszczało ich ani na chwilę. Kiedy dowiedział się, że fabrykant jakiś jest w kłopocie, skupywał za bezcen papier i gromadził go. Toteż w tej epoce był już właścicielem domu, w którym drukarnia

mieściła się od niepamiętnych czasów. Szczęściło mu się w każdym kierunku: owdowiał i miał tylko jednego syna; umieścił go w liceum, nietyle aby mu dać wykształcenie, ile aby sobie przygotować następcę. Obchodził się z nim surowo, aby przedłużyć trwanie władzy ojcowskiej. I tak, w dnie wolne, kazał mu pracować przy *składzie*, upominając aby się nauczył zarabiać na życie, tak aby się kiedyś odwdzięczył biednemu ojcu, który krwi sobie upuszcza aby go wychować. Po wyjeździe księdza, Séchard zrobił protem[2] zecera, którego przyszły biskup wskazał mu jako uczciwego i inteligentnego człowieka. W ten sposób, starowina zapewnił sobie możność doczekania chwili, w której syn będzie mógł prowadzić zakład, i rozszerzy go młodemi i umiejętnemi rękami. Dawid Séchard ukończył w liceum angulemskiem świetne studja. Mimo iż, wyrósłszy z *niedźwiedzia*, bez wykształcenia i wychowania, stary Séchard dosyć lekceważył wiedzę, wysłał syna do Paryża, aby tam studjował typografję. Równocześnie, zalecił mu usilnie, aby sobie uskładał sporą sumkę w mieście które nazywał rajem robotników, radząc zgoła nie liczyć na sakiewkę ojcowską. Kształcąc się w swoim zawodzie, Dawid dokończył równocześnie w Paryżu edukacji. Prot firmy Didotów stał się uczonym. Z końcem roku 1829, Dawid Séchard opuścił Paryż, gdzie nie kosztował ojca ani szeląga; stary powołał go aby objął ster interesu. Drukarnia Mikołaja Séchard posiadała wówczas jedyny dziennik ogłoszeń sądowych w departamencie, dalej roboty prefektury i biskupstwa; trzy klientele, które powinny dać w ręce fortunę młodemu człowiekowi umiejącemu wziąć się

do rzeczy.

Właśnie w tej epoce, bracia Cointet, fabrykanci papieru, kupili patent drugiej drukarni w Angoulême, którą dotąd stary Séchard umiał doprowadzić do zupełnej nieczynności. Pomagały mu w tem przesilenia militarne, które, za Cesarstwa, zdławiły wszelki ruch przemysłowy. Z tej przyczyny, zaniedbał ją nabyć; a oszczędność ta stała się źródłem ruiny dla starej drukarni. Dowiadując się o tej nowinie, stary Séchard pomyślał z zadowoleniem, że walka, która rozpocznie się pomiędzy jego zakładem a braćmi Cointet, spadnie na syna a nie na niego.

— Mnieby djabli wzięli, pomyślał; ale wychowanek Didotów da sobie radę.

Siedmdziesięcioletni starzec wzdychał do chwili, w której będzie mógł żyć wedle swych upodobań. O ile miał mało wiadomości w typografii, o tyle uchodził za niezmiernie mocnego w sztuce, którą robotnicy nazwali żartobliwie *łykografją*, sztuce wielce cenionej przez boskiego autora *Pantagruela*, ale której kult, prześladowany przez stowarzyszenia żeglujące pod flagą „*wstrzemięźliwości*“, z każdym dniem idzie w zaniedbanie. Hieronim Mikołaj Séchard, wierny losowi, który wytyczyło mu jego nazwisko[3], obdarzony był nieugaszonem pragnieniem. Żona jego długo utrzymywała w umiarkowanych granicach tę namiętność do tłoczonej winnej jagody, upodobanie tak naturalne u *niedźwiedzi*, że pan de Chateaubriand zauważył je u prawdziwych niedźwiedzi w Ameryce; ale filozofowie stwierdzili, iż przyzwyczajenia młodego wieku wracają tem silniej w

starości. Séchard był potwierdzeniem tego prawidła: im bardziej się starzał, tem więcej lubił pić. Namiętność ta wyciskała na jego niedźwiedziej fizjognomji piętno, które czyniło ją oryginalną: nos przybrał wzrost i kształty wielkiego A, policzki, upstrzone siecią żyłek, podobne były do listków wina pełnych fiołkowych, purpurowych, fantastycznie sfalowanych wypukłości; rzekłbyś, potworny trufel w liściu winnej latorośli. Ukryte pod dwiema gęstemi brwiami, podobnemi dwom krzewom przyprószonym śniegiem, małe szare oczki, w których skryło się chytre skąpstwo zabijające w tym człowieku wszystko, zgoła uczucie ojcostwa, lśniły sprytem nawet w stanie opilstwa. Głowa łysa, ale okolona siwiejącemi, kręcącemi się jeszcze włosami, przywodziła na myśl Franciszkanów z powiastek La Fontaine‘a. Był krótki i brzuchaty jak owe lampki, które zużywają więcej oliwy niż knota; wszelkie bowiem nadużycie popycha ciało na drogę, do której z natury jest skłonne. Opilstwo, jak praca umysłowa, tuczy tłustego a wysusza chudego. Hieronim-Mikołaj Séchard nosił, od trzydziestu lat, sławny pirożek municypalny, jaki, na prowincji, spotyka się jeszcze gdzieniegdzie na głowie miejskiego dobosza. Kamizelka i pludry były z zielonkawego aksamitu. Wreszcie, miał na sobie stary bronzowy surdut, prążkowane wełniane pończochy i trzewiki ze srebrnemi klamrami. Kostjum ten, który trącił jeszcze robotnikiem pod powłoką mieszczanina, odpowiadał tak dobrze jego przywarom i nałogom, wyrażał tak wiernie jego życie, iż możnaby myśleć że Séchard przyszedł na świat już ubrany; niesposób było wyobrazić go

sobie bez jego ubrania, tak jak cebuli bez łupki. Gdyby ślepa chciwość starego drukarza oddawna już nie była znana, sposób wycofania się z przemysłu wystarczyłby aby odmalować jego charakter. Mimo doświadczenia, jakie syn musiał wynieść z wielkiej szkoły Didotów, postanowił sobie zrobić jego kosztem dobry interes który trawił w sobie już oddawna. Jeżeli dla ojca był dobry, dla syna musiał być zły. Ale, w takich rzeczach, stary drukarz nie znał syna ani ojca. Jeżeli zrazu widział w Dawidzie jedyne swoje dziecko, później ujrzał w nim naturalnego nabywcę, którego interesy przeciwne były jego własnym: chciał sprzedać drogo, Dawid powinien był chcieć nabyć tanio, syn więc stawał się wrogiem i zaporą. To przeobrażenie uczucia w interes, zazwyczaj powolne, kręte i obłudne u ludzi dobrze wychowanych, było szybkie i bezpośrednie u starego niedźwiedzia, który okazał, o ile przebiegła *łykografja* góruje nad oświeconą typografją. Kiedy syn przybył, stary przyjął go z ową kupiecką serdecznością, jaką kute wygi rozwijają wobec swych ofiar; zajął się nim tak, jak kochanek swą lubą; podawał mu ramię, ostrzegał gdzie postawić nogę aby się nie powalać; kazał dlań wygrzać łóżko, zapalił ogień, przygotował wieczerzę. Nazajutrz, spróbowawszy upoić syna podczas obfitego obiadu, Hieronim-Mikołaj Séchard, mocno *zaprószony*, rzucił od niechcenia: *Pomówmy o interesach!* Słowo to brzmiało tak osobliwie między dwoma czkaniami, że Dawid zaproponował odłożenie spraw do dnia następnego. Stary niedźwiedź nadto dobrze umiał wyciągnąć przewagę ze swego pijaństwa, aby opuścić przygotowaną od tak

dawna bitwę. Zresztą, nadźwigawszy się swój ciężar przez pięćdziesiąt lat, nie chciał, jak mówił, nieść go ani godziny dłużej. Jutro, syn będzie pryncypałem.

Tutaj godziłoby się może rzec słówko o samym zakładzie. Drukarnia, położona w miejscu gdzie ulica de Beaulieu wychodzi na plac du Murier, usadowiła się w tym domu pod koniec panowania Ludwika XIV-go. Toteż, oddawna już budynek dostroił się do potrzeb tego przemysłu. Parter zajmowała ogromna sala, ze starym witrażem od ulicy, z dużem oknem od dziedzińca. Do gabinetu pryncypała można się było zresztą dostać oddzielnym kurytarzem. Ale, na prowincji, proceder drukarski jest zawsze przedmiotem tak żywej ciekawości, że klienci woleli raczej wchodzić przez oszklone drzwi zecerni wiodące wprost z ulicy, mimo iż trzeba było schodzić w dół po kilku schodkach, ile że podłoga sali znajdowała się niżej poziomu ulicy. Ciekawscy, oszołomieni, nie zważali na trudności przeciskania się przez zaułki pracowni. Wypatrując oczy na dziwne kołyski utworzone z arkuszy na zwisających z sufitu sznurach, potykali się o szeregi kaszt albo też zdzierali sobie kapelusz z głowy zawadzając o sztaby żelazne pras. Śledząc zwinne ruchy zecera czerpiącego w stu pięćdziesięciu dwóch przegródkach, czytającego skrypt, odczytującego wiersz składu wsuwając międzylinię, wpadali na przyciśniętą ciężarami ryzę papieru, lub uderzali biodrem o kant ławki; wszystko ku wielkiej uciesze *małp* i *niedźwiedzi*. Nigdy nikt nie dotarł bez wypadku aż do dwóch klatek znajdujących się na końcu tej jaskini. Były to dwie nędzne

budki wychodzące na dziedziniec, w których królowali z jednej strony prot, z drugiej pryncypał. W dziedzińcu, mury były wdzięcznie zdobne liśćmi wina, które, zważywszy reputację właściciela, posiadały sympatyczny koloryt lokalny. W głębi, opierając się o graniczny mur wznosiła się przybudówka, w nader opłakanym stanie, gdzie się moczyło i miesiło papier. Tam był ściek, gdzie się myło, przed i po użyciu, *formy*, lub, mówiąc pospolitym językiem, płyty z czcionkami; spływały z nich popłuczyny farby, które, zmięszane z pomyjami, budziły w przybyłych na targ wieśniakach podejrzenie, iż djabeł odbywa swoje ablucje w tym domu. Przybudówka podparta była z jednej strony kuchnią, z drugiej stosem drew. Pierwsze piętro, nad którem były już tylko dwie izdebki poddasza, składało się z trzech pokoi. Pierwszy, tak długi jak kurytarz, licząc w to i klatkę starych drewnianych schodów, miał od ulicy podłużne okno a od dziedzińca małe okrągłe okienko; służył zarazem za przedpokój i za jadalnię. Wybielony poprostu wapnem, pokój ten zwracał uwagę cyniczną prostotą kramarskiego skąpstwa. Brudnej posadzki nigdy nie myto; umeblowanie składało się z trzech lichych krzeseł, okrągłego stołu i kredensu ustawionego między dwojgiem drzwi wiodących do sypialni i do salonu; okna i drzwi były ciemne od brudu; czysty lub zadrukowany papier walał się po kątach; często, na pakach papieru spoczywały wiktuały, flaszki lub talerze z obiadu starca. Sypialnia, której okno — witraż oprawny w ołów — wychodziło na dziedziniec, obita była tanią i zmurszałą od starości materją. Było tam wielkie łóżko z kolumnami, zdobne kotarą z czerwonego perkalu, dwa

wpół-zbutwiałe fotele, dwa orzechowe wyścielane krzesła, stary sekretarzyk i, na kominku, zegar. Pokój ten, mający cechy patrjarchalnej dobroduszności i pełen brunatnych cieniów, był dziełem pana Rouzeau, poprzednika i pryncypała Hieronima-Mikołaja Séchard. Salon, odnowiony przez nieboszczkę panią Séchard, miał potworne boazerje pomalowane niebieską farbą; na ścianach tapety przedstawiające sceny wschodnie. Meble składały się z sześciu krzeseł wysłanych niebieskim juchtem, z oparciem w kształt liry. Dwa okna w grubych ramach, wychodzące na plac du Murier, nie miały firanek, na kominku nie było ani zegara, ani świeczników, ani lustra. Pani Séchard zmarła wśród swoich projektów upiększania, *niedźwiedź* zaś, nie rozumiejąc pożytku ulepszeń, które nic nie przynoszą, poniechał ich. Do tego pokoju, Hieronim-Mikołaj Séchard zaprowadził, *pede titubante*, syna, i pokazał mu na okrągłym stoliku inwentarz drukarni, zestawiony, pod jego kierunkiem, ręką prota.

— Przeczytaj to, chłopcze, rzekł Hieronim-Mikołaj Séchard, wodząc pijane oczy z papieru na syna i z syna na papier. Zobaczysz, jakie cacko-drukarnię ci oddaję.

— „Trzy prasy drewniane, z żelaznemi sztabami, marmurową płytą...“

— Moje ulepszenie, rzekł stary Séchard, przerywając.

„...Ze wszystkiemi przyborami, kadziami na farbę, szczotkami, ławami, etc. tysiąc pięćset franków!“ Ależ, ojcze, rzekł Dawid Séchard wypuszczając z rąk inwentarz, twoje prasy to graty nie warte stu talarów, dobre aby niemi w piecu zapalić.

— Graty?... wykrzyknął stary Séchard, graty? Bierz inwentarz i chodźmy! Zobaczysz, czy wasze kiepsko-ślusarskie wynalazki funkcjonują tak sprawnie, jak te dobre, stare, doświadczone narzędzia. Później, nie będziesz miał serca miotać obelg na uczciwe prasy, które chodzą jak dyliżans pocztowy i będą jeszcze chodziły przez całe twe życie, nie żądając najmniejszej naprawy. Graty! graty, którymi twój ojciec pracował przez dwadzieścia lat, i które cię zrobiły tem czem jesteś.

Ojciec zlazł nie potknąwszy się ni razu po spróchniałych, zużytych i trzęsących schodach; otworzył drzwi do wielkiej sali, rzucił się na najbliższą przebiegle naoliwioną i wyczyszczoną prasę, i pokazał silne dębowe wiązania, wyszorowane przez ucznia.

— Nie cackoż-to? rzekł.

Właśnie było założone jakieś zawiadomienie o ślubie. Stary niedźwiedź opuścił ramę na dekę, dekę zaś na marmur, który puścił w ruch; wyciągnął sztabę, rozwinął sznur aby przyciągnąć marmur z powrotem, podniósł dekę i ramę ze zwinnością godną młodego *niedźwiedzia*. Prasa, zażyta w ten sposób, wydała śliczny pisk, rzekłbyś ptak który uderzył głową w szybę i ucieka przerażony.

— Czy znajdzie się bodaj jedna prasa angielska, zdolna iść w tem tempie? rzekł ojciec do zdziwionego syna.

Stary Séchard pobiegł kolejno do drugiej, trzeciej prasy, i na każdej wykonał ten manewr z równą zwinnością. W ostatniej, oczy jego, mętne od wina, dostrzegły jakieś niedoczyszczone przez ucznia miejsce; zakląwszy siarczyście, pijak wziął się do czyszczenia połą surduta, jak

makler który doprowadza do blasku sierść konia prowadzonego na sprzedaż.

— Z temi trzema prasami, bez prota, możesz jak nic zarobić dziewięć tysięcy franków na rok, Dawidku. Jako przyszły wspólnik, sprzeciwiam się byś je miał zastąpić ohydnemi żelaznemi prasami, które niszczą tylko czcionki. Okrzykiwaliście cuda w Paryżu widząc wynalazek przeklętego Anglika, wroga Francji, który chciał zapewnić fortunę odlewaczom. Och! zachciało wam się *stanhopów!* dziękuję za wasze *stanhopy*, które kosztują po dwa tysiące pięćset franków, prawie dwa razy tyle niż są warte moje trzy klejnociki razem, i w dodatku drą ci na nic czcionki przez swą nieelastyczność. Nie jestem uczony jak ty, ale pamiętaj jedno: życie *stanhopów*, to śmierć czcionki. Te trzy prasy będą ci pracować uczciwie, robota wyjdzie czysto, Angulemczycy nie wymagają czego innego. Drukuj żelazem czy drzewem, złotem czy srebrem, nie zapłacą ci ani szeląga więcej.

— „*Item*, czytał Dawid, pięć tysięcy funtów czcionek, z giserni pana Vaflard...“

Na to nazwisko, wychowanek Didotów nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Śmiej się, śmiej! Po dwunastu latach, czcionki jak nowe. Oto gisernia! Pan Vaflard jest uczciwy człowiek, daje materjał twardy, jak się patrzy; dla mnie, najlepszy giser jest ten, do którego zachodzi się najrzadziej.

„...Oszacowane na dziesięć tysięcy franków“, podjął Dawid. Dziesięć tysięcy, ojcze! ależ to czterdzieści su za funt; firma Didot sprzedaje nowy *cicero* za trzydzieści sześć

su. Twoje stare gwoździe warte są tylko cenę materyału, dziesięć su za funt.

— Nazywasz staremi gwoździami garmonty, borgisy, ronda pana Gillé, niegdyś drukarza cesarskiego, czcionki warte po sześć franków za funt, arcydzieła rytownictwa kupione przed pięciu laty i które dziś jeszcze są jak nowe, o!

Stary Séchard chwycił kilka kaszt napełnionych czcionkami, które nigdy nie były w użyciu, i pokazał synowi.

— Ja nie jestem uczony, nie umiem czytać ani pisać, ale znam się na tyle, aby wiedzieć, że *kursywa* firmy Gillé była rodzicą angielskiego kroju Didotów. Oto *rondo*, rzekł wskazując kasztę i biorąc z niej M, rondo *cicero*, które jeszcze nie było pod prasą.

Dawid spostrzegł, że niema sposobu dyskutować. Trzeba było wszystko przyjąć albo wszystko odrzucić. Stary niedźwiedź wciągnął w inwentarz nawet sznury do rozwieszania. Najmniejsza ramka, tarcice, niecułki, kamienie, szczotki, wszystko obliczono ze skrupulatnością skąpca. Całość sięgała trzydziestu tysięcy franków, łącznie z koncesją i klientelą. Dawid zapytywał sam siebie, czy rzecz jest do przyjęcia czy nie. Widząc iż syn nie odzywa się na tę cyfrę, stary Séchard zaniepokoił się; wolał gwałtowny opór niż milczące poddanie. W tego rodzaju handlach targowanie zwiastuje tęgiego przemysłowca umiejącego bronić swych interesów. *Kto na wszystko przystaje*, mawiał stary Séchard, *nic nie płaci*. Wciąż śledząc syna z pod oka, prowadził dalej wykaz nędznych

utensyliów potrzebnych do prowadzenia prowincjonalnej drukarni: zaprowadził kolejno Dawida przed prasę do satynowania, przed prasę do obrzynania, przed prasę do drobnych zamówień i zachwalał mu jej trwałość i praktyczność.

— Stare narzędzia są zawsze najlepsze, mówił. W drukarstwie powinnoby się je płacić drożej niż nowe, jak u fabrykantów malarskiego złota.

Potworne winietki przedstawiające Hymeny, Amory, zmarłych którzy podnoszą kamień grobowy opisując literę V lub M, olbrzymie ramy splecione z masek na afisze teatralne, stały się pod wpływem nasyconej winem wymowy Hieronima Mikołaja, przedmiotami ogromnej wartości. Pouczył syna, iż nawyki mieszkańców prowincji tkwią tak głęboko, iż próżnoby się kusił dać im ładniejsze rzeczy. On, Hieronim-Mikołaj Séchard, sam próbował sprzedawać kalendarze lepsze niż *Double-Liégois* drukowany na papierze do zawijania cukru! otóż, prawdziwy *Double-Liégois* miał większy zbyt niż najwspanialsze kalendarze. Dawid przekona się niebawem o ważności tej starzyzny, sprzedając ją drożej, niż najkosztowniejsze nowości.

— Ha! ha! mój chłopcze, prowincja to prowincja, a Paryż to Paryż. Jeżeli przyjdzie tu klient z Houmeau zamówić zawiadomienie o ślubie, a ty mu je wydrukujesz bez amora z girlandkami, będzie miał uczucie że ślub jest nieważny i odniesie ci je, skoro zobaczy tylko proste *M*, jak u twoich Didotów, którzy są chlubą sztuki drukarskiej, ale których wymysły dostaną się na prowincję nie pierwej aż za

sto lat. Ot, co!

Ludzie szlachetni są złymi kupcami. Dawid należał do owych wstydliwych i czułych natur, które przeraża każda dyskusja i które ustępują, z chwilą gdy przeciwnik nadto ukłuje je w serce. Jego podniosły sposób myślenia i władza jaką zachował nad nim stary opój czyniły go tem bardziej niezdolnym do sporu z ojcem, zwłaszcza że przypuszczał u niego najlepsze intencje; zrazu bowiem tłómaczył tę chciwość przywiązaniem starego drukarza do swych narzędzi. Wobec tego jednak, że Hieronim-Mikołaj Séchard nabył wszystko od wdowy Rouzeau za dziesięć tysięcy w asygnatach i że, w obecnym stanie rzeczy, suma trzydziestu tysięcy franków stanowiła cenę szaloną, syn wykrzyknął:

— Ależ, ojcze, zarzynasz mnie!

— Ja, który dałem ci życie?... rzekł stary pijaczyna wyciągając rękę ku sznurom. Ależ Dawidzie, na ileż szacujesz samą koncesję? Czy wiesz, ile wart jest *Dziennik ogłoszeń*, po dziesięć su od wiersza? Sam ten przywilej przyniósł w ostatnim miesiącu pięćset franków! Mój chłopcze, zajrzyj do ksiąg, zobacz co dają afisze i regestry prefektury, roboty merostwa i konsystorza! Jesteś nygus, który nie chce zrobić wielkiego losu. Targujesz się o konia, który zawiedzie cię kiedyś do pięknego folwarczku, jak mój w Marsac.

Do tego inwentarza dołączono akt spółki między ojcem a synem. Dobry ojciec wynajmował spółce dom za cenę tysiąca dwustu franków, mimo iż nabył go za sześć tysięcy, oraz zachowywał sobie pokoik na poddaszu. Jak długo Dawid Séchard nie spłaci trzydziestu tysięcy, zyski ma się

dzielić po połowie; z chwilą gdy się wypłaci, syn staje się wyłącznym właścicielem. Dawid wziął pod uwagę koncesję, klientelę i dziennik, nie zaprzątając się inwentarzem: pomyślał iż zdoła się wygrzebać i przyjął warunki. Przyzwyczajony do matactw chłopskich, nie rozumiejąc się na szerokich kalkulacjach Paryża, ojciec zdumiony był tak szybką konkluzją.

— Czyżby ten chłopak znalazł gdzie jaki majątek? myślał; albo czy obmyśla sposób wyprawienia mnie z kwitkiem?

W tej myśli, wziął go na spytki; pragnął dowiedzieć się czy przywiózł jakie pieniądze, aby zeń wydobyć zaliczkę. Ciekawość ta obudziła nieufność syna. Dawid pozostał sztywny i małomówny. Nazajutrz, stary Séchard kazał uczniowi przenieść swoje meble do pokoiku na drugiem piętrze, mając zamiar przewieźć je na folwark. Oddał trzy pokoje na pierwszem piętrze synowi zupełnie nagie, tak jak oddał mu drukarnię, nie zostawiając ani centyma na zapłacenie robotników. Kiedy Dawid prosił ojca, aby, w charakterze wspólnika, przyczynił się do wkładów koniecznych dla wspólnej eksploatacji, stary drukarz udał głupiego. Nie ma obowiązku, rzekł, wykładać jeszcze kapitałów dawszy samą drukarnię; układ już zrobiony. Przyciśnięty logiką syna, odparł, iż, kiedy kupił drukarnię od wdowy, dał sobie radę bez jednego szeląga. Jeżeli on, biedny robotnik bez nauki, zdołał tyle dokazać, wychowanek Didota potrafi to tembardziej. Zresztą, pieniądze które Dawid uciułał, pochodzą z edukacji opłacanej w pocie czoła przez starego ojca, słusznie tedy

może wyłożyć je obecnie.

— Coś zrobił z oszczędnościami? rzekł wracając znów do ataku, aby rozjaśnić problem który milczenie syna zostawiło poprzedniego dnia nierozstrzygniętym.

— Czyż nie musiałem żyć? czy nie kupowałem książek? odparł Dawid oburzony.

— A! kupowałeś książki? Zły z ciebie będzie kupiec. Ludzie, którzy kupują książki, nie nadają się aby je drukować, odparł stary *niedźwiedź*.

Dawid doświadczył najokropniejszego z upokorzeń będąc świadkiem poniżenia ojca: trzeba mu było znieść wylew szpetnych, płaczliwych, podłych, kramarskich argumentów, jakiemi stary kutwa uzasadniał odmowę. Zdławił w duszy ból, widząc się sam, bez oparcia, znajdując w ojcu twardego i bezwzględnego spekulanta. Przez filozoficzną ciekawość chciał przejrzeć starego do głębi. Zwrócił mu uwagę, iż nigdy nie żądał odeń rachunku z majątku po matce. Jeżeli ten majątek nie wyrówna ceny drukarni, winien przynajmniej posłużyć do wspólnego jej prowadzenia.

— Majątek twojej matki, rzekł stary Séchard, to były jej piękność i rozsądek!

Usłyszawszy tę odpowiedź, Dawid przeniknął ojca w zupełności i zrozumiał, że, aby uzyskać zdanie rachunków, trzebaby mu wszcząć proces trwający wieki, kosztowny i szpetny. To szlachetne serce przyjęło brzemię, które miało na nim ciężyć, wiedział bowiem z jakim trudem przyjdzie mu się wypłacić ze zobowiązań.

— Będę pracował, rzekł w duchu. Ostatecznie, jeśli mnie

będzie ciężko, starowinie też było nie lekko. Zresztą, czyż to nie będzie znaczyło pracować dla siebie?

— Zostawiam ci skarb, mój synu, rzekł ojciec, zaniepokojony milczeniem Dawida.

Dawid spytał, co to za skarb.

— Maryna, rzekł ojciec.

Maryna, była to tęga dziewka wiejska, nieodzowna w drukarni. Ona moczyła i obcinała papier, wyładowywała go, załatwiała posyłki, gotowała, prała, chodziła odbierać pieniądze i czyściła szczotki drukarskie. Gdyby Maryna umiała czytać, stary Séchard zaprzągłby ją jeszcze do składania.

Ojciec ruszył na wieś pieszo. Mimo iż bardzo szczęśliwy ze sprzedaży ukrytej pod mianem spółki, niespokojny był o sposób w jaki syn się wypłaci. Po wzruszeniach sprzedaży, przychodzą zawsze niepokoje o realizację. Wszystkie namiętności mają w charakterze coś jezuickiego. Ten człowiek, który patrzał na naukę jako na rzecz niepotrzebną, silił się uwierzyć w potęgę nauki. Hipotekował swoich trzydzieści tysięcy na pojęciach honoru, jakie w synu rozwinęło wykształcenie. Jako młody człowiek starannie wychowany, Dawid wyprze z siebie siódme poty aby się wypłacić; nauka dostarczy mu środków, zdawał się pełen dobrych uczuć, zapłaci! Wielu ojców, działających w ten sposób, mniema iż postąpili po ojcowsku, jak to wytłómaczył sobie w końcu stary Séchard, w chwili gdy docierał do swej winnicy w Marsac, wiosce o cztery mile od Angoulême. Folwarczek ten, w którym poprzedni właściciel wybudował ładny domek, powiększał

się z roku na rok od r. 1809, epoki w której stary niedźwiedź go nabył. Zmienił prasę drukarską na prasę winną, a zbyt dawno, jak mówił, chodził koło wina, aby nie miał się na niem rozumieć. Pierwszego roku wiejskich wywczasów, ojciec Séchard ukazywał zatroskane oblicze z ponad swoich tyczek, ciągle bowiem przebywał w winnicy, jak niegdyś w drukarni. Te niespodziewane trzydzieści tysięcy franków upajały go jeszcze bardziej niż sok winnej jagody, obracał je idealnie w palcach. Im mniej ta kwota mu się należała, tem bardziej pragnął ją zgarnąć. Toteż, party niepokojem, często przybiegał z Marsac do Angoulême. Wspinał się po spadzistościach skały na której rozsiadło się miasto, zachodził do drukarni, aby przyjrzeć się czy syn da sobie rady. Owóż, prasy były zawsze na swoich miejscach. Jedyny uczeń, w tradycyjnej czapce z papieru na głowie, czyścił gąbki. Stary niedźwiedź usłyszał skrzyp prasy jęczącej pod jakiemś zawiadomieniem o ślubie, poznawał stare czcionki, widział syna i prota, obu czytających w swych klatkach książkę, którą stary brał za korektę. Zjadłszy obiad z Dawidem, wracał do Marsac, przeżuwając swoje obawy. Skąpstwo ma, jak miłość, dar jasnowidzenia przyszłości, węszy ją, przenika. Zdala od hali drukarskiej, gdzie widok narzędzi rozmarzał starego przenosząc go w dnie w których zdobywał majątek, Séchard spostrzegał u syna niepokojące objawy bezczynności. Godło *Braci Cointet* przerażało go, widział jak przesłania firmę *Séchard i syn*. Słowem, starzec czuł powiew nieszczęścia. Przeczucie było słuszne: nieszczęście krążyło nad firmą Séchard. Ale skąpcy mają jakiegoś opiekuńczego boga.

Przez zbieg nieprzewidzianych okoliczności, ów bóg miał strząsnąć do mieszka pijaczyny cenę lichwiarskiej sprzedaży. Oto, czemu drukarnia Séchard upadała, mimo elementów pomyślności: Obojętny wobec reakcji religijnej, jaką sprowadziła Restauracya dawnego rządu, ale równie obojętny dla liberalizmu, Dawid zachowywał, w kwestyach politycznych i religijnych, najszkodliwszą neutralność. Żył w epoce, kiedy prowincjonalni przemysłowcy musieli wyznawać jakieś przekonania aby mieć klientów, trzeba było wybierać między klientelą liberałów i rojalistów. Miłość, która zakwitła w sercu Dawida, jego naukowe upodobania, jego szlachetna natura, nie pozwoliły mu rozwinąć w sobie owej chciwości zysku, która tworzy prawdziwego kupca, i która objaśniłaby mu różnice dzielące przemysł prowincjonalny od paryskiego. Odcienie, tak wyraźne w departamentach, giną w ruchu Paryża. Bracia Cointet nastroili się na ton monarchiczny, zaczęli ostentacyjnie pościć, chodzić do fary, pielęgnować stosunki z księżmi i puszczać w świat pierwsze przedruki nabożnych książek, których potrzeba dała się odczuć. Cointetowie zajęli tedy pierwsi miejsce w tej zyskownej gałęzi i obnosili po mieście Dawida Séchard, oskarżając go o liberalizm i ateizm. W jaki sposób, mówili, robić interesy z człowiekiem, mającym ojca jakobina, pijaka, bonapartystę, starego skąpca, który, wcześniej czy później, zostawi sterty złota? Oni są biedni, obciążeni rodziną, gdy Dawid jest kawaler i będzie bardzo bogaty; to też żyje sobie wygodnie, etc. Pod wpływem tych oskarżeń przeciw Dawidowi, prefektura i biskupstwo przeniosły się wkońcu z

zamówieniami do braci Cointet. Niebawem, ci zachłanni przeciwnicy, ośmieleni niezaradnością rywala, stworzyli nowy dziennik ogłoszeń. Starą drukarnię ograniczono do zamówień miejskich, dochód zaś z dzienniczka anonsów spadł do połowy. Zbogaceni na książkach do nabożeństwa i na dziełach świątobliwej treści, bracia Cointet zwrócili się do Séchardów z propozycją nabycia ich dziennika, aby już niepodzielnie mieć ogłoszenia departamentu i obwieszczenia sądowe. Skoro Dawid udzielił tej wiadomości ojcu, stary winiarz, już przerażony postępami firmy Cointet, spadł z Marsac na plac du Mûrier, z chyżością kruka który zwietrzył trupy na polu bitwy.

Stary odgadł w lot interes Cointetów, przeraził się ich bystrością. Syn gotów popełnić głupstwo, któremu trzeba zaradzić, powiadał.

— Na czem będzie się opierała nasza klientela, jeżeli odda dziennik? Adwokaci, rejenci, wszyscy kupcy z Houmeau są liberalni; Cointetowie chcieli zaszkodzić Séchardom obwiniając ich o liberalizm, otóż, przygotowali im w ten sposób deskę zbawienia: ogłoszenia liberałów przypadną Séchardom! Sprzedać dziennik?... toby już lepiej było sprzedać inwentarz i koncesję.

Zażądał tedy od Cointetów sześćdziesiąt tysięcy za drukarnię, aby nie rujnować syna: kochał syna, bronił tylko syna. Winiarz użył syna, tak jak chłopi używają żon: syn godził się albo nie godził, wedle propozycyj, które stary wydzierał, punkt po punkcie, Cointetom. Doprowadził ich, nie bez wysiłku, do sumy dwudziestu dwu tysięcy za *Dziennik Charente*. Ale Dawid miał się zobowiązać, pod

karą trzydziestu tysięcy odszkodowania, że nigdy nie będzie drukował żadnego dziennika. Sprzedaż była samobójstwem drukarni; ale winiarz nie troszczył się o to. Po kradzieży, morderstwo. Stary myślał obrócić tę sumę na spłatę swej należności; aby ją dostać, dodałby i Dawida na przykładkę, zwłaszcza że ten nieporęczny syn miał prawo do połowy niespodzianego skarbu. Jako odszkodowanie, szlachetny ojciec zostawił mu drukarnię, ale zachowując sobie, jako czynsz, owe sławne tysiąc dwieście franków. Od sprzedaży dziennika, stary rzadko pokazywał się w mieście, powoływał się na podeszły wiek; ale istotną przyczyną był brak zainteresowania drukarnią, która już doń nie należała. Mimo to, nie mógł się zupełnie zaprzeć starego przywiązania, które miał dla swych narzędzi. Kiedy własne sprawy sprowadzały go do Angoulême, trudno byłoby rozstrzygnąć, co go bardziej ciągnie do domu: prasy drewniane, czy syn, do którego, dla formy, zachodził upominać się o czynsz. Dawny jego prot, obecnie zatrudniony u Cointetów, wiedział co myśleć o tej ojcowskiej wspaniałomyślności; powiadał, iż szczwany lis zabezpiecza sobie prawo mięszania się w sprawy syna, stając się, przez nagromadzenie zaległych czynszów, prawomocnym wierzycielem.

Niezaradność Dawida Séchard miała przyczyny, które malują charakter tego młodzieńca. W kilka dni po instalacji w drukarni, spotkał przyjaciela z kolegjum, pogrążonego w najgłębszej nędzy. Przyjaciel Dawida Séchard był to młody człowiek, w wieku około dwudziestu jeden lat, nazwiskiem Lucjan Chardon, syn dawnego chirurga wojsk

republikańskich, który musiał ustąpić ze służby z powodu odniesionej rany. Naturalne skłonności popchnęły pana Chardon do studjów nad chemią, przypadek zaś uczynił go aptekarzem w Angoulême. Śmierć zaskoczyła go pośród prac nad zyskownem odkryciem, którego poszukiwanie pochłonęło mu wiele lat. Chciał uleczyć wszelki rodzaj podagry. Podagra jest chorobą bogatych, bogaci zaś drogo opłacają zdrowie kiedy im go nie stanie. Toteż, aptekarz wybrał ten problem do rozwiązania, między wszystkimi jakie nastręczały się jego rozmyślaniom. Bujając pomiędzy wiedzą a empiryzmem, nieboszczyk Chardon zrozumiał, że jedynie wiedza może mu zapewnić fortunę: zagłębił się tedy w przyczyny choroby, i oparł leczenie na djecie dostosowanej do temperamentu. Umarł w czasie pobytu w Paryżu, gdzie starał się o aprobatę Akademji; w ten sposób stracił owoc swoich prac. W przewidywaniu lepszej doli, aptekarz nie szczędził niczego na wychowanie syna i córki, tak iż utrzymanie rodziny pochłaniało dochody. Tak więc, nietylko zostawił dzieci w nędzy, ale jeszcze, na ich nieszczęście, wychował je w nadziei świetnych losów, które zgasły ze śmiercią ojca.

Znakomity Desplein, który miał Chardona w swej opiece w ostatnich chwilach, mówił, iż, umierając, szalał z rozpaczy. Ambicja ta czerpała pobudkę w gwałtownej miłości, jaką ex-chirurg żywił dla swej żony, ostatniej latorośli domu de Rubempré, cudownie przezeń ocalonej od szafotu w r. 1793. Mimo iż młoda dziewczyna nie chciała zgodzić się na to kłamstwo, zyskał na czasie, oświadczając iż jest w ciąży. Stworzywszy sobie w ten sposób poniekąd

prawa męża, ożenił się z nią, mimo zobopólnego ubóstwa. Dzieci, jak wszystkie dzieci miłości, otrzymały, za całe dziedzictwo, cudowną urodę matki, dar tak często zgubny, skoro mu towarzyszy nędza. Te tak żywo podzielane nadzieje, prace, rozpacze, odbiły się na urodzie pani Chardon, tak jak powolna ruina oddziałała na tryb jej życia; ale dzielność jej, jak również i jej dzieci, równa była ich niedoli. Biedna wdowa sprzedała aptekę, położoną przy pryncypalnej ulicy Houmeau, głównego przedmieścia Angoulême. Wartość apteki pozwoliła jej uzyskać trzysta franków renty, kwotę nie wystarczającą nawet na własne utrzymanie, ale i ona i córka przyjęły swe położenie bez rumieńca, i oddały się pracy zarobkowej. Matka pielęgnowała położnice, wykwintne zaś jej formy sprawiły, iż poszukiwano jej w bogatych domach. W ten sposób żyła, nie kosztując nic dzieci i zarabiając dwadzieścia su dziennie. Aby oszczędzić synowi wstydu iż musi widzieć matkę w takiem poniżeniu, przybrała imię pani Karoliny. Osoby, które pragnęły jej opieki, zwracały się do pana Postel, następcy nieboszczyka Chardon. Siostra Lucjana pracowała u zacnej kobiety, poważanej w całem Houmeau, pani Prieur, prowadzącej zakład wykwintnego prania; w ten sposób zarabiała piętnaście su dziennie. Miała dozór nad robotnicami, co wznosiło ją nieco ponad klasę wyrobnic. Skromne owoce pracy obu kobiet, dołączone do trzystu franków renty, dochodziły ogółem ośmiuset franków rocznie, z których te trzy osoby miały żyć, ubierać się i mieszkać. Ścisła oszczędność tego gospodarstwa ledwie zdołała nastarczyć wszystkiemu, zwłaszcza, że sumę tę

prawie w zupełności pochłaniał Lucjan. Pani Chardon i córka jej Ewa wierzyły w Lucjana jak żona Mahometa w męża; poświęcenie ich dla jego przyszłości nie miało granic. Ta biedna rodzina mieszkała w Houmeau, w mieszkaniu najętem za skromną kwotę od następcy pana Chardon, i położonem w dziedzińcu nad laboratorjum. Lucjan zajmował tam nędzny pokoik na poddaszu. Zagrzewany przez ojca, który, zapalony do nauk przyrodniczych, popychał go od młodości na tę drogę, Lucjan był jednym z najświetniejszych uczniów w Angoulême. Był w trzeciej klasie w chwili gdy Séchard kończył studja.

Kiedy traf zetknął dwóch kolegów, Lucjan, zmęczony nędzą, był bliski jednego z owych ostatecznych postanowień, w jakie rzuca się człowiek mając dwadzieścia lat. Czterdzieści franków miesięcznie, które Dawid ofiarował wspaniałomyślnie Lucjanowi, podejmując się wykształcić go na prota, mimo, iż prot był mu zupełnie niepotrzebny, ocaliły Lucjana od rozpaczy. Odnowione w ten sposób węzły przyjaźni zacieśniły się niebawem podobieństwami losów i różnicą charakterów. Obaj, duchem bogaci w wielorakie fortuny, posiadali tę wysoką inteligencję, która stawia człowieka na równi ze szczytami, obaj zaś znajdowali się na samem dnie społeczeństwa. Ta niesprawiedliwość losu stała się potężnym węzłem. Zarazem, obaj zbliżyli się odmiennemi drogami do poezji. Mimo iż przeznaczony do najwyższych dociekań przyrodniczych, Lucjan rwał się z ogniem ku sławie literackiej; gdy Dawid, którego kontemplacyjny umysł

usposabiał do poezji, skłaniał się z upodobania ku wiedzy ścisłej. To przestawienie ról zrodziło między nimi jakby duchowe braterstwo. Lucjan udzielił niebawem Dawidowi bystrych poglądów przekazanych mu przez ojca w przedmiocie zastosowania nauki do przemysłu, Dawid zaś wskazał Lucjanowi nowe drogi, jakiemi należało mu wejść w literaturę, aby zdobyć imię i przyszłość. Przyjaźń tych dwóch młodych ludzi stała się rychło jedną z owych namiętności, które rodzą się jedynie w zaraniu młodzieńczych lat. Dawid ujrzał niebawem piękną Ewę i pokochał ją tak, jak zdolne są kochać dusze melancholijne i skłonne do medytacji. *Et nunc et semper in secula seculorum* liturgji jest dewizą tych wzniosłych nieznanych poetów, których dzieła polegają na wspaniałych epopejach, poczętych i zagrzebanych między dwojgiem serc! Kiedy kochanek przeniknął tajemnicę nadziei, w które matka i siostra Lucjana stroiły piękne czoło poety, kiedy poznał ich ślepe poświęcenie, czerpał słodycz w tem, aby się zbliżyć do ubóstwianej, dzieląc jej oddanie i nadzieje. Lucjan stał się więc dla Dawida bratem. Jak owi *ultra*, którzy chcą być bardziej rojalistami niż sam król, Dawid prześcignął wiarę matki i siostry Lucjana w jego geniusz; psuł go tak, jak matka psuje swoje dziecko. Podczas jednej z owych rozmów, w których, gnębieni brakiem pieniędzy wiążącym im ręce, rozbierali, jak wszyscy młodzi ludzie, sposoby dojścia szybko do fortuny, przetrząsając bezowocnie wszystkie drzewa już obrane przez poprzedników, Lucjan przypomniał sobie dwie myśli rzucone kiedyś przez ojca. Pan Chardon wspominał o możliwości obniżenia o połowę

ceny cukru przez użycie nowego składnika i o takiemż zmniejszeniu ceny papieru, przez uzyskanie z Ameryki tanich materyj roślinnych, pokrewnych tym, jakiemi posługują się Chińczycy. Dawid, który znał wagę tej kwestji roztrząsanej już u Didota, chwycił się tej myśli, widząc w niej fortunę, i uważał odtąd Lucjana za dobroczyńcę, któremu nigdy nie zdoła się wypłacić.

Każdy zgaduje, do jakiego stopnia dominujące myśli oraz życie dwóch przyjaciół czyniły ich niezdolnymi do prowadzenia drukarni. Daleka od dochodu piętnastu lub dwudziestu tysięcy franków, które dawał zakład braci Cointet, drukarzy konsystorza, właścicieli *Kuryera Charente*, odtąd jedynego dziennika w departamencie, drukarnia młodego Sécharda dawała ledwie trzysta franków miesięcznie, z czego odchodziła pensja prota, płaca Maryny, podatki, czynsz; co uszczuplało dochód Dawida do stu franków. Ludzie czynni i przemyślni byliby odnowili czcionki, kupili żelazne prasy, zdobyliby w księgarniach paryskich dzieła podejmując się druku po nizkiej cenie; ale pryncypał i prot, zatopieni w pracy duchowej, zadowalali się robotami doraźnemi i resztką dawnej klienteli. Bracia Cointet poznali wreszcie charakter i przyzwyczajenia Dawida: przestali go oczerniać; przeciwnie, roztropna polityka kazała im dać wegetować tej drukarni i utrzymywać ją w przyzwoitej mierności, iżby się nie dostała w ręce jakiegoś groźnego antagonisty; sami odsyłali nawet do niej drobniejszych klientów. Tak więc, nie wiedząc o tem, Dawid Séchard istniał, biorąc handlowo, jedynie dzięki zręcznemu wyrachowaniu konkurentów.

Zewnętrzny wygląd domu Séchardów był w harmonii z brudnem skąpstwem, które panowało wewnątrz, gdzie stary niedźwiedź nigdy nie dał nic naprawić. Deszcz, słońce, wpływy atmosferyczne wszystkich pór roku nadały drzwiom od kurytarza podobieństwo do starego pnia, tak były poorane nierównemi szczelinami. Fasada, bylejak sklecona z kamieni i cegieł, uginała się niejako pod brzemieniem dachu, zbutwiałego, przeciążonego owemi wklęsłemi dachówkami, jakie spotyka się na wszystkich dachach południowej Francyi. Mocno uszkodzone oszklenie opatrzone było olbrzymiemi okiennicami o gęstych poprzecznych listwach których wymaga gorąco klimatu. Trudno byłoby w całem Angoulême znaleźć dom równie zaniedbany: można powiedzieć, iż trzymał się jedynie spoistością cementu. Wyobraźcie sobie tę wielką halę, jasną w dwóch krańcach, ciemną w środku, o ścianach pokrytych afiszami, zczerniałych od dołu; z mnóstwem sznurów na podłodze, stertami papieru, staremi machinami, stosami kamieni do przyciskania zwilżonego papieru, szeregami kaszt i, na końcu, dwiema klatkami, w których, każdy po swojej stronie, siedzieli pryncypał i prot: zrozumiecie wówczas egzystencję dwóch przyjaciół.

W roku 1821, w pierwszych dniach maja, Dawid i Lucjan znajdowali się przy oknie wychodzącem na dziedziniec, w chwili gdy, około drugiej popołudniu, nieliczni robotnicy drukarscy opuszczali halę udając się na obiad. Skoro pryncypał ujrzał iż uczeń, wychodząc na ulicę, zamknął za sobą drzwi opatrzone dzwoneczkiem, pociągnął Lucjana na dziedziniec, jakgdyby zapach papierów,

czernidła, pras starego drzewa był mu nie do zniesienia. Siedli na jakiejś pace, skąd oczy ich mogły widzieć każdego wchodzącego. Promienie słońca igrające w winnych liściach żywopłotu pieściły dwóch poetów, okalając ich światłem niby aureolą. Kontrast tych dwóch charakterów i fizyognomij występował wówczas tak wyraźnie, że byłby skusił pendzel wielkiego malarza. Dawid miał kształty, jakie natura daje istotom przeznaczonym do wielkich walk, ukrytych lub jawnych. Z szerokiego torsu wyrastały silne ramiona harmonizujące z pełnią kształtów. Twarz, bronzowa w tonie, żywa w kolorze, pełna, osadzona na grubej szyi, okolona lasem czarnych włosów, podobna była, na pierwszy rzut oka, do twarzy kanoników opiewanych przez Boileau; ale baczniejsze spojrzenie dojrzałoby w bruzdach mięsistych warg, w dołku podbródka, w rysunku kwadratowo zakończonego nosa, w oczach przedewszystkiem, nieustający ogień jedynej miłości, przenikliwość myśliciela, żarliwą melancholję ducha który zdolny był ogarnąć dwa ostateczne krańce horyzontu, przenikając wszystkie ich zaułki, i który łatwo nużył się czysto idealnemi rozkoszami, wnosząc w nie jasność analizy. Jeżeli, w twarzy tej przejawiały się błyski genjuszu, gotującego się do lotu, widniał w niej też popiół obok wulkanu; nadzieja zamierała tam w głębokiem poczuciu własnej nicości społecznej, w której brak urodzenia i majątku więżą tyle wyższych duchów. Obok biednego drukarza, którego zawód jego, mimo iż taki blizki inteligencji, przyprawiał o mdłości, obok tego Sylena ciężko wspartego w samym sobie, który

pił wielkiemi haustami z puhara wiedzy i poezji, upijając się aby zapomnieć o niedolach prowincji, Lucjan stał we wdzięcznej pozie, stworzonej przez rzeźbiarzy dla indyjskiego Bachusa. Twarz jego miała wytworność starożytnego posągu: czoło i nos greckie, aksamitna białość kobieca, oczy tak ciemno niebieskie że aż czarne, oczy pełne miłości, których białko, co do świeżości, nie ustępowało oczom dziecka. Nad temi pięknemi oczyma, okolonemi długiemi ciemnemi rzęsami, rysowały się brwi, jakby wykreślone pędzlem chińskim. Na licach połyskiwał jedwabisty puszek, harmonizujący z kolorem jasnych, naturalnie kręcących się kędziorów. Boska słodycz oddychała w pozłocistych białych skroniach. Niewypowiedziana szlachetność rysowała się w krótkim, łagodnie wzniesionym owalu podbródka. Uśmiech smutnych aniołów błądził po koralowych ustach, zdobnych pięknemi zębami. Miał ręce człowieka dobrej rasy, ręce wykwintne, których skinieniu mężczyźni winni być posłuszni, a które kobiety lubią całować. Lucjan był szczupły i średniego wzrostu. Widząc jego stopy, wzięłoby się go tem snadniej za przebraną dziewczynę, ile, że, podobnie jak większość ludzi sprytnych, żeby nie powiedzieć przebiegłych, biodra miał niemal kobiece. Wskazówka ta, rzadko zwodnicza, była prawdziwą u Lucjana. Skłonność jego ruchliwego umysłu sprowadzała go często, kiedy analizował obecny stan społeczeństwa, na teren deprawacji właściwej dyplomatom, którzy sądzą iż sukces jest usprawiedliwieniem wszystkich, choćby najhaniebniejszych środków. Jednem z nieszczęść

towarzyszących wielkim inteligencjom jest to, iż, z konieczności, rozumieją wszystko, równie złe jak dobre.

Dwaj młodzi ludzie sądzili społeczeństwo tem bardziej z góry, im niższe zajmowali w niem stanowisko; ludzie bowiem nieuznani mszczą się za marność swej pozycji wyniosłością rzutu oka. Ale też rozpacz ich była przez to tem bardziej gorzka: w ten sposób, szybciej jeszcze szli tam, gdzie ich niosło prawdziwe ich przeznaczenie. Lucjan wiele czytał, porównywał; Dawid wiele myślał, wiele zgłębiał. Mimo pozorów krzepkiego zdrowia, drukarz był to duch melancholijny i chorobliwy, skłonny do zwątpienia; gdy Lucjan, obdarzony umysłem przedsiębiorczym ale ruchliwym, posiadał śmiałość niezgodną z jego miękkim, niemal wątłym, ale pełnym kobiecych uroków wyglądem. Lucjan miał charakter nawskróś gaskoński, śmiały, awanturniczy, który przesadza dobre strony, pomniejsza złe, nie cofa się przed błędem, jeśli widzi w nim korzyść i drwi z występku, jeśli ten stanie się dlań szczeblem do wspięcia się wyżej. Ten ambitny popęd poskramiały wówczas piękne złudzenia młodości, zapał niosący go ku szlachetnym środkom, jakich ludzie zakochani w sławie chwytają się przedewszystkiem. Dotychczas, pasował się tylko ze swemi pragnieniami a nie z trudnościami życia, z własną siłą a nie z nikczemnością ludzi, która jest fatalnym przykładem dla wrażliwych dusz. Oczarowany świetnością umysłu Lucjana, Dawid podziwiał go, mimo iż starał się prostować błędy, w które wtrącała go „furja francuzka“. Ten zacny człowiek miał nieśmiałe usposobienie będące w sprzeczności z jego silną fizyczną budową, ale nie zbywało mu na wytrwałości

ludzi Północy. Widział wszystkie trudności, ale postanawiał sobie zwyciężyć je, nie dając się zniechęcić; posiadał iście apostolską nieugiętość cnoty, ale łagodził ją urokiem niewyczerpanej pobłażliwości. W przyjaźni tej, już wypróbowanej, jeden z nich kochał bałwochwalczo, mianowicie Dawid. Toteż, Lucjan przewodził nad nim, jak kobieta która wie że jest kochaną. Dawid ulegał z przyjemnością. Piękność fizyczna przyjaciela mieściła w sobie wyższość, którą uznawał, czując się sam, w swoje mniemaniu, ciężkim i pospolitym.

— Wołu należy cierpliwa orka, ptakowi szybowanie bez troski, mówił sobie drukarz. Ja jestem wołem, Lucjan będzie orłem.

Od trzech lat blizko, dwaj przyjaciele złączyli swe losy, tak świetne w przyszłości. Czytali wielkie dzieła, które pojawiły się, od czasu pokoju, na literackim i naukowym horyzoncie; dzieła Schillera, Goetego, lorda Byrona, Walter Scotta, Jean-Paula, Berzeliusa, Dawyego, Cuviera, Lamartine‘a, etc. Rozgrzewali się przy tych wielkich ogniskach, próbowali się w dziełach poronionych lub zaczynanych, rzucanych i znów podejmowanych z zapałem. Pracowali bezustanku, nie znajdując dna niewyczerpanych skarbów młodości. Jednako biedni, ale pożerani miłością sztuki i nauki, zapominali o nędzy, pracując nad podwalinami przyszłej sławy.

— Lucjanie, czy wiesz co otrzymałem z Paryża, rzekł drukarz, dobywając z kieszeni mały tomik *in 18°*. Słuchaj!

Dawid przeczytał, tak jak umieją czytać poeci, idyllę Andrzeja Chénier zatytułowaną *Nerea*, potem *Młodego*

chorego, potem elegię o samobójstwie, tę w stylu starożytnym, i dwa ostatnie jamby.

— To więc jest Andrzej Chénier! wykrzyknął Lucjan kilkakrotnie. Może doprowadzić do rozpaczy, powtarzał po raz trzeci, kiedy Dawid, zbyt wzruszony aby czytać dalej, pozwolił mu wziąć tomik. Poeta odnaleziony przez poetę! dodał, widząc podpis przedmowy.

— Stworzywszy ten tom, rzekł Dawid, Chénier mniemał, iż nie napisał nic, coby było godne ogłoszenia.

Z kolei, Lucjan przeczytał epiczny ustęp ze *Ślepca*, i kilka elegij. Kiedy trafił na ustęp:

Jeśli tam szczęścia niema, żali jest na ziemi?

ucałował książkę, i dwaj przyjaciele rozpłakali się, obaj bowiem kochali do ubóstwienia. Liście wina nabrały żywszych barw, stare mury, rozpadłe, spękane, nierówno poprzerywane szpetnemi szczelinami, przystroiły się za dotknięciem palców wróżki we fryzy, arabeski, płaskorzeźby i niezliczone arcydzieła fantastycznej jakiejś architektury. Wyobraźnia rozsypała swe kwiaty i rubiny na mały dziedzińczyk. Kamilla Andrzeja Chénier stała się dla Dawida jego ubóstwianą Ewą, dla Lucjana zaś wielką damą w której kochał się nieśmiało. Poezja wstrząsnęła majestatyczne fałdy swej gwieździstej szaty nad warsztatem, w którym *niedźwiedzie* i *małpy* kunsztu drukarskiego wykonywali jednostajne ruchy. Wydzwoniła godzina piąta ale dwaj przyjaciele nie czuli głodu ni pragnienia; życie ich było złotem marzeniem, mieli u stóp

wszystkie skarby ziemi. Spostrzegali ów błękitny skrawek widnokręgu, jaki Nadzieja ukazuje tym, których życie zdane jest na burze, powiadając głosem syreny: „Idźcie, lećcie, ujdziecie nieszczęściu tą przestrzenią ze złota, srebra lub lazuru“. W tej chwili, uczeń, nazwiskiem Cerizet, urwis paryzki którego Dawid sprowadził był do Angoulême, otworzył szklane drzwiczki wychodzące z hali na dziedziniec i wskazał dwóch przyjaciół nieznajomemu, który zbliżył się z ukłonem:

— Panie, rzekł do Dawida, wyciągając ogromny zeszyt, oto memorjał, który pragnąłbym wydrukować, czy zechce pan określić koszty?

— Nie drukujemy, proszę pana, tak obszernych rękopisów, odparł Dawid, nie patrząc na zeszyt, zechciej się pan udać do braci Cointet.

— Ale przecież mamy ładne pismo, które mogłoby się nadać, zauważył Lucjan, biorąc rękopis. Może pan będzie łaskaw wstąpić jutro i zostawi nam dzieło dla ocenienia kosztów.

— Czy nie z panem Lucjanem Chardon mam zaszczyt...?

— Tak, panie, odparł prot.

— Szczęśliwy jestem, rzekł autor, iż mogłem spotkać młodego poetę, powołanego do tak świetnej przyszłości. Przysłała mnie tu pani de Bargeton.

Słysząc to nazwisko, Lucjan zarumienił się i bąknął kilka słów, aby wyrazić wdzięczność za względy okazywane przez panią de Bargeton. Dawid zauważył rumieniec i zakłopotanie przyjaciela. Usunął się, zostawiając go z obywatelem, autorem memorjału o hodowli jedwabników.

Szlachcic, party próżnością, pragnął wydrukować rękopis, iżby dzieło jego mogło się znaleźć w rękach kolegów z Towarzystwa rolniczego.

— I cóż, Lucjanie, rzekł Dawid, skoro obywatel odszedł, byłżebyś zakochany w pani de Bargeton?

— Do szaleństwa!

— Ależ, przesądy świata czynią, iż jesteście od siebie dalej, niż gdyby jedno z was było w Pekinie a drugie w Grenlandji.

— Wola dwojga kochanków zwycięża wszystko, rzekł Lucjan spuszczając oczy.

— Zapomnisz o nas, odparł nieśmiały wielbiciel pięknej Ewy.

— Być może, iż, przeciwnie, poświęciłem ci mą ukochaną, wykrzyknął Lucjan.

— Co chcesz powiedzieć?

— Mimo mej miłości, mimo rozmaitych pobudek które mi każą szukać oparcia w pani de Bargeton, powiedziałem jej, że nie wrócę nigdy do jej domu, jeśli człowiek, który przewyższa mnie talentem i wiedzą, jeśli Dawid Séchard, mój przyjaciel, mój brat, nie znajdzie tam przyjęcia. Mam zastać odpowiedź w domu. Ale, mimo iż całą arystokrację proszono dziś wieczór dla wysłuchania moich wierszy, jeżeli odpowiedź jest odmowna, noga moja nie postanie u pani de Bargeton.

Dawid otarł oczy i ścisnął gwałtownie rękę Lucjana. Wybiła szósta.

— Ewa musi być niespokojna; do widzenia, rzekł nagle Lucjan.

Pomknął, zostawiając Dawida na pastwę wzruszenia, które odczuwamy tak pełno jedynie w tym wieku, zwłaszcza w położeniu tych dwóch młodych łabędzi, którym życie prowincjonalne nie podcięło jeszcze skrzydeł.

— Złote serce! wykrzyknął Dawid, towarzysząc okiem Lucjanowi, który przechodził przez halę.

Lucjan podążył do Houmeau promenadą Beaulieu, przez ulicę du Minage i bramę św. Piotra. Jeśli was dziwi czemu obierał najdłuższą drogę, wiedzcie, iż na tej drodze leżał dom pani de Bargeton. Doświadczał tyle rozkoszy przechodząc pod oknami tej kobiety, nawet bez jej wiedzy, iż, od dwóch miesięcy, nie wracał do Houmeau inaczej.

Zbliżając się do alei Beaulieu, spojrzał na przestrzeń dzielącą Angoulême od Houmeau. Pojęcia miejscowe stworzyły zapory moralne o ileż trudniejsze do przebycia, niż spadzistość, którą schodził Lucjan! Ambitny młodzieniec, który dostał się do pałacu Bargeton rzucając sławę niby most zwodzony między miastem a przedmieściem, niespokojny był o decyzję swej ubóstwianej, jak faworyt, który, pokusiwszy się o rozszerzenie władzy, obawia się niełaski. Słowa te muszą się wydać dziwne tym, którzy nie zapoznali się jeszcze z obyczajami miejscowości dzielących się na *górne* i *dolne* miasto; toteż niezbędne jest udzielić tu parę objaśnień tyczących Angoulême; pozwolą one zrozumieć zarazem panią de Bargeton, jedną z najważniejszych osób tego opowiadania.

Angoulême jest to stare miasto, zbudowane na skale podobnej do głowy cukru, a sterczącej nad rozleglemi

łąkami, wśród których płynie Charenta. Skała ta łączy się, ku Perigord, z długiem wzgórzem, które ucina nagłym spadkiem tuż nad gościńcem z Paryża do Bordeaux, tworząc w ten sposób niby przylądek między trzema malowniczemi dolinami. O znaczeniu, jakie miało to miasto w czasie wojen religijnych, świadczą szańce, bramy i resztki fortecy wznoszące się na cyplu skały. Położenie Angoulême czyniło zeń niegdyś punkt strategiczny równie cenny dla katolików jak i dla kalwinów; ale to, co było dawniej siłą, dziś stanowi jego słabość; te szańce bowiem, jak również zbyt stromy spadek, nie pozwalający się rozszerzyć miastu nad brzegami Charenty, skazały je na zgubną martwotę. W czasie kiedy rozgrywały się te wydarzenia, rząd usiłował pchnąć miasto ku Perigord, wznosząc wzdłuż zbocza prefekturę, szkołę marynarki, budowle wojskowe, jak również wytyczając drogi. Ale handel uprzedził te zabiegi, i to w innym kierunku. Oddawna już, u stóp skały, nad brzegiem rzeki nad którą biegnie gościniec z Paryża do Bordeaux, wyrosła mała mieścina, zwana Houmeau i powiększała się, niby gniazdo grzybów. Nikomu nie jest obcą sława papierni angulemskich, które od trzech wieków, z konieczności, usadowiły się nad Charentą i jej dopływami, znajdując tam potrzebny spadek wód. Rząd założył w Ruelle najznaczniejszą gisernię dział dla marynarki. Ruch kołowy, poczta, gospody, warsztaty, przedsiębiorstwa wehikułów publicznych, wszystkie przemysły które żyją z gościńca i z rzeki, zgrupowały się u stóp Angoulême, aby oszczędzić sobie trudności wynikłych ze stromego położenia miasta. Z

natury rzeczy, garbarnie, pralnie, cały przemysł wodny został w pobliżu Charenty; w następstwie, magazyny wódek, składy wszystkich surowców spławianych rzeką, wreszcie całe *transito*, okoliły Charentę swymi zakładami. Przedmieście Houmeau zmieniło się w handlowe i bogate ognisko, drugie Angoulême, i zaczęło z zawiścią spoglądać na górne miasto, będące siedzibą rządu, biskupstwa, sądu, arystokracji. W ten sposób, Houmeau, mimo swej czynnej i wzmagającej się potęgi, zostało tylko przyczepkiem Angoulême. Na górze szlachta i władze, w dole przemysł i bogactwo; dwie strefy społeczne stale i wszędzie nieprzyjazne sobie wzajem; trudno odgadnąć, które z dwóch miast bardziej nienawidziło swego rywala. Od lat dziewięciu, Restauracja zaostrzyła ten stan rzeczy, dość spokojnie układający się za Cesarstwa.

Większość domów w Górnem Angoulême należy albo do rodzin szlacheckich, albo do starożytnych rodzin mieszczańskich; te żyją ze swoich dochodów i tworzą plemię tubylców, do którego obcy nigdy nie mają wstępu. Zaledwie zdarzyło się, aby, po dwustu latach zamieszkania, po spokrewnieniu się z jednym z miejscowych rodów, jakąś rodzinę przybyłą z prowincji przyjęto za swoją; w oczach dawnych mieszkańców zostaje ona zawsze świeżym przybyszem. Prefekci, naczelnicy skarbowości, władze administracyjne, które następowały po sobie w ostatnich latach czterdziestu, próbowały cywilizować te stare rodziny, usadowione na swej skale jak nieufne kruki; tubylcy przyjmowali bale i obiady, ale, co się tyczyło tego aby dopuścić ich między siebie, stawiali stanowczy opór.

Szydercze, plotkarskie, zawistne, skąpe, rodziny te żenią się jedynie między sobą, szeregują się w zwarty batalion, nie pozwalając wejść ani wyjść nikomu. Zdobycze nowoczesnego zbytku są im zupełnie obce; wysłać syna do Paryża, znaczy dla nich zgubić go. Ostrożność ta daje obraz zacofania tych domów, opanowanych niedorzecznym rojalizmem, raczej zatrutych dewocją niż istotnie pobożnych, i trwających w takiej samej martwocie jak miasto ich i skała. Angoulême cieszy się, mimo to, reputacją w sąsiednich prowincjach z powodu dobrego wychowania którego ma sławę; sąsiednie miasta wysyłają tam córki do pensjonatów i klasztorów.

Łatwo pojąć, jak bardzo duch tej kasty oddziaływa na uczucia dzielące Angoulême i Houmeau. Przemysł jest bogaty, szlachta przeważnie biedna, jedno mści się nad drugiem pogardą równą z obu stron. Mieszczaństwo Angoulême przejęło tę rywalizację. Kupiec z górnego miasta mówi o przemysłowcu z przedmieścia z niedającym się określić akcentem: — To *człowiek z Houmeau!* Podkreślając położenie szlachty we Francji i dając jej nadzieje niemożebne do ziszczenia bez powszechnego przewrotu, Restauracja pogłębiła przedział moralny, który, bardziej jeszcze niż przedział topograficzny, dzielił Angoulême od Houmeau. Szlachta, wówczas idąca ręka w rękę z rządem, stała się bardziej wyłączna i nieprzystępna niż gdziekolwiek indziej we Francji. Mieszkaniec Houmeau był czemś w rodzaju parjasa. Stąd owe podziemne i głębokie nienawiści, które dały taką przerażającą jednomyślność rewolucji r. 1830 i zniweczyły warunki

trwałości społecznego ukształtowania Francji. Pycha dworskiej szlachty oddaliła od tronu serca szlachty z prowincji, tak jak ta znowu odstręczyła odeń mieszczaństwo, raniąc je we wszystkich ambicjach.

Wprowadzenie zatem *człowieka z Houmeau*, aptekarskiego synka, do salonu pani de Bargeton, stanowiło małą rewolucję. Któż był jej sprawcą? Lamartine i Wiktor Hugo, Kazimierz Delavigne i Canalis, Beranger i Chateaubriand, Villemain i pan Aignan, Soumet i Tissot, Benjamin Constant i Lamenais, Cousin i Michaud, słowem zarówno dawne jak i nowe znakomitości literackie, liberałowie jak i rojaliści. Pani de Bargeton kochała sztukę i literaturę; gust niewątpliwie dziwaczny, manja nad którą ubolewało głośno całe Angoulême, ale którą musimy wytłumaczyć szkicując życie tej kobiety, urodzonej i stworzonej dla sławy, zamkniętej w ciasnym zakątku przez nieszczęśliwe okoliczności, kobiety, której wpływ rozstrzygnął o losach Lucjana.

Pan de Bargeton był prawnukiem jurata z Bordeaux, nazwiskiem Mirault, uszlachconego za Ludwika XIII, po długoletniem piastowaniu urzędu. Za panowania Ludwika XIV, syn jego, już pod nazwiskiem Mirault de Bargeton, został oficerem straży Bram królewskich i ożenił się tak świetnie pod względem pieniężnym, że, za Ludwika XV, syn jego nazywał się już tylko, krótko i poprostu, panem de Bargeton. Ten Bargeton, wnuk pana Mirault, jurata, tak bardzo dbał o godność prawdziwego szlachcica, że stracił na to prawie cały majątek swej rodziny i, tem samem, położył koniec jej świetności. Dwóch jego

braci, stryjecznych dziadków obecnego Bargetona, wróciło do przemysłu, tak że, dziś jeszcze, istnieje nazwisko Mirault w świecie handlowym miasta Bordeaux. Gdyby jego rodzony dziadek wstąpił był w zaszczytne ślady Bargetona I-go i Bargetona II-go, wówczas Bargeton V, któremu możemy dać przydomek *Niemy*, nosiłby tytuł margrabiego de Bargeton, byłby się połączył z jakąś wielką rodziną i został księciem i parem jak tylu innych; gdy teraz, w roku 1805, uważał za wielki zaszczyt, iż mógł poślubić pannę Marję-Luizę-Anais de Nègrepelisse, córkę szlachcica zapomnianego oddawna w rodzinnej wiosce, jakkolwiek był przedstawicielem młodszej linii jednej z najstarszych rodzin południowej Francji. Był jeden Nègrepelisse między zakładnikami Ludwika Świętego; jednakże głowa starszej linji nosi znakomite nazwisko d‘Espard, nabyte za Henryka IV przez małżeństwo z dziedziczką tej rodziny. Szlachcic ten, młodszy syn młodszego syna, żył w majątku żony, wiosce koło Barbezieux, którą znakomicie gospodarował, chodząc sam na targ sprzedawać zboże, sam przerabiając własne wino, i drwiąc sobie z docinków, byle mógł gromadzić talary i zaokrąglić, od czasu do czasu, swą posiadłość.

Okoliczności dość rzadkie na zapadłej prowincji zaszczepiły pani de Bargeton zamiłowanie muzyki i literatury. Podczas Rewolucji, niejaki ksiądz Niollant, najlepszy uczeń księdza Rose, ukrył się w zameczku w Escarbas, unosząc zawiniątko z nutami. Opłacił sowicie gościnę starego szlachcica, zajmując się wykształceniem córki jego Anais, zwanej przez skrócenie Nais, którą, bez

tego wydarzenia, pozostawionoby samej sobie, lub, co jeszcze gorzej, pierwszej lepszej pokojowej. Księżyna nie tylko był dzielnym muzykiem, ale posiadał rozległe wykształcenie, mówił po włosku i po niemiecku. Nauczył pannę tych dwóch języków, zarówno jak kontrapunktu; zapoznał ją z wielkiemi poetyckiemi dziełami Francji, Włoch i Niemiec, to znów przegrywał z nią utwory muzyczne mistrzów. Wreszcie, aby czemś zapełnić samotność, na jaką skazywały ten dom wypadki polityczne, nauczył ją greki i łaciny i dał jej nieco wiadomości z nauk przyrodniczych.

To męzkie wychowanie, nie złagodzone czujną opieką macierzyńską, odbiło się na charakterze młodej osoby, którą i tak już wiejski tryb życia usposabiał do niezależności. Ksiądz Niollant, dusza zapalna i poetyczna, miał naturę artysty, która kryje w sobie wiele cennych przymiotów, ale która swobodą sądów i spojrzenia wznosi się nad poziom mieszczańskich widnokręgów. O ile, w świecie, te natury umieją zyskać przebaczenie swoich wyskoków swą oryginalnością i głębią, o tyle bywają one niebezpieczne w życiu prywatnem, a to dla dziwactw, których mogą się stać powodem. Ksiądz miał wiele zapału i siły przekonania, toteż poglądy jego musiały udzielić się pannie, w której wrodzona młodym egzaltacja wzrosła jeszcze w wiejskiej samotności. Ksiądz Niollant przekazał młodziutkiej uczenicy swą śmiałość myśli, łatwość i bystrość sądu, nie bacząc, iż te przymioty, tak cenne dla mężczyzny, stają się ułomnościami w kobiecie przeznaczonej do skromnych zadań matki rodziny.

Jakkolwiek ksiądz Niollant wciąż upominał uczenicę, aby się starała zachować tem więcej skromności i prostoty, im więcej posiada wiedzy i nauki, panna de Nègrepelisse nabrała znakomitego mniemania o sobie, a równocześnie powzięła głęboką pogardę dla ludzkości. Widując w swem otoczeniu jedynie ludzi niższych, prześcigających się w usłużności, nabrała wyniosłego tonu wielkich pań, nie mając równocześnie słodkiej ich obłudy. Głaskana w swych próżnościach przez księdza, który podziwiał w niej siebie, jak autor podziwia się w swojem dziele, nie miała na swoje nieszczęście żadnego punktu porównania, któryby jej ułatwił wyrobienie sądu o sobie. Brak towarzystwa jest jednem z największych niebezpieczeństw życia wiejskiego. Nie mając sposobności zadawać sobie dla drugich przymusu nakładanego formami i strojem, traci się zwyczaj krępowania się dla kogokolwiek. Wszystko wówczas wypacza się w końcu, i forma i treść. Z czasem, śmiałość poglądów panny de Nègrepelisse, nie złagodzona obyciem towarzyskiem, zaczęła przebijać w jej wzięciu, w jej spojrzeniu; nawykła do owej zbytniej swobody, która zrazu ma urok oryginalności, ale z którą jest do twarzy tylko awanturnicom. Tak więc, to wychowanie, którego kanty byłyby się wygładziły w wielkim świecie, musiało z czasem okryć ją śmiesznością w Angoulême, z chwilą gdy wielbiciele przestaliby ubóstwiać jej wady, które są wdziękiem jedynie w młodości. Co się tyczy pana de Nègrepelisse, ten oddałby wszystkie książki córki, aby ocalić chorego wołu. Był tak skąpy, że nie dałby jej ani grosza nad dochód który się jej z prawa należał, nawet

gdyby chodziło o sprawienie najniezbędniejszej dla jej wykształcenia drobnostki. Ksiądz umarł w 1802, przed małżeństwem drogiej uczenicy, małżeństwem które byłby z pewnością odradzał.

Po śmierci dobrego księdza, stary szlachcic, zostawszy z córką na barkach, znalazł się w wielkim kłopocie. Czuł się zbyt słaby, aby podjąć walkę, która musiała wybuchnąć pomiędzy jego skąpstwem, a niepodległym umysłem niezatrudnionej dziewczyny. Jak wszystkie młode osoby, wytrącone z drogi, którą kroczą zazwyczaj kobiety, Nais trzeźwo osądziła małżeństwo i niewiele o nie dbała. Ze wstrętem myślała o poddaniu swej inteligencji i osoby człowiekowi miernemu i pospolitemu, a takich jedynie mogła spotkać. Chciała rozkazywać, a miała słuchać. Między poddaniem się grubej samowoli istoty niewyrozumiałej na jej upodobania, a ucieczką z kochankiem, nie wahałaby się ani chwili. Pan de Nègrepelisse był jeszcze natyle szlachcicem, aby się wzdragać przed mezaliansem. Podobnie jak wielu ojców, postanowił wydać córkę za mąż nietyle dla niej, ile dla własnego spokoju. Potrzebował jakiegoś arystokraty albo szlachcica, niezbyt sprytnego, niezdolnego wszczynać trudności w rachunkach z opieki, dość nieznaczącego jako umysł i jako charakter aby Nais mogła żyć według swej fantazji, dość bezinteresownego aby ją zaślubić bez posagu. Ale jak znaleźć kandydata, któryby przypadł do smaku zarówno ojcu jak córce? Podobny człowiek byłby w istocie feniksem. Pod tym podwójnym kątem widzenia, pan de Nègrepelisse rozglądał się wśród mieszkańców prowincji:

pan de Bargeton wydał mu się jedyny, który odpowiadał programowi.

Pan de Bargeton, mężczyzna czterdziestoletni, mocno nadwerężony wybrykami młodości, odznaczał się dość wybitną tępotą; ale zostało mu w sam raz na tyle zdrowego rozumu aby zarządzać swym majątkiem, jak również dość taktu aby zajmować miejsce w wielkim świecie Angoulême, nie popełniając żadnej niezręczności ani głupstwa. Pan de Nègrepelisse wytłomaczył bez ogródek córce negatywną wartość tego wzorowego męża, oraz wszystkie korzyści jakie mogła wyciągnąć z tego związku dla własnego szczęścia: zaślubiała nazwisko i herb przeszło dwóchsetletni, kupowała sobie *parawan*, mogła urządzić sobie dowoli życie, pod ochroną płaszczyka społecznego i przy pomocy stosunków jakie umysł jej i uroda zdobędą w Paryżu. Nais uległa nadziejom podobnej swobody. Pan de Bargeton myślał że robi znakomitą partję, obliczając, iż teść zostawi mu niebawem piękny szmat ziemi który zaokrąglał z taką miłością; równocześnie jednak pan de Nègrepelisse układał w duchu nagrobek dla zięcia.

W chwili obecnej, pani de Bargeton liczyła lat trzydzieści sześć, mąż pięćdziesiąt ośm. Różnica była tembardziej rażąca, iż pan de Bargeton wyglądał na siedmdziesiątkę, gdy żona jego mogła bezkarnie bawić się w młodą panienkę, nosić różowe muślinowe suknie i czesać się po dziewczęcemu. Jakkolwiek ich majątek nie przekraczał dwunastu tysięcy renty, liczono go do sześciu najznaczniejszych fortun starego miasta, jeżeli wykluczymy przemysł i władze. Konieczność utrzymywania stosunków z

ojcem, po którym pani de Bargeton oczekiwała spadku, aby się przenieść do Paryża, a który kazał na siebie tak długo czekać iż zięć umarł wcześniej od niego, konieczność ta zmuszała państwa de Bargeton do mieszkania w Angoulême, gdzie świetne przymioty umysłu i niewyzyskane skarby drzemiące w sercu Nais miały zmarnieć bez wydania owocu i z biegiem czasu zmienić się na śmieszności. W istocie, śmieszności nasze są, po największej części, wynikiem jakiegoś szlachetnego uczucia, jakichś przymiotów lub zdolności rozwiniętych do przesady. Duma, której nie łagodzą wielkoświatowe formy, staje się sztywnością; rozciąga się na drobiazgi, miast nabierać wielkości w kręgu podniosłych uczuć. Egzaltacja, owo bogactwo duszy które stwarza świętych, które może być źródłem ukrytych poświęceń i promieniującej poezji, staje się tylko przesadą, kiedy się zmaga z drobiazgami prowincji. Zdala od środowiska gdzie błyszczą świetne umysły, gdzie powietrze naładowane jest myślą, gdzie wszystko wciąż się odświeża, wykształcenie nasze przeżywa się, smak się psuje, podobnie jak stojąca woda. Z braku przedmiotu, uczucia obniżają się, powiększając nadmiernie drobiazgi; tu leży przyczyna skąpstwa i plotkarstwa, które zatruwają prowincję. Wkrótce, naśladowanie ciasnych myśli i małostkowość udzielają się najwykwintniejszej naturze. Tak niszczeją i giną ludzie stworzeni do wielkości, kobiety, które, pokierowane przez szkołę życia i urobione przez wyższe umysły, mogłyby być czarujące.

Pani de Bargeton chwytała za lirę dla lada drobiazgu, nie

odróżniając poezji osobistej od poezji publicznej. Istnieją, w istocie owe niezrozumiane wzruszenia, które trzeba zachować dla siebie. Niewątpliwie, zachód słońca jest wspaniałym poematem, ale czyż nie jest śmieszną kobieta, która maluje go wielkiemi słowy przed gromadą zwykłych zjadaczy chleba? Istnieją rozkosze, któremi karmić się i które wspólnie odczuwać może jedynie dwóch poetów, dwa serca. Nais miała tę wadę, iż lubiła używać owych olbrzymich zdań, brzemiennych napuszonemi wyrazami, zdań tak dowcipnie nazwanych *tartynkami* w gwarze dziennikarstwa, które przyrządza je codzień, i to bardzo niestrawne, dla czytelników, ci zaś łykają je, mimo wszystko. Miała zwyczaj nadmiernie rozrzucać superlatywy, które śrubowały jej konwersację na niebotyczne wyżyny; każdy drobiazg nabierał gigantycznych proporcyj. W owej epoce zaczęła wszystko *typizować, indywidualizować, syntetyzować, dramatyzować, superioryzować, analizować, poetyzować, prozaizować, neologizować i tragizować;* gdyż trzeba na chwilę pogwałcić język, aby odmalować modne dziwactwa w których grzęźnie wiele kobiet. Umysł jej rozpalał się zresztą tak jak jej styl. Dytyramb miała zarówno w sercu jak na ustach. Płonęła, omdlewała: entuzjazmowało ją wszystko: poświęcenie siostry miłosierdzia i stracenie braci Faucher, ucieczka Lavalette‘a jak przygoda jednej z przyjaciółek, która, udając gruby głos, wystraszyła złodziei. Wszystko dla niej było wzniosłe, nadzwyczajne, dziwne, czarujące, boskie. Zapalała się, unosiła, omdlewała, wzbijała w górę i opadała, zatapiała wzrok w niebiosach to znów opuszczała

go ku ziemi; oczy jej napełniały się ustawicznie łzami. Spalała życie w ciągłych zachwytach, lub trawiła je w przesadnych oburzeniach. Uwielbiała paszę Janina, byłaby chciała walczyć z nim w jego seraju; znajdowała wielkim los kobiety zaszytej w worek i wrzuconej do wody. Zazdrościła lady Esther Stanhope, tej „sawantce“ pustyni. Brała ją ochota zostać siostrą miłosierdzia i umrzeć na żółtą febrę w Barcelonie, pielęgnując chorych: oto wielki, szlachetny los! Tęskniła za wszystkiem, co nie było przeźroczystą wodą jej życia, ukrytą wśród traw. Uwielbiała lorda Byrona, Jana Jakóba Rousseau, wszystkie poetyczne i dramatyczne egzystencje. Miała gotowe łzy dla każdej niedoli, fanfary dla każdego zwycięstwa. Sympatyzowała z ujarzmionym Napoleonem, sympatyzowała z Mehmetem-Ali mordującym tyranów Egiptu. Ludzi genialnych stroiła w istną aureolę, wierzyła iż żyją światłem i wonią. Większość osób uważało jej wzięcie za nieszkodliwe szaleństwo; bystry jednakże obserwator umiałby w tem wszystkiem dojrzeć szczątków wspaniałego gmachu miłości, gmachu który runął w gruzy ledwo wzniesiony, resztek jakiejś niebiańskiej Jeruzalem, słowem miłości bez kochanka. I było to prawdą. Historję pierwszych ośmnastu lat małżeństwa pani de Bargeton można napisać w kilku słowach. Jakiś czas żyła własną treścią i odległemi nadziejami. Następnie, przekonawszy się, iż życie w Paryżu, do którego wzdychała, jest dla niej zamknięte z powodu niedostatecznego majątku, zaczęła się rozglądać wśród osób które ją otaczały i zadrżała na widok swego osamotnienia. Nie znalazła dokoła siebie człowieka,

zdolnego w niej rozniecić owo szalone uczucie w które rzucają się kobiety, popychane rozpaczą życia bez wyjścia, bez wydarzeń, bez celu. Nie mogła liczyć na nic, nawet na przypadek, gdyż istnieją egzystencje bez przypadku. W chwili, gdy Cesarstwo błyszczało całą świetnością, w czasie pochodu Napoleona do Hiszpanji, dokąd wysyłał kwiat swego rycerstwa, nadzieje tej kobiety, dotąd tak zawiedzione, odżyły. Parta naturalną ciekawością, zaczęła się przyglądać bohaterom, którzy zdobywali Europę na jedno słowo „dziennego rozkazu“ i którzy wskrzeszali bajeczne czyny średniowiecznego rycerstwa. Najbardziej skąpe i oporne miasta musiały podejmować Gwardję cesarską, naprzeciw której wychodzili merowie i prefekci, z powitalną mową na ustach, niby naprzeciw królów. Pani de Bargeton, przybywszy na redutę którą pułk wyprawił miastu, zakochała się w młodym szlachcicu, prostym podporuczniku, któremu przebiegły Napoleon ukazał buławę marszałka Francji. Miłość tę, powściągliwą, szlachetną, wielką, odbijającą od tak łatwo wówczas zawiązywanych i zrywanych miłostek, uświęciła w całej jej czystości ręka śmierci. Pod Wagram, kula armatnia strzaskała na sercu margrabiego de Cante-Croix jedyny portret, który mógłby świadczyć o piękności pani de Bargeton. Długo opłakiwała pięknego młodzieńca, rozpłomienionego sławą i miłością, który w dwóch kampanjach został pułkownikiem, a który list od Nais stawiał wyżej cesarskich odznaczeń. Cierpienie rzuciło na twarz tej kobiety zasłonę smutku. Zasłona ta rozprószyła się dopiero w owym straszliwym wieku, gdy kobieta poczyna

żałować pięknych lat, których nie zdołała użyć, gdy widzi jak róże zaczynają więdnąć i gdy tęsknoty miłosne budzą się na nowo, wraz z żądzą przedłużenia ostatnich wspomnień młodości. Wszystkie bogactwa duszy zmieniły się w jej sercu w jedną ranę, z chwilą gdy ogarnął ją chłód prowincji. Podobna gronostajowi umarłaby z rozpaczy, gdyby, przypadkiem, skalała się zetknięciem z tymi ludźmi, których jedyną myślą była niedroga partyjka, wieczorem, po dobrym obiedzie. Duma uchroniła ją od żałosnych prowincjonalnych miłostek. Między pustką ludzi którzy ją otaczali, a nicością, kobieta tak niepospolita musiała przekładać nicość. Małżeństwo i świat były dla niej niby klasztorem. Żyła poezją, jak Karmelitanka religją. Została prosta i silna, jak drzewo, które zniosło uderzenie piorunu, nie dając się powalić. Godność jej zmieniła się w sztywność, królewskość uczyniła ją przesadną i wymuszoną. Jak wszyscy, którzy pozwalają się ubóstwiać dworakom, panowała przez swoje wady. Taką była przeszłość pani de Bargeton; trzeba było ją poznać, aby zrozumieć stosunek tej kobiety do Lucjana. Poeta wszedł do jej salonu w sposób dość szczególny. W ciągu ostatniej zimy, przybyła do miasta osobistość, która wniosła nieco ożywienia w jednostajne życie pani de Bargeton. Otworzyło się świeżo miejsce dyrektora podatków bezpośrednich; otóż na tę posadę, przysłano z Paryża człowieka, którego burzliwe losy czyniły dość interesującym, aby ciekawość kobieca posłużyła mu za paszport do salonu miejscowej monarchini.

Pan du Châtelet, który przybył na świat poprostu jako

Sykstus Châtelet, ale który, od 1806, miał na tyle praktycznego zmysłu iż nadał sobie tytuł, był jednym z owych sympatycznych młodych ludzi, którzy, za Napoleona, uniknęli wszystkich konskrypcyj, pozostając wciąż w pobliżu cesarskiego słońca. Zaczął karjerę od przybocznego sekretarza jednej z księżniczek domu cesarskiego. Pan du Châtelet miał wszystkie braki jakich wymagało to miejsce. Dobrze zbudowany, ładny mężczyzna, dobry tancerz, zręczny bilardzista, biegły we wszystkich grach i ćwiczeniach, mierny aktor w teatrach amatorskich, salonowy śpiewak, wdzięczny słuchacz anegdot i dowcipów, gotów do wszystkiego, giętki, zawistny, posiadał wszystko i nic równocześnie. Nieuk muzyczny, umiał, w potrzebie, nieźle zaakompanjować damie która dała się uprosić o zaśpiewanie *romanzy* wykutej w pocie czoła przez miesiąc. Niezdolny do odczucia poezji, podejmował się ułożyć, w dziesięć minut, jakąś improwizację, czterowiersz płaski jak pluskwa, w którym rymy sztukowały brak myśli. Pan du Châtelet posiadał jeszcze talent dokończenia tła w hafcie, rozpoczętym paluszkami księżniczki; umiał z nieskończonym wdziękiem, trzymać jedwab który ona zwijała, mówiąc jej równocześnie miłe błahostki, których pieprzna treść ukryta była pod mniej lub więcej przeźroczystą gazą. Bez pojęcia o malarstwie, potrafił jednak skopjować jakiś pejzażyk, pochwycić sylwetkę, wyrysować i wykolorować kostjum. Słowem, gromadził wszystkie owe drobne talenciki, które były tak potężną dźwignią karjery w owym czasie kiedy kobiety miały na

sprawy publiczne więcej wpływu niżby się zdawało. Uważał się za tęgiego gracza w dyplomacji, owej umiejętności tych, którzy nie posiadają żadnej i którzy wydają się tem głębsi przez swą próżnię. Umiejętność to zresztą bardzo wygodna, o tyle, iż dowody jej składa się pełniąc jej wysokie funkcje, że, potrzebując ludzi dyskretnych, pozwala ignorantom nie mówić nic i osłaniać się tajemniczemi minami. Człowiekiem najtęższym w tej sztuce jest ten, który pływa trzymając głowę ponad falą wypadków i zdając się nimi kierować: kwestja małego ciężaru gatunkowego. Tu, podobnie jak w sztuce, spotyka się tysiąc miernot na jednego genjalnego człowieka. Mimo zwyczajnej i nadzwyczajnej służby przy Jej Cesarskiej Wysokości, wpływ protektorki nie zdołał wszrubować Châteleta do Rady Stanu: nie dlatego, aby nie mógł, jak tylu innych, zajmować z wdziękiem referendarskiego fotela, ale ponieważ księżniczka uważała, iż bardziej jest na miejscu przy jej osobie niż gdziekolwiek indziej. Mimo to, otrzymał tytuł barona, przybył do Cassel jako nadzwyczajny wysłannik i istotnie okazał się tam bardzo nadzwyczajny. Inaczej mówiąc, Napoleon posłużył się nim w krytycznym momencie, jako kurjerem dyplomatycznym. W chwili gdy cesarstwo padło, baron du Châtelet miał przyrzeczoną nominację na posła w Westfalji przy Królu Hieronimie. Postradawszy w ten sposób tę posadę, którą nazywał ambasadą rodzinną, wpadł w rozpacz; puścił się do Egiptu z generałem Armandem de Montriveau. Rozłączony z towarzyszem przez nadzwyczajne wydarzenia, błąkał się przez dwa lata z pustyni w pustynię, od szczepu do szczepu,

jako jeniec Arabów, którzy odprzedawali go jedni drugim, nie mogąc wyciągnąć żadnej korzyści z jego talentów. Wreszcie, udało mu się trafić na statek angielski, na którym zdołał wrócić do Francyi na rok przed swym towarzyszem podróży. Świeże nieszczęścia, stosunki z dawniejszych czasów, przysługi oddane osobom będącym dziś u władzy, wszystko to zwróciło nań uwagę rządu i zjednało mu pierwszą wolną posadę. Rola, którą pan du Châtelet odgrywał w swoim czasie przy Cesarskiej Wysokości, opinia zdobywcy serc, szczególne przygody jego podróży, jego nieszczęścia, wszystko to pobudziło ciekawość kobiecego świata w Angoulême. Poznawszy obyczaje górnego miasta, baron Sykstus du Châtelet umiał się zachować odpowiednio. Odgrywał rolę człowieka chorego, przybrał pozę obojętności i przeżycia.

Przy każdej sposobności ujmował się rękami za głowę, jakgdyby cierpienie nie zostawiało mu ani chwili spokoju: niewinna sztuczka, która przypominała jego podróż i czyniła go interesującym. Złożył wizyty władzom: jenerałowi, prefektowi, generalnemu dyrektorowi skarbu i biskupowi, ale wszędzie był grzeczny, chłodny, lekko wzgardliwy, jak człowiek, który nie czuje się na właściwem miejscu i czeka chwili w której zajmie odpowiednie stanowisko. Pozwolił domyślać się tylko swych towarzyskich talentów, które zyskały na tem iż zostały nieznane; następnie, stawszy się bohaterem miasta, a nie wyczerpując zaciekawienia, poznawszy do gruntu nicość mężczyzn, a przestudjowawszy wytrawnem okiem, w ciągu kilku niedziel, w kościele katedralnym kobiety, uznał w

pani de Bargeton osobę, o której względy warto się było ubiegać. Rachował na pomoc muzyki, aby się przedostać przez próg tego niedostępnego dla obcych przybytku. Sprowadził sobie potajemnie mszę Miroira, wyćwiczył ją na fortepianie, następnie zaś, w jakąś piękną niedzielę, w którą całe towarzystwo angoulemskie zebrało się w katedrze, zachwycił wszystkich ignorantów przygrywając na organach i pobudził zaciekawienie związane z jego osobą, postarawszy się o niedyskrecję, która zdradziła wirtuoza. Przy wyjściu z kościoła, pani de Bargeton wyraziła mu słowa uznania, ubolewała że nie ma sposobności aby razem z nim uprawiać muzykę; w czasie tego rozmyślnie sprowadzonego spotkania, w naturalny sposób potrafił Châtelet zdobyć ów paszport, któregoby nie był otrzymał, gdyby się o niego starał. Zręczny baron zaczął bywać u królowej Angoulême i otoczył ją kompromitującemi zalotami. Podstarzały piękniś (miał czterdzieści pięć lat) odgadł w tej kobiecie całą drzemiącą młodość, niewyzyskane skarby, może, w przyszłości, bogatą wdowę do wzięcia, wreszcie związek z rodziną Nègrepelisse ułatwiający mu w Paryżu oparcie o margrabinę d‘Espard, której wpływ mógł mu na nowo otworzyć karjerę polityczną. Mimo smutnej i szpecącej jemioły która psuła to piękne drzewo, postanowił zająć się niem, oczyścić je, uprawić i otrzymać zeń piękne owoce. Całe arystokratyczne Angoulême okrzyknęło się przeciw wpuszczeniu giaura do swego klanu, salon bowiem pani de Bargeton był punktem zbornym towarzystwa wolnego od wszelkiej obcej domieszki. Jedynie biskupa dopuszczano

tam na stałe, prefekt pojawiał się dwa lub trzy razy do roku. Generalny dyrektor skarbu nie mógł się dostać do tego salonu; pani de Bargeton bywała na jego wieczorach, koncertach, lecz nie przyjęła nigdy zaproszenia na objad. Nie przyjmować generalnego dyrektora skarbu, dopuścić zaś prostego dyrektora podatków, to obalenie hierarchji wydało się wzgardzonym władzom nie do pojęcia!

Ci, którzy potrafią zżyć się myślą z temi małostkami, istniejącemi zresztą w każdej sferze, zrozumieją, jak bardzo pałac państwa de Bargeton musiał się wydawać imponujący mieszczaństwu z Angoulême. Co się tyczy Houmeau, to wielkości owego Luwru na małą skalę, chwała tego angoulemkiego *pałacu Rambouillet*, błyszczały dla przedmieścia nakształt odległego słońca. W rzeczywistości, to co się tam zbierało, były to najmizerniejsze dusze, najtępsze mózgi, najobskurniejsze figury na dwadzieścia mil wokoło. Dyskusje polityczne tonęły tam w komunałach: *Quotidienne* była dla nich zbyt umiarkowana. Ludwik XVIII uchodził za jakobina. Kobiety, przeważnie głupie, bez wdzięku, źle ubrane, wszystkie miały jakieś braki które je szpeciły; nic nie było zupełne, ani rozmowa, ani strój, ani ciało, ani dusza. Gdyby nie zamiary na panią de Bargeton, Châtelet nie byłby tam wytrzymał. Mimo to, maniery i duch kastowy, arystokratyczne tony, duma szlachcica na swoim zameczku, znajomość praw grzeczności pokrywały całą tę pustkę. Szlachetność uczuć była o wiele szczersza niż w sferze wielkości paryskich; jaśniało tam istotnie czcigodne przywiązanie — *pomimo wszystko* — do Burbonów. Społeczeństwo to możnaby

porównać, jeśli wolno użyć takiego obrazu, do srebra o staroświeckiej formie, zczerniałego, ale mającego wagę. Nieruchomość przekonań politycznych podobna tu była do wierności. Dystans stworzony pomiędzy tem społeczeństwem a światem mieszczańskim, trudność dostania się do niego, stwarzały mu urojoną wartość. Każdy członek tej szlachty miał dla mieszkańców swą cenę, podobnie jak muszelki zastępują srebro u murzynów z Bambara. Kobiety, ujęte grzecznościami pana du Châtelet i uznając w nim zalety na których zbywało mężczyznom z ich sfery, starały się złagodzić uprzedzenia i niechęci: każda spodziewała się zgarnąć spadek po Cesarskiej Wysokości. Puryści mniemali, iż będą zmuszeni spotykać intruza u pani de Bargeton, ale że, pozatem, nie znajdzie wstępu do żadnego innego domu. Du Châtelet zniósł wiele niegrzeczności, ale utrzymał się w pozycji, szukając oparcia o duchowieństwo. Następnie, wyzyskał słabostki jakie prowincja wytworzyła w królowej Angoulême, znosił jej nowe książki, czytywał jej świeżo pojawiające się poezje. Rozpływali się razem nad dziełami młodych pisarzy, ona szczerze, on znudzony w duchu, ale znosząc cierpliwie romantycznych poetów, dla których, jako człowiek ze szkoły cesarstwa, mało miał odczucia. Pani de Bargeton, zachwycona tem odrodzeniem poezji pod wpływem lilij burbońskich, kochała pana de Châteaubriand za to że nazwał Wiktora Hugo „cudownem dziecięciem“. Bolejąc, iż może obcować z genjuszami jedynie na odległość, wzdychała do Paryża, tej siedziby wielkich ludzi. Pan du Châtelet, sądząc iż czyni krok bardzo zręczny, opowiedział

jej wówczas, że istnieje w Angoulême drugie cudowne dziecię, młody poeta, który, sam nie wiedząc o tem, przewyższa blaskiem gwiazdy konstelacyj paryskich. Przyszły wielki człowiek urodził się w Houmeau! Zawiadowca kolegjum pokazał baronowi prześliczne wiersze jego pióra. Biedny i skromny, chłopiec ten był niby Chatterton bez nikczemności politycznej, bez dzikiej nienawiści społecznych wyżyn, która pchnęła angielskiego poetę do pisania pamfletów przeciw swym dobroczyńcom. Skazana na towarzystwo kilku osób które podzielały jej artystyczno-literackie zamiłowania — jeden ponieważ rzempolił na skrzypcach, drugi ponieważ zdarzało mu się zanieczyszczać sepią biały papier, ten z tytułu prezesa towarzystwa rolniczego, tamten z racji basowego głosu, który pozwolił mu intonować, nakształt pobudki myśliwskiej, *se fiato in corpo avete*, — pośród tych śmiesznych figur, pani de Bargeton była jak człowiek trawiony głodem wobec teatralnego objadu, o potrawach z kartonu. Toteż, nic nie mogłoby odmalować jej radości, gdy dowiedziała się o tej nowinie. Zapragnęła ujrzeć tego poetę, tego anioła, marzyła o nim, zapalała się, mówiła o nim godzinami. W dwa dni później, ex-kurjer dyplomatyczny postarał się, za pomocą zawiadowcy szkoły, o przedstawienie Lucjana pani de Bargeton.

Wy tylko, biedni Heloci prowincji, dla których dystanse społeczne o ileż dłuższe są do przebycia niż w Paryżu, gdzie z każdym dniem stają się one coraz mniejsze, wy, ofiary nielitościwych barjer między któremi każdy z rozmaitych światów tego świata wyklina się nawzajem i

mówi sobie *Raka!* wy jedynie zrozumiecie wzruszenie, które owładnęło mózgiem i sercem Lucjana Chardon, gdy imponujący prowizor powiedział mu, że bramy pałacu Bargetonów miały się dlań otworzyć! sława dotknęła ich swoją czarodziejską różdżką! Znajdzie łaskawe przyjęcie w tym domu, którego stare gzymsy ciągnęły jego spojrzenie, gdy przechadzał się wieczorem z Dawidem w Beaulieu, mówiąc sobie, że ich nazwiska nie przedostaną się może nigdy do tych uszu, głuchych na głos wiedzy, gdy wychodzi ze zbyt nizkiej strefy.

Siostra Lucjana była jedyną powiernicą sekretu. Jako dobra gospodyni, jako czarodziejska wróżka, Ewa dobyła ze skarbczyka kilka luidorów, aby kupić dla Lucyana wykwintne trzewiki u najlepszego szewca w Angoulême, nowe ubranie u najsłynniejszego krawca. Przybrała mu najlepszą koszulę żabotem, który wyprała i wyprasowała sama. Cóż za radość, kiedy go ujrzała tak strojnym; jakże dumna była z brata! ileż przestróg, zaleceń! Przewidziała tysiąc najgłupszych drobiazgów. Nawykły do rozmyślań Lucjan miał nałóg opierania się o stół skoro tylko usiadł, czasem zdarzało mu się nawet przyciągnąć stół, aby się na nim oprzeć; Ewa przestrzegała go, aby, w tem arystokratycznem sanktuarjum, nie ważył się pozwalać sobie na tę naganną swobodę. Odprowadziła go aż do bramy św. Piotra, śledziła go wzrokiem gdy szedł ulicą do alei w której go miał oczekiwać pan du Châtelet. Poczciwa dziewczyna wróciła do domu cała wzruszona, jakgdyby się spełniła jakaś wielka rzecz. Lucjan u pani de Bargeton, to było dla Ewy jakby zaranie świetnej przyszłości. Ta święta

istota nie wiedziała, że, gdzie zaczyna się ambicja, tam kończą się naiwne uczucia. W miarę jak Lucjan zbliżał się do pałacu, oswajał się stopniowo z rzeczywistością. Ten Louvre, tak wyolbrzymiony jego wyobraźnią, był to dom wybudowany z wapiennego kamienia, obfitego w tej okolicy, któremu czas nadał złotawą patynę. Wygląd dość smutny od ulicy, wewnątrz był bardzo skromny: był to dziedziniec prowincjonalnego domu, schludny i zimny; architektura prosta, niemal klasztorna, dobrze zachowana. Lucjan wszedł po starych schodach z drewnianą balustradą; począwszy od pierwszego piętra, schody nie były już kamienne lecz drewniane. Minąwszy lichy przedpokój, wielki słabo oświetlony salon, ujrzał władczynię w małym saloniku, wykładanym boazerjami w smaku XVIII wieku, malowanemi na szaro. Ściany obite były starym czerwonym adamaszkiem. Meble o staroświeckim kształcie kryły się smutno pod pokrowcami w kratę, białą z czerwonem. Poeta ujrzał panią de Bargeton siedzącą na wyścielanej kanapie, przy okrągłym stole pokrytym zielonym dywanikiem, ze staroświeckim świecznikiem o dwóch świecach.

Królowa nie podniosła się z miejsca, wykręciła się tylko wdzięcznie na kanapce, uśmiechając się do poety, którego ten wężowy ruch zachwycił: zdawał mu się dystyngowany. Nadzwyczajna piękność Lucjana, jego nieśmiałość, jego głos, wszystko ujęło panią de Bargeton. Poeta był już poezją. Młody człowiek objął ukradkowym rzutem oka tę kobietę, która wydała mu się w harmonji ze swym rozgłosem: nie zawiodła jego pojęć o wielkiej damie. Pani de Bargeton nosiła, idąc za nową modą, czarny aksamitny

berecik, z pod którego wymykały się w nieładzie loki rudawo-blond, błyszczące w świetle złotawym połyskiem o gorącym odcieniu. Dostojna pani posiadała ową wspaniałą cerę, którą kobieta okupuje przykre strony związane podobno z tym płowym odcieniem włosów. Szare oczy migotały żywym blaskiem, gdy czoło, już pokryte zmarszczkami, sklepiało się śmiałą płaszczyzną; otaczała je obwódka o połysku perłowej masy; po obu stronach nosa, dwie błękitne żyłki uwydatniały białość tej delikatnej oprawy. Nos był nieco zakrzywiony jak nosy Burbonów; włosy nie kryły całkowicie szyi. Suknia, niedbale spięta, odsłaniała nieco śnieżnej piersi, pozwalając zarazem oku domyślać się jej nieskazitelnych kształtów. Ręką starannie wypielęgnowaną, o delikatnych choć nieco suchych palcach, uczyniła pani de Bargeton uprzejmy gest wskazując młodemu poecie krzesło w pobliżu. Pan du Châtelet zajął fotel. W tej chwili dopiero Lucjan spostrzegł że są sami.

Rozmowa z panią de Bargeton upoiła młodego wieszcza z Houmeau. Trzy godziny w jej towarzystwie były dla Lucjana snem który chciałoby się przedłużyć w nieskończoność. Kobieta ta wydała mu się raczej powiewną niż chudą, urodzoną kochanką bez miłości, chorobliwą mimo swej siły. Wady jej, podkreślone *stylem* zachowania podobały mu się; ludzie młodzi dosyć smakują w przesadzie, owem kłamstwie pięknych dusz. Nie uderzyła go zupełnie sieć czerwonych żyłek na policzkach, którym smutki i jakieś dolegliwości dały ton ceglasty. Wyobraźnię jego uderzyły te oczy pełne żaru, te wytworne, ociekające

blaskiem pukle, ta śnieżna białość cery, świetlane punkty które pociągnęły go ku sobie, jak motyla blask świecy. A potem, dusza ta zbyt silnie przemówiła do jego duszy, aby mógł trzeźwo osądzić kobietę. Poryw tej kobiecej egzaltacji, żywość frazesów nieco trącących starzyzną i powtarzających się w ustach pani de Bargeton od dawna, ale dla niego nowych i świeżych, oczarowały go tem więcej, iż pragnął znaleźć wszystko pięknem i godnem zachwytu. Nie przyniósł z sobą poezyj, które miał odczytać: ale nie było o tem mowy: on zapomniał wziąć wierszy aby mieć prawo wrócić, pani de Bargeton wspomniała o nich jedynie poto, aby go zachęcić do odczytania ich któregoś dnia. Czyż to nie był już jakby pierwszy spisek? Pan Sykstus du Châtelet nie był rad z tego przyjęcia. Spostrzegł, późno nieco, możliwego rywala w tym urodziwym młodzieńcu. Odprowadził Lucjana do pierwszego zakrętu, w zamiarze rozwinięcia kunsztów swej dyplomacji. Lucjan zdziwił się niemało, słuchając jak pan dyrektor podatków pośrednich przyznaje sobie zasługę wprowadzenia go i daje mu, z tego tytułu, rozmaite rady.

„Dałby Bóg, aby spotkał się tam z lepszem przyjęciem niż on sam, mówił pan du Châtelet. Sam Dwór mniej jest z pewnością nadęty i nieprzystępny niż ta gromada mamutów. Trzeba być przygotowanym na śmiertelne ukłucia, znosić upokarzające lekceważenie. Rewolucja z r. 1789 musi na nowo wybuchnąć jeżeli ci ludzie się nie odmienią. Co do niego, pana du Châtelet, to, jeżeli bywa jeszcze w tym świecie, to jedynie ze względu na panią de Bargeton, jedyną kobietę którą można brać serjo w całem

Angoulême. Zaczął (powiadał baron) umizgać się do niej dla zabicia czasu, i, sam nie wiedząc kiedy, zakochał się do szaleństwa. Spodziewa się, iż wkrótce będzie należeć do niego, kocha go, wszystko pozwala mu w to wierzyć. Kapitulacja tej dumnej królowej będzie jedyną zemstą, jaką chce dosięgnąć to głupie gniazdo szlachciurów“.

Châtelet mówił o swej miłości, jak człowiek któryby się nie cofnął przed zgładzeniem rywala, gdyby ktoś ośmielił się stanąć mu w drodze. Podstarzały motylek Cesarstwa runął całym swoim ciężarem[4] na biednego poetę, próbując zmiażdżyć go wagą swej osoby, a zarazem napędzić mu strachu. Powiększył się w jego oczach, opowiadając niebezpieczeństwa swej podróży i to nieco ubarwione; ale, jeżeli zdołał podbić wyobraźnię poety, nie przestraszył bynajmniej kochanka.

Od tego wieczoru, mimo niezadowolenia starego eleganta, mimo jego pogróżek i rycerskich postaw, Lucjan pojawiał się nieraz u pani de Bargeton, zrazu z nieśmiałością plebejusza; wkrótce jednak oswoił się z tem, co mu się wydawało z początku ogromną łaską i odwiedzał ją coraz częściej. Syn aptekarza był, w oczach tego towarzystwa, istotą bez znaczenia. W samych początkach, o ile jakiemuś szlachcicowi lub którejś z pań zdarzyło się spotkać Lucjana u Nais, odnosili się doń z ową przygniatającą grzecznością, jaką ludzie wielkiego świata posługują się wobec niżej położonych istot. Lucjanowi świat ten wydał się zrazu nader ujmujący; z czasem jednakże, zrozumiał uczucia z których płynęły te łudzące względy. Parę wzgardliwych spojrzeń, które pochwycił w

przelocie, poruszyło w nim żółć do głębi i utwierdziło go w zaprawnych nienawiścią ideach republikańskich, któremi wielu z tych przyszłych patrycjuszów rozpoczyna swoje zetknięcie się z wyższą sferą. Ale jakichż cierpień nie byłby zniósł dla *Nais!* Słyszał jak dawano jej to imię, gdyż, między sobą, osoby tworzące ów klan, mężczyźni i kobiety, podobnie jak grandowie hiszpańscy lub śmietanka wiedeńskiego świata, nazywali się po imieniu: ostatni odcień wymyślony dla wprowadzenia wyróżnień w sercu miejscowej arystokracji.

Lucjan kochał Nais tą miłością, jaką każdy młody człowiek kocha pierwszą kobietę schlebiającą jego ambicji. Nais przepowiadała Lucjanowi wielką przyszłość, olbrzymią sławę. Pani de Bargeton rozwinęła całą zręczność aby przemycić w swym domu młodego poetę: nietylko wysławiała, ponad wszelką miarę, jego wartość, ale przedstawiała go zarazem jako biedne dziecko bez środków, któremu pragnie ułatwić przebijanie się przez życie. Pomniejszała go prawie, aby go móc zachować; robiła zeń swego lektora, sekretarza; ale, równocześnie, kochała go bardziej, niż, po straszliwem nieszczęściu jakie ją spotkało, przypuszczała sama iż zdolną jest kochać. W myślach, obchodziła się z sobą bardzo surowo; mówiła sobie, że byłoby szaleństwem pokochać dwudziestoletniego chłopca, którego już sama pozycja tak bardzo od niej oddala. Poufałościom, do których dopuszczała Lucjana, zadawała kapryśnie kłam duma zrodzona z tych skrupułów. Była z nim naprzemian wyniosła i łaskawa, czuła i pełna pochlebstw. Zrazu onieśmielony pozycją tej kobiety, Lucjan

przeżył wszystkie obawy, wszystkie nadzieje i rozpacze, które wykuwają pierwszą miłość i wciskają ją tak głęboko w serce owemi falami kolejnych chwil szczęścia i cierpienia. Przez dwa miesiące, widział w niej swą dobrodziejkę, która zechciała się nim zająć z macierzyńską troskliwością. Z czasem jednak stosunek zacieśniał się. Pani de Bargeton nazywała swego poetę drogim Lucjanem; potem, tylko *drogim*. Poeta, ośmielony, począł tę wielką damę nazywać poprostu *Nais*. Słysząc w jego ustach to imię, uniosła się owym gniewem, tak uroczym dla młodej wyobraźni: obsypała go wymówkami że używa imienia, którem posługują się wszyscy. Dumna i rasowa Nègrepelisse oddała poecie inne miano, jeszcze niezużyte: chciała być dlań Luizą. Lucjan dosięgnął trzeciego nieba miłości. Pewnego wieczora, Lucjan, zastawszy Luizę z wzrokiem zatopionym w portrecie który natychmiast ukryła, zapragnął go zobaczyć. Aby ułagodzić rozpacz owego pierwszego wybuchu zazdrości, Luiza pokazała portret młodego Cante-Croix i opowiedziała, nie bez łez, bolesne dzieje tej tak czystej a tak okrutnie przerwanej miłości. Czy gotowała się popełnić jakąś niewierność względem zmarłego, czy też natchnęła ją myśl stworzenia w tym portrecie rywala? Lucjan zbyt był młody, aby analizować postępki ubóstwianej; wpadł więc w rozpacz, wielce naiwną zaiste, gdyż Luiza dała w ten sposób hasło kampanji, w której kobiety pozwalają robić wyłom w mniej lub więcej pomysłowo podsycanych skrupułach. Ich dyskusje o obowiązkach, formach, religji, są to niby-fortyfikacje, przeznaczone na to aby je zdobywano

szturmem. Niewinnemu Lucjanowi nie było trzeba tych kokieterji, byłby wojował z własnego popędu.

— Ja nie chcę wcale umierać, ja chcę żyć dla ciebie, rzekł rezolutnie pewnego wieczora, pragnąc skończyć już raz z panem de Cante-Croix. Mówiąc to, objął Luizę spojrzeniem, w którem malowała się namiętność dojrzała do czynu.

Przerażona postępami jakie świeża miłość czyniła w niej samej i w jej poecie, Luiza przypomniała mu wiersz przyrzeczony na pierwszą stronicę albumu, szukając przedmiotu do sprzeczki w opieszałości z jaką Lucjan spełnia jej życzenia. Jakichż uczuć doznała, odczytując te dwie stance, które wydały się jej oczywiście piękniejsze od najlepszych strof poety arystokracji, Canalisa?[5]

Nie zawsze tęcze magicznych kolorów,
Wśród welinowej igraszki Amorów,
Rozsnuwać będą swe nici;
Oddechu lubej pieśń moja spragniona,
Wszystkie radości i smutki jej łona
Z ust najmilejszych pochwyci.

A gdy pobladną wspomnienia i głoski,
Niech ją te karty w marzenia bez troski
Jak białe żagle powiodą,
Przez krajobrazy spełnionych już losów,
W szczęśliwą przeszłość, jak lazur niebiosów
Przeczystą lśniących pogodą.[6]

— Czy to naprawdę ja ci podyktowałam? spytała.

To podejrzenie płynące z zalotności kobiety której igranie z ogniem sprawia rozkosz, napełniło łzami oczy

Lucjana; ukoiła go, składając, po raz pierwszy, pocałunek na jego czole. Lucjan stał się w jej oczach wielkim człowiekiem. Zapragnęła go kształcić; zamierzała go nauczyć włoskiego i niemieckiego języka, udoskonalić jego ułożenie; znalazła w tem cały szereg pretekstów, aby go trzymać nieustannie przy sobie, pod nosem swych nudnych dworzan. Cóż za urok w jej życiu! Zabrała się na nowo do muzyki dla swego poety, któremu odsłoniła świat tonów; zagrała mu kilka pięknych utworów Beethovena i olśniła go; szczęśliwa z jego radości, mawiała obłudnie, widząc go wpół omdlałym:

— Czy nie można zadowolić się takiem szczęściem?

A biedny poeta był na tyle głupiutki, iż odpowiadał:

— Tak.

Wreszcie, rzeczy posunęły się tak daleko, iż Luiza zaprosiła Lucjana na obiad, we troje z panem de Bargeton. Mimo tej ostrożności, całe miasto wiedziało o tem zdarzeniu, które wydało się czemś tak niesłychanem, iż każdy pytał sam siebie czy to może być prawdą. Poruszenie było straszliwe. W oczach wielu osób, zdawało się, iż społeczeństwo znajduje się w przededniu przewrotu. Inni wykrzyknęli:

— Oto owoc dzisiejszego liberalizmu!

Zawistny du Châtelet dowiedział się wówczas, że pani Szarlota, trudniąca się zawodowo pielęgnowaniem położnic, jest nie kim innym jak panią Chardon, matką „Chateaubrianda z Houmeau“, jak mawiał. Epitet ten obiegł miasto niby najświetniejszy dowcip. Pani de Chandour przybiegła pierwsza do pani de Bargeton.

— Czy wiesz, droga Nais, o czem mówi całe Angoulême? rzekła; matką tego małego wierszoklety jest pani Szarlota, która, przed dwoma miesiącami, pielęgnowała moją bratową w połogu.

— Moja droga, rzekła pani de Bargeton, przybierając królewską minę, cóż w tem tak nadzwyczajnego? czyż nie jest wdową po aptekarzu? zapewne, smutny to los dla panny de Rubempré. Przypuśćmy, że która z nas znalazłaby się bez grosza przy duszy... i cóż robiłybyśmy aby żyć? jakżebyś wyżywiła swoje dzieci?

Zimna krew pani de Bargeton położyła koniec biadaniom noblesy. Wielkie dusze zawsze są skłonne podnieść nieszczęście do wyżyn cnoty. Przytem, wytrwałość w dobrym uczynku wbrew ludzkim potępieniom ma niewysłowione uroki; rzecz w zasadzie niewinna nabiera powabów występku. Tego wieczora, salon pani de Bargeton napełnił się przyjaciółmi, którzy przybyli aby przemawiać jej do rozsądku. Rozwinęła całą swą ciętość: rzekła, iż, skoro szlachta nie jest zdolna wydać ani Moliera, ani Rasyna, ani Woltera, ani Massilona, ani Beaumarchais‘go, ani Diderota, trzeba się pogodzić z istnieniem tapicerów, zegarmistrzów, nożowników, których synowie zostają wielkimi ludźmi. Rzekła, iż genjusz zawsze jest patentem szlachectwa. Zmyła głowę szlachcicom że tak mało mają zrozumienia swoich prawdziwych interesów. Słowem wytoczyła mnóstwo niedorzeczności, które byłyby olśniły ludzi mniej ograniczonych, a które, w każdym razie, przyniosły zaszczyt jej oryginalności.

W ten sposób, burza została zażegnana strzałami

armatnimi. Kiedy Lucjan, wezwany przez panią de Bargeton, zjawił się pierwszy raz w starym spłowiałym salonie, w którym grano przy czterech stolikach w wista, przyjęła go z wyszukaną uprzejmością i przedstawiła go tonem królowej, która życzy sobie aby ją słuchano. Nazwała dyrektora podatków *panem Châtelet*, i zmiażdżyła go, dając do zrozumienia, że nie jest dla niej tajemnicą improwizowane pochodzenie jego szlacheckiego przydomka. Od tego tedy wieczora, Lucjan został przemocą wprowadzony w towarzystwo pani de Bargeton; przyjęto go jednakże jak jakąś jadowitą substancję, którą każdy przyrzekł sobie uprzątnąć, poddając odczynnikom impertynencji. Mimo tego tryumfu, panowanie Nais zachwiało się: znaleźli się odszczepieńcy, którzy próbowali się buntować. Idąc za radą pana Châtelet, Amelja, inaczej pani de Chandour, postanowiła przeciwstawić ołtarzowi nowy ołtarz, otwierając u siebie przyjęcia we środy. Pani de Bargeton przyjmowała codzień; ci, którzy bywali u niej, byli tak w to włożeni, tak nawykli spotykać się przy tych samych stolikach, tym samym triktraku, oglądać te same twarze, te same świeczniki, składać płaszcze, kalosze i kapelusze w tym samym kurytarzu, że byli przywiązani do stopni na schodach w tej samej mierze co do gospodyni domu. Wszyscy pogodzili się z narzuconym im „ostem ze świętego Gaju“[7], wedle konceptu Aleksandra de Brébian. Wreszcie, prezes Towarzystwa Rolniczego uśmierzył wzburzenie uwagą:

— Przed wybuchem Rewolucji, powiedział, najwięksi panowie przyjmowali u siebie Duclosa, Grimma,

Crébillona, ludzi, którzy, tak samo jak ten gryzipiórek z Houmeau, byli niczem; żaden zato nie wpuściłby do domu poborcy, jakim jest, koniec końców, Châtelet.

Du Châtelet zapłacił za Chardona, wszyscy poczęli go traktować z pewną oziębłością. Czując się zagrożony, dyrektor podatków, który, od chwili gdy pani de Bargeton nazwala go tylko *Châtelet*, poprzysiągł sobie w duchu że musi mieć tę kobietę, wszedł na pozór w intencje pani domu, stanął po stronie młodego poety, głosząc się jego przyjacielem. Ten wielki dyplomata, którego cesarz tak lekkomyślnie postradał, zręcznie przyciągnął do siebie Lucjana, okazując mu jawną życzliwość. Aby wprowadzić w świat poetę, wydał objad, na którym znaleźli się prefekt, naczelnik skarbowości, pułkownik miejscowego garnizonu, dyrektor szkoły marynarskiej, prezydent trybunału, słowem wszyscy rządowi dygnitarze. Biednego poetę fetowano tak wspaniale, że ktobądź inny niż dwudziestodwuletni chłopiec byłby silnie podejrzewał jakąś mistyfikację w pochwałach któremi zasypywano mu oczy. Przy deserze, Châtelet nakłonił rywala do wygłoszenia *Ody umierającego Sardanapala*, jego ostatniego arcydzieła. Słysząc ten utwór, prowizor kollegjum, mimo iż z natury flegmatyk, począł klaskać w ręce, utrzymując, że Jan Baptysta Rousseau nigdy nie napisał nic lepszego. Baron Sykstus Châtelet pomyślał że młody wierszokleta zadławi się prędzej czy później w tej cieplarni pochwał i zachwytów, lub, w upojeniu przedwczesnej sławy, pozwoli sobie na jakąś śmiałość, która go zepchnie z powrotem w dawną nicość. Oczekując na rychły zgon tego genjusza, złożył napozór, z

całem wyrzeczeniem się, dawne pretensje u stóp pani de Bargeton; jednakże, z wytrawnością bywalca, ukartował plan i ze strategiczną bacznością śledził postępy pary kochanków, upatrując chwili w której będzie mógł zgubić Lucjana. Od tej pory, począł się rozchodzić po Angoulême i okolicy głuchy szmer, zwiastujący pojawienie się w mieście wielkiego człowieka. Powszechnie chwalono panią de Bargeton za troskliwość, jaką otacza to młode orlę. Raz zdobywszy uznanie swego postępowania, pani de Bargeton zapragnęła uzyskać generalną sankcję. Obębniła w całym departamencie proszony wieczór z lodami, ciastkami i herbatą, wielką nowość w mieście, w którem herbatę sprzedawano jeszcze w aptekach, jako kordjał przeciw niestrawności. Zaproszono kwiat arystokracji na wysłuchanie wielkiego dzieła, które miał odczytać Lucjan.

Luiza zataiła przed młodym przyjacielem trudności które zwyciężyła, lecz wspomniała mu w kilku słowach o sprzysiężeniu uknutem przeciw niemu przez „towarzystwo“. Nie chciała go zostawiać nieświadomym ciernistej drogi otwierającej się przed genjuszami i najeżonej przeszkodami nie do zwalczenia dla ludzi pospolitych. Pragnęła wyciągnąć dlań naukę z odniesionego zwycięstwa. Białą ręką ukazała mu sławę okupywaną nieustannem cierpieniem, mówiła o stosie męczeńskim przez który trzeba mu się przedrzeć, słowem, przyrządziła swoje najpiękniejsze *tartynki* i ukwieciła je najpompatyczniejszemi wyrażeniami. Była to kopja owej frazeologji, która tak szpeci *Korynnę* pani de Stael. Luiza uczuła się tak wielką swą wymową, iż tem więcej

pokochała benjaminka, który stał się źródłem jej natchnienia; poradziła mu odważnie zaprzeć się ojca przybierając szlachetne miano de Rubempré, bez względu na krzyki jakie wywoła ta zmiana, którą zresztą król ulegalizuje. Będąc kuzynką margrabiny d‘Espard, z domu de Blamont-Chauvry, mającej ogromne wpływy u dworu, podejmowała się wyjednać tę łaskę. Te słowa „król“, „margrabina d‘Espard“, „dwór“, podziałały na Lucjana niby widok wspaniałego fajerwerku; konieczność tego chrztu stała się dlań oczywista.

— Drogi mały, rzekła Luiza tonem tkliwego zrzędzenia, im wcześniej to nastąpi, tem wcześniej uzyska sankcję.

Przebiegła, jedną po drugiej, warstwy społeczeństwa, dając poecie policzyć wszystkie stopnie, które przeskakuje odrazu dzięki tej zręcznej determinacji. W tej jednej chwili, skłoniła Lucjana do zaparcia się gminnych poglądów o urojonej równości z r. 1793, obudziła w nim żądzę wyróżnień, zdławioną dzięki trzeźwemu rozsądkowi Dawida, i wskazała mu wyższe sfery jako jedyną widownię, której powinien się trzymać. Zajadły liberał zmienił się w monarchistę *in petto*. Lucjan skosztował jabłka arystokratycznego zbytku i sławy. Poprzysiągł przynieść do stóp swej damy wieniec chociażby krwią zbroczony; zdobędzie go za jakąbądź cenę, *quibuscumque viis*. Aby dać dowód własnego męstwa, opowiedział obecne niedole, które ukrywał przed Luizą, wiedziony ową nieokreśloną wstydliwością związaną z pierwszem uczuciem. Odmalował cierpienia hardo znoszonej nędzy, swoją pracę u Dawida, noce obracane na studja. Ten młodzieńczy zapał

przypomniał pani de Bargeton dwudziestosześcioletniego pułkownika; w spojrzeniu jej zamigotało coś miękkiego. Widząc że imponująca dama jego serca poddaje się swej słabości, Lucjan chwycił rękę której mu nie wzbroniono, i ucałował ją z całym ogniem poety, młodego człowieka, kochanka. Luiza posunęła się tak daleko, iż zezwoliła, aby syn aptekarza dosięgnął jej czoła i przycisnął do niego drżące wargi.

— Dziecko! dziecko! gdyby nas ktoś zobaczył, wyglądałabym bardzo śmiesznie, rzekła, budząc się z upajającego omdlenia.

W ciągu tego wieczora, wymowa pani de Bargeton uczyniła wielkie spustoszenia w tem co ona nazywała *przesądami* Lucjana. Wedle jej słów, genjalni ludzie nie mają braci ani sióstr, ojca ani matki; olbrzymie dzieła, które mają wydać na świat, nakazują im bezwarunkowy egoizm, każąc poświęcić wszystko dla swej wielkości. Jeżeli rodzina cierpi zrazu od tego drapieżnego łupieztwa jakiemu poddaje ją mózg tytana, zbiera później stokrotną nagrodę wszelakich poświęceń, dzieląc owoce zwycięstwa. Genjusz zawisły jest jedynie od siebie: on tylko jest sędzią środków którymi się posługuje, gdyż on tylko zna swoje cele. Powołany do przetworzenia praw, winien umieć postawić się nad niemi; zresztą, kto umie zawładnąć swą epoką, może po wszystko wyciągnąć rękę, na wszystko się ważyć, bo wszystko należy do niego. Przytaczała początki Bernarda de Palissy, Ludwika XI, Foxa, Napoleona, Krzysztofa Kolumba, Cezara, wszystkich owych wielkich graczy, zrazu przygniecionych długami lub nędzą,

niezrozumianych, uważanych za szaleńców, za złych synów, złych ojców, złych braci, a później stających się dumą rodziny, kraju, całego świata.

Te rozumowania trafiały w sedno ukrytych wad Lucjana i przyspieszały skażenie jego serca: w gorączce pożądań, dopuszczał *a priori* wszystkie środki. Ale chybić sukcesu jest zbrodnią obrazy majestatu społeczeństwa. Czyż zwyciężony nie zdeptał wówczas wszystkich domowych cnót, na których wspiera się to społeczeństwo, ze wstrętem pędzące precz Marjuszów siadających na ruinach? Lucjan, który nie wiedział iż znajduje się pomiędzy hańbą katorgi a wieńcem genjuszu, bujał ponad górą Synaj proroków, nie widząc w dole morza Martwego, straszliwego całunu Gomory.

Luiza tak skutecznie wyzwoliła ducha swego poety z powijaków, w jakie omotała go prowincja, iż Lucjan zapragnął doświadczyć pani de Bargeton, aby się przekonać, czy może, bez narażenia się na wstyd odmowy, pokusić się o tę królewską zdobycz. Zapowiedziany wieczór dał mu sposobność odważenia się na próbę. Ambicja wplotła się w jego miłość. Kochał, i chciał się wspiąć w górę: pragnienie bardzo naturalne u młodych ludzi których serce jest równie zgłodniałe jak próżność. Zapraszając dziś wszystkie swe dzieci do jednej uczty, społeczeństwo budzi ich ambicje od samego zarania życia. Odziera młodość z jej powabów i kazi jej szlachetne uczucia, zaprawiając je rachunkiem. Poezja chciałaby to osłonić; ale fakty zbyt często zadają kłam fikcji w którąby się chciało wierzyć, aby można sobie pozwolić na

przedstawienie młodego chłopca innym niż jest w XIX wieku. Rachuba Lucjana wydała mu się dziełem pięknego uczucia, przyjaźni dla Dawida.

Lucjan napisał długi list do Luizy, czuł się bowiem śmielszy w piórze niż w słowach. Na dwunastu, trzy razy przepisanych ćwiartkach opowiedział dzieje genjuszu swego ojca, jego straconych nadzieji i straszliwej nędzy na jaką on sam jest wydany. Odmalował swą ukochaną siostrę jak anioła, Dawida jako przyszłego Cuviera, który, nim będzie wielkim człowiekiem, jest dlań ojcem, bratem, przyjacielem; uważałby się za niegodnego miłości Luizy, swej pierwszej chwały, gdyby nie żądał od niej dla Dawida tej samej ofiary jaką czyni dla niego. Raczej wyrzekłby się wszystkiego, niżby miał zdradzić Dawida Séchard; chce aby Dawid był przy jego tryumfie. Napisał jeden z owych szalonych listów, w których młodzi ludzie grożą pistoletem w razie odmowy, w których kołuje kazuistyka dzieciństwa, gdzie mówi nieopatrzna logika pięknych dusz, rozkosz gadulstwa zahaftowana owemi naiwnemi wyznaniami, wydzierającemi się z serca bez wiedzy piszącego i tak miłemi kobietom. Oddawszy list pannie służącej, Lucjan strawił cały dzień na przeglądaniu korekt, doglądaniu jakichś prac, porządkowaniu drobnych spraw w drukarni, nie mówiąc nic Dawidowi. W porze gdy serce jest jeszcze dziecinne, młodzi ludzie miewają owe szczytne dyskrecje. Zresztą, może Lucjan zaczynał się lękać siekiery Focyona jaką umiał władać Dawid; może lękał się jasnego spojrzenia, które wnika w samą głąb duszy. Po lekturze Chéniera tajemnica spłynęła mu z serca na wargi, dotknięte

wymówką, którą odczuł niby palec lekarza położony na ranę.

A teraz, ogarnijcie myśli, jakie musiały oblegać Lucjana, gdy schodził z Angoulême do Houmeau. Czy jego wielka dama obraziła się? Czy zaprosi Dawida? czy nie strącą ambitnego śmiałka do jego dziury do Houmeau? Mimo że, przed pocałunkiem Luizy w czoło, Lucjan mógł zmierzyć oddalenie dzielące królowę od faworyta, nie rzekł sobie, iż Dawid nie może przebyć w mgnieniu oka przepaści, z którą on sam porał się pięć miesięcy. Nie znając bezwzględności ostracyzmu ścigającego ludzi ich sfery, nie pojmował, że druga tego rodzaju próba byłaby zgubą pani de Bargeton. Oskarżona i przekonana o „pospolitowanie się“, Luiza musiałaby opuścić miasto, lub też kasta jej uciekałaby przed nią tak, jak, w średnich wiekach, uciekano przed trędowatym. Cały klan arystokratyczny, a nawet kler, broniłby Nais wobec i przeciw wszystkim; w razie gdyby sobie pozwoliła na *fałszywy krok*; ale zbrodni zniżenia się do *złego towarzystwa* nie darowanoby jej nigdy; albowiem, o ile rozgrzesza się błędy władzy, potępia się je po abdykacji. Otóż przyjąć Dawida, czyż nie znaczyło abdykować? Jeżeli Lucjan nie ogarniał tej strony kwestji, jego instynkt artystyczny dawał mu przeczuć wiele innych trudności, które go przerażały. Szlachetność uczuć niekoniecznie daje szlachetność form. Jeżeli Racine miał wygląd najbardziej „urodzonego“ dworaka, Corneille podobny był wielce do handlarza wołów. Descartes wyglądał na poczciwego holenderskiego kupca. Często, spotykając Monteskiusza z motyką na ramieniu i w

szlafmycy, goście przybywający do la Brède brali go za ogrodnika. Formy światowe, o ile nie są darem urodzenia, wiedzą wyssaną z mlekiem lub przekazaną z krwią, stanowią przedmiot edukacji, którą los musi wspomagać pewną wytwornością kształtów, dystynkcją rysów, dźwiękiem głosu. Wszystkich tych ważnych drobiazgów zbywało Dawidowi, gdy natura obdarzyła nimi jego towarzysza. Wraz ze szlachectwem, wziął Lucjan po matce wysoko sklepioną stopę Franka, gdy Dawid Séchard miał płaskie nogi Welsza i kark ojca swego, wyrobnika. Lucjan słyszał szyderstwa sypiące się na Dawida; zdało mu się, że widzi mimowolny i dyskretny uśmiech pani de Bargeton. Słowem, nie odczuwając wprost wstydu za swego brata, przyrzekał sobie na przyszłość nie poddawać się już w ten sposób pierwszemu popędowi i rozważyć go wprzódy. Tak więc, po godzinie poezji i poświęcenia, po czytaniu, które świeżo ukazało dwom przyjaciołom oświetlone nowem słońcem gleby literackie, godzina polityki i jej rachub wybiła dla Lucjana. Wracając do Houmeau, żałował swego listu, byłby go pragnął cofnąć; dostrzegał bowiem — niby przez szczelinę — nieubłagane prawa świata. Odgadując, jak skutecznie wspomaga ambicję zdobyta fortuna, doznawał ciężkiego uczucia na myśl, iż trzeba mu będzie może cofnąć nogę z pierwszego szczebla drabiny, po której miał się piąć ku wyżynom. Z kolei, obrazy spokojnego i prostego życia, strojnego świeżemi kwiatami uczucia; ten Dawid tak genjalny, a który wspierał go tak szlachetnie, któryby oddał dlań w potrzebie życie; matka, tak wielka dama w swojem poniżeniu, przypisująca mu tyleż dobroci

ile miał talentów; siostra, młoda dziewczyna urocza w swej rezygnacji, dzieciństwo jego tak czyste, sumienie tak jeszcze nieskalane; nadzieje których nie wysmagał żaden wicher, wszystko odkwitało w jego wspomnieniu. Powiadał sobie wówczas, że piękniej jest przebić zwarte bataljony arystokratycznej lub mieszczańskiej ciżby siłą powodzenia, niż wybić się dzięki faworom kobiety. Genjusz jego zabłyśnie wcześniej czy później, jak genjusz tylu poprzedników którzy opanowali społeczeństwo; wówczas, kobiety będą go kochały! Przykład Napoleona, tak fatalny dla XIX wieku przez pretensje które roznieca w tylu miernotach, ukazał się Lucjanowi: odtrącił precz swoje rachuby, wyrzucając je sobie. Takim był charakter Lucjana, przechodził od złego do dobrego, od dobrego do złego z jednaką łatwością. Zamiast miłości jaką ma uczony dla swego schronienia, Lucjan doświadczał, od miesiąca, uczucia wstydu, widząc sklep, nad którym jaśniał, żółtemi literami na zielonem tle, napis:

POSTEL DAWNIEJ CHARDON
APTEKA

Nazwisko ojca, widniejące w miejscu gdzie przejeżdżały wszystkie powozy, raniło jego wzrok. Pewnego wieczora w którym przekroczył bramę, ozdobioną drobną kratką z złym guście, aby się pokazać w Beaulieu, między najwykwintniejszą młodzieżą *wyżnego miasta*, podając ramię pani de Bargeton, odczuł osobliwie boleśnie

rozdźwięk między tym domem a swoim sukcesem miłosnym.

— Kochać panią de Bargeton, posiadać ją może niebawem, i mieszkać w tej jamie! mówił sobie, dążąc korytarzykiem do małego dziedzińca, gdzie liczne pakiety gotowanych ziół suszyły się wzdłuż muru, gdzie uczeń czyścił kociołki apteczne, gdzie pan Postel opasany laboratoryjnym fartuchem, z retortą w dłoni, badał jakiś produkt chemiczny, równocześnie rzucając okiem w kierunku sklepu; o ile zaś przyglądał się zbyt bacznie preparatowi, ucho miał wytężone na dzwonek.

Zapach rumianku, mięty, destylatu rozlicznych ziół napełniał dziedziniec oraz skromny apartament, dokąd wchodziło się po stromych schodkach, posiadających, zamiast poręczy, dwa sznury. Jeszcze wyżej znajdował się strych, oraz jedyna izdebka, gdzie mieszkał Lucjan.

— Jak się masz, urwisie, rzekł Postel, prawdziwy typ prowincjonalnego sklepikarza. Jakże tam szacowne zdrówko? Co do mnie, właśniem skończył doświadczenie nad melasą, ale trzebaby na to waszego ojca aby znaleźć to czego szukam. To był człowiek całą gębą, świeć panie nad jego duszą! Gdybym znał jego sekret na podagrę, obaj jeździlibyśmy dziś karetami!

Nie zdarzył się tydzień, aby aptekarz, równie głupi jak poczciwy nie zadał pchnięcia sztyletem Lucjanowi, wspominając o nieszczęsnej dyskrecji, jaką ojciec jego zachował w kwestji swego odkrycia.

— To wielkie nieszczęście, odparł krótko Lucjan, któremu ojcowski elew zaczynał się wydawać straszliwie

pospolity, mimo iż błogosławił go często: niejednokrotnie bowiem zacny Postel wspomagał wdowę i dzieci swego mistrza.

— Cóż tobie? spytał Postel, kładąc epruwetkę na stole laboratoryjnym.

— Czy nie było listu do mnie?

— Ale owszem, i pachnie jak balsam! leży tam koło pulpitu, na ladzie.

List pani de Bargeton między słojami aptecznemi! Lucjan rzucił się w głąb sklepu.

— Śpiesz się Lucjanie! obiad czeka od godziny, wystygnie zupełnie, zawołał miły, słodki głosik przez otwarte okno. Lucjan nie słyszał.

— Pani brat coś nie tego, panno Ewo, rzekł Postel podnosząc głowę i przytykając znacząco palec do czoła.

Stary kawaler, dość podobny z postaci do baryłki z wódką, na której fantazja malarza pomieściłaby szeroką, czerwoną i ospowatą facjatę, przybrał, spoglądając na Ewę, minę ceremonjalną i słodką dowodzącą iż nosi się z myślą zaślubienia córki swego poprzednika, nie mogąc się wszelako uporać z walką jaką miłość i interes staczały w jego sercu. To też, często powtarzał Lucjanowi to zdanie, które rzucił mu obecnie, kiedy młody człowiek przechodził mimo:

— Ależ śliczna twoja siostrzyczka! Tobie też nic nie brakuje! Ojczulek wszystko robił galanto.

Ewa, słuszna brunetka, miała, przy czarnych włosach, niebieskie oczy. Mimo znamion męzkiego charakteru, była łagodna, tkliwa i skłonna do poświęceń. Jej niewinność,

naiwność, spokojna rezygnacja z jaką znosiła życie pochłonięte pracą, cnota jej na którą nie targnęła się żadna obmowa, musiały oczarować Dawida Séchard. To też, od pierwszego widzenia, wykwitła między nimi niema, cicha i prosta miłość, na sposób niemiecki, bez gwałtownych objawów i niecierpliwych wyznań. Każde myślało tajemnie o drugiem, jakgdyby ich rozdzielał jakiś zazdrosny mąż, dla którego to uczucie byłoby zniewagą. Oboje kryli się przed Lucjanem, tak jakby mu wyrządzali jakąś krzywdę. Dawid obawiał się iż nie spodoba się Ewie, którą znowuż trawiły skrupuły związane z ubóstwem. Zalotna dziewczyna umiałaby być śmiałą, ale dziecko starannie wychowane i zubożałe dostrajało się do swego smutnego losu. Skromna z pozoru, w rzeczywistości dumna, Ewa nie chciała się upędzać za człowiekiem który uchodził za bogatego. W tej chwili, ludzie świadomi rosnącej wartości ziemi, szacowali przeszło na ośmdziesiąt tysięcy folwarczek w Marsac, nie licząc gruntów, któremi stary Séchard, zbogacony oszczędnościami, szczęśliwy w zbiorach, zręczny w sprzedaży, miał zamiar go zaokrąglić, polując na sposobności. Dawid był może jedynym człowiekiem, który nie miał pojęcia o majątku ojca. Dla niego, Marsac było nabytą w 1810 za kilkanaście tysięcy franków folwarczyną, gdzie bywał raz na rok w czasie winobrania i gdzie ojciec prowadzał go po winnicach, chwaląc zbiory, których drukarz nie widział nigdy i o które troszczył się bardzo mało. Miłość uczonego nawykłego do samotności powiększała jeszcze uczucie, przesadzając mu własną nicość; miłość ta potrzebowała zachęty, dla Dawida

bowiem Ewa była kobietą bardziej imponującą niż wielka dama dla jakiegoś gryzipiórka. Niezgrabny i niespokojny w obliczu swego bóstwa, tuż po przybyciu gotujący się do odejścia, drukarz powściągał swą miłość zamiast ją wyrazić. Często, wieczorem, ukuwszy jakiś pozór aby się poradzić Lucjana, szedł z placu du Mûrier, przez bramę Palet, aż do Houmeau; ale, dochodząc do zielonej bramy, uciekał, lękając się iż przybywa zbyt późno lub że wyda się natrętnym Ewie, która z pewnością już udała się na spoczynek. Chociaż ta wielka miłość wyrażała się jedynie w drobiazgach, Ewa zrozumiała ją dobrze; czuła się mile ujęta — mimo że bez pychy — widząc się przedmiotem głębokiej czci zawartej w spojrzeniach, słowach, obejściu Dawida; ale największym powabem drukarza był jego fanatyzm dla Lucjana: odgadł najlepszy sposób spodobania się Ewie. Aby wyrazić w czem nieme słodycze tego uczucia różniły się od burzliwych namiętności, trzebaby je porównać do wiejskiego kwiecia, w przeciwstawieniu do świetnych ogrodowych kwiatów. Były to spojrzenia słodkie i delikatne niby pływające po wodzie niebieskie lotosy, wrażenia ulotne jak słaby zapach eglantyny, melancholje tkliwe jak aksamit mchów: kwiaty dwóch pięknych dusz, które rodzą się z bogatej, żyznej, niezmiennej ziemi. Ewa niejednokrotnie już odgadła siłę ukrytą pod tą słabością; czuła tyle wdzięczności dla Dawida za jego nieśmiałość, że najlżejsze wydarzenie mogło sprowadzić bliższe zespolenie serc.

Lucjan zastał Ewę w otwartych drzwiach, i nic nie mówiąc, usiadł przy prostym drewnianym stole bez obrusa,

na którym stało jego nakrycie. Biedne to gospodarstwo posiadało jedynie trzy srebrne nakrycia, i Ewa używała ich wyłącznie dla ukochanego brata.

— Cóż ty tam czytasz? rzekła, podając półmisek zdjęty z ognia.

Lucjan nie odpowiedział. Ewa wzięła talerzyk, wdzięcznie obłożony winnemi liśćmi i postawiła go na stole wraz z garnuszkiem śmietanki.

— Patrz, Lucjanie, dostałam dla ciebie poziomek.

Lucjan tak zatopiony był w czytaniu, że nie słyszał. Wówczas, Ewa siadła koło niego bez najlżejszej urazy; czułość bowiem siostrzana znajduje niezmierną przyjemność w braterskiej bezceremonialności.

— Ale co tobie? wykrzyknęła widząc łzy błyszczące w oczach brata.

— Nic, nic, Ewuś, rzekł ujmując siostrę wpół, przyciągając ją do siebie z dziwną czułością, całując jej czoło, włosy, szyję.

— Kryjesz się przedemną?

— Więc słuchaj, kocha mnie!

— Wiedziałam że to nie dla mnie te pocałunki, rzekła z dąsem biedna siostra, rumieniąc się.

— Będziemy wszyscy szczęśliwi, wykrzyknął Lucjan, łykając zupę wielkiemi łyżkami.

— Będziemy? powtórzyła Ewa.

Tknięta tem samem przeczuciem, które ogarnęło Dawida, dodała:

— Będziesz nas mniej kochał!

— Jeśli mnie znasz, jak możesz to przypuszczać?

Ewa wyciągnęła doń rękę żywo; następnie sprzątnęła próżny talerz oraz glinianą wazkę i przysunęła potrawę przyrządzoną własnemi rękami. Zamiast jeść, Lucjan odczytał list pani de Bargeton, na który dyskretna Ewa nie spojrzała, tyle miała szacunku i względów dla brata: jeśli chciał go jej udzielić, winna była czekać; jeżeli nie, czyż mogła wymagać? Czekała. Oto ów list:

„Drogi mój Lucjanie, czemu miałabym odmówić twemu duchowemu bratu poparcia którego użyczyłam tobie? W moich oczach, talenty mają równe prawa; ale znasz przesądy osób, stanowiących moje towarzystwo. Tych, którzy tworzą arystokrację nieuctwa, nie skłonimy do uznania szlachectwa ducha. Jeżeli nie będę miała dość władzy aby im narzucić pana Séchard, uczynię ci chętnie ofiarę z tego mizernego światka. Będzie to niby starożytna hekatomba. Ale, drogi Lucjanie, nie chciałbyś zapewne zmusić mnie, abym przebywała w towarzystwie osoby, której umysł albo obejście mogłoby mi się nie podobać. Twoje pochlebstwa pouczyły mnie, jak łatwo przyjaźń się zaślepia! Czy będziesz miał do mnie urazę, jeżeli przydam jedno zastrzeżenie do mej zgody? Chcę widzieć twego przyjaciela, osądzić go, przekonać się osobiście, w interesie twojej przyszłości, czy się nie łudzisz. Czy to nie jest jedno z owych macierzyńskich starań, które winna mieć dla ciebie, mój drogi poeto,

„*Luiza de Nègrepelisse?*“

Lucjan nie wiedział, z jakim artyzmem używa się w świecie słówka *tak* aby dojść do *nie*, a *nie* do sprowadzenia *tak*. Ten list był dlań tryumfem. Dawid pójdzie do pani de Bargeton, błyśnie tam majestatem genjuszu. W upojeniu, jakie sprawiało mu zwycięstwo dające mu wiarę w potęgę swego wpływu, przybrał postawę tak dumną, tyle nadziei odbijało się na jego twarzy opromieniając ją blaskiem, że siostra nie mogła się wstrzymać od powiedzenia mu że jest piękny.

— Jeżeli taka jest jak mówisz, ta pani musi cię bardzo kochać! W takim razie, czeka ją dziś przykry wieczór, bo wszystkie kobiety będą cię wydzierały sobie. Piękny będziesz, Lucjanie, kiedy będziesz czytał swego *Świętego Jana w Patmos!* Chciałabym być myszką, aby się tam wślizgnąć! Chodź, przygotowałam ci ubranie w pokoiku mamy.

Pokój ten nosił cechy schludnej i godnej nędzy. Było tam orzechowe łóżko z białemi firaneczkami, u którego stóp rozciągał się chudy zielony dywanik. Komoda z drewnianym blatem, stojące na niej lustro, oraz kilka orzechowych krzeseł, dopełniały umeblowania. Na kominku, zegar przypominał dni minionego dostatku. Okno zdobiły białe firanki. Ściany obite były szarą tapetą w szare kwiatki. Podłoga, zapuszczona i farbowana przez Ewę, lśniła się czystością. Na środku pokoju stał stoliczek, gdzie na czerwonej tacy ze złoconemi różyczkami znajdowały się trzy filiżanki i cukierniczka, z limuzyńskiej porcelany. Ewa sypiała w alkówce, która mieściła łóżko, starą berżerkę i stolik do roboty pod oknem. Szczupłość tej okrętowej

kajuty wymagała aby oszklone drzwi były wciąż otwarte dla powietrza. Mimo nędzy, widniejącej w tych szczegółach, całość oddychała skromnością pracowitego życia. Dla tych którzy znali matkę i dwoje dzieci, obraz ten przedstawiał wzruszającą harmonię.

Lucjan wiązał krawat, kiedy kroki Dawida rozległy się w dziedzińcu; równocześnie niemal pojawił się drukarz, z miną człowieka któremu spieszno było przybyć.

— Zwycięstwo, Dawidzie, krzyknął ambitny chłopak, tryumfujemy! kocha mnie! pójdziesz do niej.

— Nie, rzekł drukarz z zakłopotaniem, przychodzę ci podziękować za ten dowód przyjaźni, który mnie pobudził do poważnych dumań. Moje życie, Lucjanie, jest wytyczone. Jestem Dawid Séchard, drukarz w Angoulême, którego nazwisko widnieje na wszystkich murach u spodu afiszów. Dla tej kasty jestem rękodzielnikiem, przemysłowcem jeżeli wolisz, słowem kupcem zagwożdżonym w sklepie, przy ulicy de Beaulieu, na rogu placu du Mûrier. Nie mam jeszcze ani majątku takiego Kellera, ani sławy Despleina: oto dwa rodzaje potęgi, której szlachta usiłuje jeszcze przeczyć i która — godzę się w tem z poglądami szlachty — niczem jest bez umiejętności życia i wykwintnej formy. Czem mogę usprawiedliwić ten nagły krok w górę? Stałbym się przedmiotem szyderstwa zarówno dla mieszczan jak szlachty. Co do ciebie, ty jesteś w odmiennem położeniu. Prot nie jest obowiązany do niczego. Pracujesz nad zdobyciem wiadomości niezbędnych dla twoich dzieł, możesz wytłómaczyć obecne zatrudnienie swoją przyszłością. Zresztą możesz jutro chwycić się czego

innego, studjów prawnych, dyplomacji, urzędu. Słowem, nie jesteś ani zarejestrowany ani opatrzony etykietą. Korzystaj z tej swobody, krocz sam, i sięgaj po zaszczyty. Kosztuj radośnie wszystkich rozkoszy, nawet tych które daje próżność. Bądź szczęśliwy, ja będę się cieszył twojem powodzeniem, będziesz drugim mną. Tak, myśl moja pozwoli mi żyć twojem życiem. Dla ciebie uczty, blaski świata i chybkie sprężyny jego intryg. Dla mnie surowe, mozolne życie przemysłowca i powolne prace nauki. Ty będziesz naszą arystokracją, rzekł, spoglądając na Ewę. Kiedy będziesz się chwiał, znajdziesz moje ramię aby cię podeprzeć. Jeżeli przyjdzie ci użalić się na jaką zdradę, będziesz się mógł skryć w nasze serca, znajdziesz tam niezmienną miłość. Protekcje, fawory, dobra wola, podzielone na dwie głowy, mogłyby się wyczerpać, szkodzilibyśmy sobie wzajem; idź przodem, będziesz mnie holował gdy zajdzie potrzeba. Nie zazdroszcząc ci zgoła, poświęcam się tobie. To, coś zrobił dla mnie, ryzykując iż stracisz swą dobrodziejkę, kochankę może, raczej niżbyś mnie miał opuścić, niżbyś się miał mnie zaprzeć, ta prosta rzecz tak wielka, wiesz, Lucjanie, na zawsze związałaby mnie z tobą gdybyśmy nie byli już braćmi! Nie miej ani wyrzutów ani zgryzoty iż napozór bierzesz lepszą cząstkę. Po myśli mi jest taki podział. Wreszcie gdybyś mi nawet zadał nieco utrapień, kto wie czy nie będę zawsze twoim dłużnikiem?

Mówiąc te słowa, rzucił trwożliwe spojrzenie na Ewę, której oczy zapełniły się łzami, zgadywała wszystko.

— Wreszcie, rzekł do zdumionego Lucjana, ty jesteś

zgrabny, masz ładną figurę, umiesz się ładnie ubrać, wyglądasz na panicza w swoim niebieskim fraczku z żółtemi guzikami i prostych nankinowych spodeńkach; ja, wyglądałbym wśród tych ludzi na wyrobnika, byłbym niezgrabny, skrępowany, mówiłbym głupstwa albo wogóle nic. Ty, aby uczynić zadość przesądowi nazwiska możesz przybrać nazwisko matki, zwać się Lucjanem de Rubempré; ja jestem i będę zawsze Dawidem Séchard. Wszystko ci sprzyja a wszystko mnie szkodzi w tym świecie. Stworzony jesteś, aby w nim zdobyć miejsce. Kobiety będą ubóstwiać twą anielską twarz. Nieprawdaż, panno Ewo?

Lucjan skoczył Dawidowi na szyję i uściskał go. Ta skromność przecinała wiele wątpliwości, kłopotów. W jakiż sposób nie zdwoiłby swej czułości dla człowieka, który, przez przyjaźń, doszedł do tych samych refleksyj, jakie jemu podyktowała ambicja? Obaj czuli iż droga się wygładziła, serce ambitnego chłopca oraz jego przyjaciela wzbierało radością. Był to jeden z owych rzadkich momentów w życiu, kiedy wszystkie siły są łagodnie napięte, wszystkie struny drgają, wydając pełne tony. Ale ten rozsądek pięknej duszy potęgował jeszcze w Lucjanie skłonność, sprawiającą iż człowiek wszystko odnosi do siebie. Wszyscy powiadamy, mniej albo więcej, jak Ludwik XIV: „Państwo, to ja“. Bezwzględna czułość matki i siostry, poświęcenie Dawida, przyzwyczajenia jakich nabrał widząc się przedmiotem tajemnych wysiłków trojga istot, dawały Lucjanowi wszystkie wady rozpieszczonego panicza, rodziły w nim ów egoizm, który żre wysokie sfery społeczne. Pani de Bargeton podsycała ten egoizm,

zachęcając Lucjana by zapomniał swoich zobowiązań wobec matki, siostry i Dawida. Jeszcze się to nie stało; ale czyż nie należało się lękać, iż, rozszerzając krąg swej ambicji, będzie musiał myśleć tylko o sobie aby się w nim utrzymać?

Skoro minęło wzruszenie, Dawid zwrócił uwagę Lucjana, że jego poemat *Św. Jan w Patmos* jest może zbyt biblijny, aby go czytać wobec ludzi mało obytych z apokaliptyczną poezją. Lucjan, który miał wystąpić wobec najtrudniejszej publiczności departamentu, był niespokojny. Dawid poradził mu aby wziął Andrzeja Chénier i wątpliwą przyjemność zastąpił pewną rozkoszą. Lucjan czytał doskonale, spodoba się z pewnością i okaże skromność którą mu wezmą za dobre. Jak większość młodych ludzi, obaj przypisywali ludziom swą inteligencję i swoje przymioty. Jeżeli młodość, która jeszcze nie zgrzeszyła, twarda jest dla błędów drugich, użycza im wzajem swoich wspaniałych wierzeń. Trzeba, w istocie, dobrze doświadczyć życia, nim się uzna, iż, wedle pięknego powiedzenia Rafaela, *zrozumieć, to znaczy dorównać*. Naogół, zmysł poezji rzadki jest we Francji, gdzie inteligencja wysusza rychło źródło świętych łez ekstazy, gdzie nikt nie chce podjąć trudu odcyfrowania rzeczy wzniosłych, zgłębienia ich, zapuszczenia wzroku w nieskończoność. Lucjan miał zetknąć się pierwszy raz z tępotą i chłodem świata. Wstąpił do Dawida, aby wziąć tomik Andrzeja Chénier.

Skoro kochankowie zostali sami, Dawid uczuł się bardziej zakłopotany niż kiedykolwiek. Zdany na pastwę

tysiącznych obaw, pragnął i obawiał się pochwały; byłby chciał uciec; i wstydliwość bowiem posiada swą kokieterję! Biedny kochanek nie śmiał powiedzieć słowa, któreby trąciło przymówką o podziękę; każdy wyraz zdawał mu się niebezpieczny; milczał tedy z miną zbrodniarza. Ewa, która odgadywała tortury tej skromności, bawiła się przedłużając milczenie; ale, kiedy Dawid skręcił kapelusz w dłoni chcąc się pożegnać, uśmiechnęła się:

— Panie Dawidzie, rzekła, skoro pan wzgardził wieczorem u pani de Bargeton, moglibyśmy go spędzić razem. Ładnie jest, chce pan przejść się trochę nad Charentą? pomówimy o Lucjanie.

Dawid miał ochotę paść do stóp uroczej dziewczyny. Ewa zamknęła w głosie nieoczekiwane nagrody; tkliwością akcentu rozwiązała trudność sytuacji; propozycja jej była więcej niż pochwałą; był to pierwszy dar miłości.

— Tylko, rzekła, widząc gest Dawida, niech mi pan użyczy kilku minut na przebranie się.

Dawid, który w życiu nie wiedział co to aryjka, wyszedł nucąc, co zdziwiło zacnego Postela i zbudziło w nim silne podejrzenia co do stosunków Ewy i drukarza.

Najdrobniejsze okoliczności tego wieczoru wyryły niezatarty ślad w sercu Lucjana, tak czułem na pierwsze wrażenia. Jak wszyscy niedoświadczeni kochankowie, zjawił się tak wcześnie, że Luizy jeszcze nie było w salonie, pan de Bargeton znajdował się sam. Lucjan rozpoczął już pierwsze kroki w tej szkole drobnych podłostek, któremi kochanek zamężnej kobiety kupuje swoje szczęście, a które dają kobietom miarę tego co mogą odeń uzyskać; nigdy

jednakże dotąd nie znalazł się oko w oko z panem de Bargeton.

Szlachcic ów odznaczał się ubóstwem myśli, wahającem się pomiędzy nieszkodliwą nicością, która jest jeszcze w stanie coś zrozumieć, a wyniosłą głupotą, która nie chce niczego uznać ani niczemu dać się przekonać. Przejęty ważnością towarzyskich obowiązków i pragnąc dla wszystkich być uprzejmy, przybrał, jako jedyną wymowę, nieschodzący mu z twarzy uśmiech. W dobrym czy złym humorze, niezmiennie się uśmiechał. Uśmiechał się zarówno słysząc najsmutniejszą wiadomość, co gdy mu ktoś zwiastował szczęśliwe wydarzenie. Uśmiech ten starczył wszystkiemu, stosownie do wyrazu, jaki mu nadawał pan de Bargeton. Jeśli trzeba było koniecznie bezpośredniego uznania, wzmacniał uśmiech uprzejmym głośnym śmiechem, decydując się na wydanie z siebie słowa jedynie w ostatniej konieczności. Pozostanie z kimś sam na sam przyprawiało go o jedyną troskę jaka mąciła spokój jego roślinnego życia; wówczas bowiem zmuszony był szukać czegoś w bezmiarze swej wewnętrznej próżni. Najczęściej, ratował się z kłopotu wracając do naiwnych obyczajów dziecięctwa: poprostu myślał głośno, wtajemniczał słuchacza w najdrobniejsze szczegóły swego życia; wypowiadał swoje potrzeby, swoje wrażenia, które, dla niego, były czemś nakształt myśli. Nie mówił o deszczu ani o pogodzie; nie wpadał w owe pospolite ogólniki, które stanowią ucieczkę głupców; przeciwnie, poruszał najpoufniejsze sprawy istnienia. — „Żona namówiła mnie dziś rano na cielęcinę, którą sama bardzo lubi, i dziwnie mi

teraz nieswojo na żołądku. Wiem że tak będzie, a zawsze dam się złapać; niech mi pan wytłómaczy coś podobnego?“ Albo: — „Miałem właśnie zadzwonić, aby mi podano szklankę wody z cukrem, może i pan sobie życzy za jednym zachodem?“ Albo: — „Jutro przejadę się konno, wybiorę się do teścia“. Te zwięzłe zdańka, które nie dawały tematu do dyskusji, wyrywały krótkie *tak* lub *nie* z ust gościa, poczem rozmowa padała na płask. Wówczas, pan de Bargeton żebrał pomocy interlokutora, zwracając ku niemu swój nos opasłego mopsa; wytrzeszczał nań tępe oczy w sposób mający oznaczać: — *I cóż pan powie?* Nudziarzy lubiących rozprawiać o sobie ubóstwiał poprostu; przysłuchiwał się im z wytężoną i delikatną uwagą, która czyniła go w ich oczach tak cennym partnerem rozmowy, że gaduły z Angoulême przypisywały mu tajoną inteligencję i dopatrywały się niesprawiedliwości w powszechnym o nim sądzie. Toteż, skoro im już brakło słuchaczy, szli kończyć swoje opowiadania lub wywody przed poczciwym szlachcicem, pewni że spotkają się i pełnym uznania uśmiechem. W salonie żony, codzień pełnym gości, czuł się pan de Bargeton wyśmienicie. Zajmował się najdrobniejszemi szczegółami: patrzał kto wchodzi, witał nowoprzybyłego z uśmiechem i prowadził go do żony; śledził tych którzy mieli się do odejścia i odprowadzał ich do drzwi, odwzajemniając ukłon swoim wieczystym uśmiechem. Gdy wieczór był ożywiony i gdy już widział iż każdy jest przy swem zajęciu, wówczas, szczęśliwy w swojej niemocie, wystawał jak bocian na długich nogach, udając iż przysłuchuje się politycznej

rozmowie; lub też przyglądał się kartom któregoś z graczy, nic nie rozumiejąc, bo nie miał pojęcia o żadnej grze; wreszcie przechadzał się zażywając tabakę i oddając się szczęśliwemu trawieniu. Anais stanowiła wdzięk jego życia, dawała mu niesłychane rozkosze. Gdy robiła honory w salonie, wyciągał się w berżerce podziwiając ją, ponieważ zdejmowała zeń ciężar rozmowy. Sprawiało mu przyjemność odgadywać sens jej odezwań; że zaś często chwytał go aż w długi czas po wygłoszeniu zdania, pozwalał sobie na śmiechy, które strzelały niby zagrzebane w ziemi i potrącone nogą granaty. Szacunek jego dla żony graniczył z ubóstwieniem; a czyż ubóstwienie czegokolwiek nie starczy na szczęście całego życia? Jako rozumna i szlachetna osoba, Anais nie nadużywała swej przewagi, odgadłszy w mężu ową łatwą naturę dziecka, które niczego innego nie pragnie jak tylko aby niem kierowano. Nauczyła się dbać o niego tak jak się dba np. o płaszcz; utrzymywała go czysto, czesała, karmiła, pielęgnowała; czując tę dbałość, pan de Bargeton nabrał dla żony psiego wprost przywiązania. Tak łatwo jest dawać szczęście, które nic nie kosztuje! Pani de Bargeton, nie widząc u męża innej słabości prócz dobrego stołu, dawała mu znakomite obiady; miała dlań współczucie; nigdy się na niego nie skarżyła, tak iż ten i ów, nie rozumiejąc iż źródłem milczenia jest jej duma, przypisywał panu de Bargeton jakieś ukryte przymioty. Ułożyła go zresztą niemal po żołniersku, tak iż człowiek ten ślepo poddawał się we wszystkiem woli żony. Mówiła mu: „Musisz iść z wizytą do pana X, lub pani Y“, i szedł natychmiast, jak

żołnierz na posterunek. W jej obecności, trzymał się nieruchomo, jakby prezentując broń. W tej chwili, była mowa o tem, aby przeprowadzić wybór tego Milczka na posła. Lucjan bywał w tym domu zbyt krótko, aby uchylić zasłonę, pod którą ukrywał się ów nieprawdopodobny charakter. Pan de Bargeton, zatopiony w swojej berżerce i zdający się wszystko widzieć i rozumieć, otulony w godność milczenia, zdawał mu się imponującą osobistością. Zamiast go uważać za kamienny słupek, Lucjan uczynił zeń groźnego Sfinksa, mocą tej skłonności, która ludziom obdarzonym wyobraźnią każe wszystko powiększać i wszystkiemu dawać życie; uważał tedy za potrzebne zabiegać o jego łaski.

— Zjawiam się pierwszy, rzekł, kłaniając się z dozą uszanowania nieco większą od tej do jakiej poczciwiec był przyzwyczajony.

— To dosyć naturalne, odpowiedział pan de Bargeton.

Lucjan przyjął te słowa jako zjadliwość zazdrosnego męża, zaczerwienił się i spojrzał w lustro dla kontenansu.

— Pan mieszka w Houmeau, rzekł pan de Bargeton, a osoby które mieszkają dalej, przybywają zawsze wcześniej niż te które mieszkają blizko.

— Na czem to polega? zapytał Lucjan, przybierając uprzejmą minę.

— Nie wiem, odparł pan de Bargeton, który już zapadł w swą nieruchomość.

— Nie chciał pan nad tem pomyśleć, dodał Lucjan. Człowiek zdolny uczynić spostrzeżenie, łatwo znalazłby jego przyczynę.

— Ach, rzekł pan de Bargeton, przyczyny finalne. He, he!...

Lucjan począł wysilać mózg aby podtrzymać rozmowę, która, po tych słowach, upadła.

— Pani de Bargeton zapewne się ubiera? rzekł ze drżeniem, zawstydzony głupotą tego zapytania.

— Tak, ubiera się, odparł mąż najnaturalniej.

Lucjan podniósł oczy ku belkom sufitu pomalowanym na szaro, nie mogąc znaleźć dalszego frazesu; zarazem spostrzegł, nie bez przestrachu, że mały wiszący świecznik ze staremi wisiorkami z kryształu uwolniono z gazy i opatrzono świecami. Meble były bez pokrowców; na czerwonym adamaszku widniały spłowiałe kwiaty. Te przygotowania zwiastowały, iż zebranie będzie niezwykłe. W duszy poety poczęła się budzić wątpliwość co do własnego kostjumu: był w butach. Ze zdumieniem połączonem z obawą podszedł obejrzeć wazon japoński zdobiący konsolkę z girlandami z czasów Ludwika XV; poczem przeląkł się, iż narazi się mężowi nie starając się o jego względy i postanowił próbować czy poczciwiec nie ma jakiego konika, na któregoby go można wsadzić.

— Pan rzadko wyjeżdża, rzekł do pana de Bargeton, podchodząc ku niemu.

— Rzadko.

Znowu milczenie. Pan de Bargeton śledził jak podejrzliwa kotka najmniejsze poruszenie Lucjana, który mącił jego spokój. Każdy z nich lękał się drugiego.

— Czyż miałby podejrzenia co do moich częstych wizyt? pomyślał Lucjan. Wydaje się jakiś bardzo

nieżyczliwy!

W tej chwili, szczęśliwie dla Lucjana, z trudnością wytrzymującego niespokojne spojrzenia jakiemi pan de Bargeton obrzucał go przechadzając się tam i z powrotem, stary służący, dzisiaj przybrany w liberję, oznajmił pana du Châtelet. Baron wszedł z całą swobodą, przywitał się poufale z Bargetonem, Lucjana zaś obdarzył lekkiem skinieniem głowy, które wówczas było w modzie, lecz które Lucjanowi wydało się lekceważące. Châtelet miał pantalony olśniewającej białości, ze strzemiączkami, które utrzymywały je w formie. Trzewiki cienkie i lśniące, wykwintne niciane pończochy. Na białej kamizelce zwieszał się czarny sznureczek od lorynetki. Krój i fason czarnego fraka świadczyły o paryzkiem pochodzeniu. Cała postać usprawiedliwiała reputację pięknisia i zdobywcy; ale wiek obarczył go już małym brzuszkiem, którego okrągłość z trudem dała się wciskać w granice elegancji. Baron malował włosy i faworyty posiwiałe w trudach podróży; to dawało coś twardego jego fizjognomji. Cera, niegdyś bardzo delikatna, przybrała miedziany odcień właściwy ludziom wracającym z Indyj; bądź co bądź, cała postać, choć nieco śmieszna przez niestarzejące się pretensje, zdradzała jednak przystojnego sekretarza do szczególnych poruczeń jej Cesarskiej Wysokości. Ujął palcami lorynetkę, obrzucił spojrzeniem nankinowe spodnie Lucjana, trzewiki, kamizelkę, niebieski fraczek miejscowego chowu, słowem całą osobę rywala. Następnie schował lorynetkę do kamizelki, jakby chciał powiedzieć: „Jestem zadowolony“. Zmiażdżony zrazu elegancją finansisty, Lucjan pomyślał, iż

przyjdzie dlań chwila odwetu gdy ukaże całemu zebraniu swą twarz ożywioną tchnieniem poezji; niemniej jednak doświadczył w duszy żywego cierpienia, które wzmogło jeszcze wewnętrzną niepewność, płynącą z mniemanej niechęci pana de Bargeton. Baron wyraźnie pragnął przygnieść Lucjana całym ciężarem społecznej wyższości, aby tem bardziej upokorzyć jego nędzę. Pan de Bargeton, który liczył na to iż teraz nie będzie się już potrzebował odezwać ani słowa, stropił się milczeniem jakie zachowali obaj rywale badając się wzrokiem; ale gdy już się znalazł w ostatecznym kłopocie, miał jedno pytanie, które chował jako deskę ratunku i które uznał za stosowne wyrzucić, przybierając minę pełną zainteresowania:

— I cóż, drogi panie, rzekł do pana du Châtelet, cóż tam nowego? co mówią w świecie?

— Ależ, odparł ze złośliwą intencją dyrektor podatków, *coś nowego*, to pan Chardon. Niech się pan zwróci do niego. Czy przynosi nam pan jaki ładny poemacik? zapytał swobodnie baron, poprawiając pukiel starannie ułożonych włosów.

— Aby się przekonać czy jest coś wart, powinienbym go przedłożyć pańskiej ocenie, odparł Lucjan. Pan baron uprawiał poezję wcześniej odemnie.

— Ba, kilka niezłych kupletów skleconych dla rozrywki, jakieś okolicznościowe piosenki, romance z których dopiero muzyka coś robiła, wreszcie sążniowa epistoła do jednej z sióstr *Bonapartego* (niewdzięcznik!), to jeszcze nie są tytuły do sławy!

W tej chwili, pani de Bargeton ukazała się w całym

blasku starannie wypielęgnowanej tualety. Na głowie miała żydowski zawój, ozdobiony wschodnią agrafą; gazowa szarfa, pod którą błyszczały kamee naszyjnika, okręcała się wdzięcznie koło szyi; suknia z wzorzysto malowanego muślinu, o krótkich rękawach, pozwalała jej odsłonić szereg bransolet piętrzących się na białych ramionach. Ten teatralny strój oczarował Lucjana. Pan du Châtelet posunął w stronę królowej, zasypując ją komplementami, które wywołały na twarzy Luizy uśmiech, tak szczęśliwą była, że te pochwały spotykają ją w obecności Lucjana. Wymieniła tylko jedno spojrzenie z drogim poetą i odpowiedziała dyrektorowi podatków raniąc go grzecznością, która odtrącała go na sto kroków.

Równocześnie, poczęli się zjawiać zaproszeni goście. Najpierw ukazali się biskup i wielki wikarjusz, dwie godne i uroczyste postacie, które tworzyły wybitny kontrast: Jego Dostojność była wysoka i chuda, towarzysz jej krótki i tłusty. Obaj mieli błyszczące oczy, jednakże biskup był blady, policzki zaś wielkiego wikarjusza tryskały rumieńcem zdrowia. Obaj odznaczali się umiarkowaniem gestów i poruszeń, wydawali się bardzo ostrożni; wstrzemięźliwość ich i milczenie miało w sobie coś onieśmielającego; uchodzili w okolicy za bardzo tęgie głowy.

Tuż za księżmi wkroczyli oboje państwo Chandour, niezwykłe postacie, które mogłyby się wydać czystym wymysłem ludziom nieznającym prowincji. Mąż Amelji, kobiety, która występowała jako antagonistka pani de Bargeton, pan de Chandour, nazywany krótko Stanisławem,

był to młody (niegdyś) człowiek, jeszcze szczupły w czterdziestym piątym roku, o twarzy podziurkowanej jak sito. Krawat miał zawsze zawiązany w ten sposób, iż przedstawiał dwa groźnie sterczące ostrza, jedno na wysokości prawego ucha, drugie pochylone ku czerwonej wstążeczce Legji. Klapy u fraka były szeroko odgięte. Kamizelka, bardzo otwarta, odsłaniała koszulę wzdętą, nakrochmaloną, zapiętą o wiele zbyt bogatemi i ciężkiemi guzikami. Słowem, cały strój odznaczał się przesadą, która czyniła zeń coś tak karykaturalnego, iż, widząc go, obcy nie mogli się wstrzymać od uśmiechu. Stanisław spoglądał wciąż po sobie od góry do dołu z pewnem zadowoleniem, sprawdzając liczbę guzików u kamizelki, śledząc faliste linje obcisłych majtek, pieszcząc swoje łydki spojrzeniem, które zatrzymywało się miłośnie na końcach bucików. Gdy przestawał się tak oglądać, oczy jego szukały lustra; badał czy włosy są dość starannie ułożone, spoglądał po kobietach okiem pełnem zadowolenia, wkładając palec do kieszeni od kamizelki i przeginając się w tył. Wszystkie te kogucie pozy zapewniały mu powodzenie w arystokratycznem towarzystwie, gdzie uchodził za wzór męskiej piękności. Rozmowa jego naszpikowana była przeważnie pieprznemi aluzjami, modą ośmnastego wieku. Ten nieznośny styl czynił go dość mile widzianym w towarzystwie kobiet: bawiły je te koncepta. Pan du Châtelet zaczynał budzić w nim pewien niepokój. W istocie, zaintrygowane obojętnością pięknego podatkowca, pobudzone minami dającemi do zrozumienia iż darmo kusiłyby się wyprowadzić go z obojętności, podrażnione

wreszcie pozami znudzonego sułtana, kobiety zabiegały się o niego żywiej jeszcze niż zaraz po przybyciu, odkąd pani de Bargeton zajęta była swym angulemskim Byronem.

Amelja, była to nieduża kobietka, o niezręcznie komedjanckich tonach, pulchna, biała, z czarnemi włosami, przesadna, głośna, z pretensjonalną główką obładowaną piórami w lecie, kwiatami w zimie; lubująca się w wymowie, którą wszelako przerywał swym akompanjamentem gwizd starannie tajonej astmy.

Pan de Saintot, nazywany Astolfem, prezes towarzystwa rolniczego, rumiany, wysoki i zażywny, wkroczył prowadzony przez żonę, dość podobną do zasuszonej paproci: zwano ją Lili, skrócenie Elizy. Imię to, nasuwające pojęcie czegoś dziecinnego, kłóciło się z usposobieniem i wzięciem pani de Saintot, kobiety uroczystej, dewotki, oraz zgryźliwej i namiętnej karciarki. Astolf uchodził za pierwszorzędną głowę naukową. Mimo iż ignorant dziewiątej próby, wypocił wszelako artykuły *Cukier* i *Spirytus* w słowniku rolniczym, które-to płody swego ducha złupił po kawałku we wszystkich artykułach dziennikarskich oraz dawnych dziełach gdzie była mowa o tych produktach. Cały departament wierzył, iż on pracuje nad traktatem o nowożytnej uprawie roli. Mimo iż spędzał całe rano w gabinecie, nie napisał jeszcze w ciągu dwunastu lat ani dwóch stronic. Jeżeli ktoś go zaszedł, przyjmował gościa przewracając w papierach, szukając zarzuconej notatki, lub też zacinając pióro; ale czas spędzany w gabinecie schodził mu na głupstwach: czytał pomału dziennik, wycinał figurki z korka, rysował fantastyczne

wzory na bibule, przerzucał Cycerona, aby zeń wyłowić jakieś zdanie, lub ustęp, którego treść dałaby się zastosować do bieżących wypadków, następnie, wieczór, silił się sprowadzić rozmowę na przedmiot, pozwalający mu powiedzieć: „Jest w Cyceronie stronica, o której możnaby myśleć, iż napisał ją z myślą o tem co się dzieje dzisiaj“. Zaczem, recytował ustęp, ku wielkiemu zdumieniu słuchaczy, którzy powtarzali między sobą: „Doprawdy, Astolf, to istna studnia wiedzy“. Osobliwy fakt obiegał całe miasto i podtrzymywał pochlebne sądy o panu de Saintot.

Po tej parze, wszedł pan de Bartas, zwany Adrjanem, posiadacz basowego głosu i mający ogromne pretensje do muzyki. Miłość własna uczyniła go niewolnikiem *solfedżja*: zaczął od podziwiania własnego śpiewu, następnie jął rozprawiać o muzyce, a w końcu wyłącznie się nią zajmować. Sztuka muzyczna stała się u niego rodzajem monomanji; ożywiał się jedynie mówiąc o muzyce; będąc gdzieś na wieczorze, przechodził męki, póki go nie poproszono aby zaśpiewał. Z chwilą gdy raz odryczał swą arję, zaczynało się dlań życie: nadymał się, prostował, przyjmując komplementy, robił skromne minki; mimo to, przechodził od grupy do grupy aby uszczknąć daninę pochwał; następnie, skoro temat się wyczerpał, wracał do muzyki, podnosząc trudności swej arji lub wychwalając kompozytora.

Aleksander de Brebian, mistrz sepji, rysownik, który zanieczyszczał pokoje przyjaciół niezdarnemi płodami i zapaskudzał albumy całego departamentu, wszedł z panem de Bartas. Każdy z nich prowadził pod rękę żonę

przyjaciela. Wedle relacyj miejscowej kroniki skandalicznej, transpozycja ta była zupełna. Dwie kobiety, Lolotka (Karolina de Brebian) i Fifinka (Józefina de Bartas), w jednakim stopniu pochłonięte problemami chusteczki, garnituru, doboru kłócących się kolorów, pragnęły za wszelką cenę uchodzić za Paryżanki i zaniedbywały dom, gdzie wszystko szło bez ładu i składu. O ile obie żony, wciśnięte jak lalki w sporządzone tanim kosztem suknie, stanowiły obraz krzyczących jaskrawo kolorów, mężowie ich, w charakterze artystów, pozwalali sobie na prowincjonalne zaniedbanie, które czyniło z nich istotnie osobliwe zjawisko. Zużyte i pomięte ubrania dawały im wygląd komparsów, jacy, w podrzędnych teatrzykach, przedstawiają wytworne towarzystwo sproszone na wesele.

Między figurami, które wpłynęły do salonu, jedną z najoryginalniejszych była postać hrabiego de Senonches, arystokratycznie zwanego Jakóbem. Był to wielki myśliwiec, wysoki, chudy, o ogorzałej cerze, ujmujący jak niedźwiedź, nieufny jak Wenecjanin, zazdrosny jak Maur, i żyjący w doskonałej przyjaźni z panem du Hautoy, inaczej zwanym Francis, przyjacielem domu.

Pani de Senonches (Zefiryna) była to osoba postawna i ładna, ale o twarzy już pocentkowanej ostrością krwi, dzięki której uchodziła za kobietę wymagającą. Wiotka jej kibić, delikatne kształty, pozwalały jej przybierać omdlewające pozy, które trąciły afektacją, ale które stanowiły świadectwo zawsze zadowolonych kaprysów pieszczonej osoby.

Francis, był to dość dystyngowany mężczyzna, który rzucił konsulat w Walencji i nadzieje dyplomatycznej karjery, aby się zagrzebać w Angoulême obok Zefiryny, inaczej zwanej Zizi. Ex-konsul troszczył się o dom, zajmował się wychowaniem dzieci, uczył je obcych języków, zarządzał majątkiem państwa de Senonches z bezwzględnem poświęceniem. Angoulême pańskie, Angoulême urzędowe, Angoulême mieszczańskie długo komentowały tę doskonałą harmonję stadła w trzech osobach; ale, z biegiem czasu, owa tajemnica trójcy małżeńskiej wydała się tak rzadka i ładna, iż pan du Hautoy ściągnąłby na siebie opinję głęboko niemoralnego człowieka, gdyby objawił chęć ożenienia się. Pozatem, zaczęto podejrzewać niepokojące tajemnice w nadzwyczajnem przywiązaniu pani de Senonches do chrześniaczki noszącej nazwisko de la Haye, która bawiła przy niej jako panna do towarzystwa, i, mimo pozornej niezgodności dat, znajdywano uderzające podobieństwo pomiędzy Franciszką de la Haye a panem Franciszkiem du Hautoy. Kiedy Jakób polował w okolicy, każdy pytał go o Frania, on zaś opowiadał o drobnych niedomaganiach swego dobrowolnego intendenta, okazując większą pieczołowitość o niego niż o żonę. Zaślepienie to wydawało się, u człowieka zazdrosnego z natury, tak osobliwe, że najlepsi przyjaciele pana de Senonches bawili się wyciąganiem go na słówka, objaśniając rzecz tym którzy nie znali tajemnicy, aby im dostarczyć zabawy. Pan du Hautoy był to wymuskany dandys, u którego dbałość o własną osobę wyrodziła się w mizdrzenie i dzieciństwo.

Zajmował się swoim kaszlem, snem, trawieniem. Zefiryna doprowadziła swoje *factotum* do tego iż naprawdę zrobił się chorowity; otulała go w watę, spowijała, opychała lekarstwami; karmiła go wyszukanemi daniami jak salonowego pieska; nakazywała mu lub wzbraniała taką lub inną potrawę; haftowała mu kamizelki, fontazie i chustki do nosa; przyzwyczaiła go w końcu do noszenia tak ładnych rzeczy, iż przekształciła go w rodzaj japońskiego bóstwa. Harmonja między tą parą była bez najlżejszej chmurki: Zizi spoglądała co chwilę na Frania, Franio zdawał się czerpać myśli w oczach Zizi. Ganili, uśmiechali się razem, zdawali się porozumiewać z sobą dla powiedzenia najprostszego „dzieńdobry“.

Najbogatszy właściciel ziemski w okolicy, człowiek będący przedmiotem powszechnej zazdrości, margrabia de Pimentel i jego żona, którzy, we dwoje, reprezentowali czterdzieści tysięcy franków renty i spędzali zimę w Paryżu, przybyli w karecie, wraz ze swymi sąsiadami, baronostwem de Rastignac[8]. Tym ostatnim towarzyszyła ciotka, oraz córki, dwie urocze młode osoby, doskonale wychowane, biedne, ale ubrane z ową prostotą która tak podnosi naturalną urodę. Wejściu tych osób, stanowiących niewątpliwie elitę zebrania, towarzyszyło chłodne milczenie i pełne zazdrości uszanowanie, zwłaszcza gdy każdy zauważył niezwykle czułe powitanie jakiem przyjęła ich pani de Bargeton. Te dwie rodziny należały do niewielkiej ilości ludzi, którzy, na prowincji, trzymają się powyżej plotek, nie mięszają się do żadnej koterji, żyją na uboczu i zachowują godność nakazującą szacunek. Panów

de Pimentel i de Rastignac nazywano ich tytułem; żadna poufałość nie łączyła ich żon ani córek z wielkim światem Angoulême; nadto blizko znajdowali się arystokracji dworu, aby się zniżać do prowincjonalnych małostek.

Prefekt i generał zjawili się na końcu w towarzystwie wiejskiego szlachcica, który tego rana przyniósł Dawidowi swój memorjał o jedwabnikach. Był to z pewnością mer jakiegoś kantonu, człowiek zamożny i poważany; ale strój jego i wzięcie zdradzały iż zupełnie odwykł od towarzystwa. Czuł się skrępowany w swoim fraku, nie wiedział co zrobić z rękami, mówiąc kręcił się dokoła interlokutora, podnosił się z krzesła i siadał odpowiadając na pytanie, zdawał się gotów do oddania posług domowych; był kolejno natrętny, niespokojny, poważny, skwapliwie śmiał się z każdego żartu, słuchał ze służalczem nabożeństwem, to znów przybierał wyraz podejrzliwy, myśląc że sobie drwią z niego. Kilka razy, w ciągu wieczora, rozpierany swym memorjałem, usiłował mówić o jedwabnikach; ale nieszczęśliwie trafił na pana de Bartas, który mu odpalił muzyką i na pana de Saintot, który mu przytoczył Cycerona. Gdzieś w połowie wieczoru, biedny mer doszedł w końcu do porozumienia z jakąś wdową i jej córką, paniami du Brossard, nie najmniej interesującemi figurami tego zebrania. Jedno słowo określi wszystko: były równie ubogie jak dobrze urodzone. Ubiór ich zdradzał ową pretensję do stroju, która osłaniała tajoną nędzę. Pani du Brossard wychwalała bardzo niezręcznie i przy każdej sposobności swoją rosłą i pulchną córeczkę, liczącą dwadzieścia siedm lat, która uchodziła za biegłą pianistkę;

stroiła ją oficjalnie we wszystkie upodobania ludzi mogących być kandydatami do małżeństwa. W żądzy ustalenia losu kochanej Kamilli, twierdziła, jednego i tego samego wieczoru, że Kamilla lubi koczowniczy tryb garnizonów i spokojne życie gospodarza wiejskiego pilnującego zagrody. Obie zachowywały obrażoną, słodko-kwaśną godność osób nad któremi każdy z przyjemnością ubolewa, któremi ludzie interesują się przez egoizm i które zgłębiły pustkę pocieszających słówek, jakiemi świat lubi częstować nieszczęśliwych. Pan de Séverac miał pięćdziesiąt dziewięć lat, był wdowiec i bezdzietny; matka i córka słuchały tedy z nabożnym podziwem szczegółów jakich im udzielał co do swego gospodarstwa.

— Córka zawsze lubiła zwierzęta, rzekła matka. Toteż, ponieważ jedwab, który wyrabiają te małe bydlątka, interesuje kobiety, poproszę pana o pozwolenie odwiedzenia go w Séverac, dla pokazania Kamilli w jaki sposób to się zbiera. Kamilla jest tak inteligentna, że w jednej chwili zrozumie wszystko co pan jej powie. Przecież ona kiedyś zrozumiała odwrotny stosunek kwadratu odległości!

Zdanie to zakończyło chlubnie rozmowę między panem de Séverac a panią du Brossard, po lekturze Lucjana.

Kilku codziennych gości wmięszało się swobodnie w zgromadzenie; przybyło i paru młodych obywatelskich synków, nieśmiałych, milczących, wystrojonych jak monstrancje, szczęśliwych iż zaproszono ich na tę literacką uroczystość. Najśmielszy z nich rozzuchwalił się tak dalece, iż wdał się w dłuższą rozmowę z panną de la Haye. Kobiety

zasiadły poważnie kołem, za którem mężczyźni trzymali się stojąco. To zebranie ekscentrycznych osobistości, o najróżnorodniejszych kostjumach, o grubo malowanych twarzach, wydało się bardzo imponujące Lucjanowi, którego serce poczęło bić gdy uczuł się przedmiotem tylu spojrzeń. Jakkolwiek z natury śmiały, niełatwo wytrzymał tę pierwszą próbę, mimo zachęty ze strony swej uwielbianej, która rozwinęła całe bogactwo ukłonów i najwyszukańszych gracyj przyjmując te dostojne szczyty angulemskiego towarzystwa. Gnębiące uczucie zakłopotania wzmogła jeszcze okoliczność, łatwa do przewidzenia, ale która musiała zmrozić młodego człowieka, jeszcze nie obytego z taktyką świata. Lucjan, cały zmieniony we wzrok i słuch, słyszał, iż Luiza, pan de Bargeton, biskup i kilku zaufanych pani domu nazywają go *panem de Rubempré*; reszta zaś owej tak groźnej publiczności — panem Chardon. Onieśmielony pytającemi spojrzeniami ciekawych, przeczuwał dźwięk swego mieszczańskiego nazwiska po samym ruchu warg; odgadywał sądy, jakie wydawano o nim z ową prowincjonalną szczerością, często nazbyt blizką grubijaństwa. Te niespodziane a ciągłe ukłucia uczyniły go jeszcze bardziej nieswoim. Czekał niecierpliwie rozpoczęcia lektury, któraby uśmierzyła jego wewnętrzną torturę; ale Jakób opowiadał pani de Pimentel przygody ostatniego polowania; Adrjan zapuścił się z panną Laurą de Rastignac w rozmowę o nowej gwieździe muzycznej, Rossinim; Astolf, który nauczył się z dziennika na pamięć opisu nowego pługa, wykładał go baronowi. Nie wiedział

Lucjan, biedny poeta, iż żaden z tych mózgów, wyjąwszy pani de Bargeton, nie był zdolny zrozumieć poezji. Wszystkie te osoby, pozbawione wrażeń, zbiegły się tu, łudząc się same co do widowiska jakie ich czekało. Istnieją słowa, które, nakształt trąb i cymbałów budy jarmarcznej, zawsze przyciągają publiczność. Słowa *piękno, sława, poezja*, mają czar, który działa nawet na najgrubsze umysły. Skoro wszyscy się zebrali, kiedy ustały rozmowy, nie bez mnóstwa upomnień rozdzielanych niesfornym przez pana de Bargeton, którego żona wysłała niby szwajcara bijącego w kościele laską o posadzkę, Lucjan zasiadł przy okrągłym stole, w pobliżu pani de Bargeton, z uczuciem gwałtownego wstrząśnienia duszy. Oznajmił niepewnym głosem, iż, aby nie zawieść niczyjego oczekiwania, odczyta świeżo odnalezione arcydzieła nieznanego wielkiego poety. Mimo iż poezje Andrzeja Chénier ukazały się w r. 1819, nikt w Angoulême nie słyszał jeszcze tego nazwiska. Każdy dopatrywał się w tej zapowiedzi sztuczki wymyślonej przez panią de Bargeton dla oszczędzenia miłości własnej poety i zostawienia swobody słuchaczom. Lucjan przeczytał najpierw *Młodego chorego*, przyjętego pochlebnym szmerem; następnie *Ślepca*, który-to poemat wydał się owym tępym duszom zbyt długi. Podczas czytania, Lucjan doznawał owej piekielnej męczarni, zrozumiałej w całej pełni jedynie wybitnym artystom, lub tym, których siła entuzjazmu oraz wysoka inteligencja wznoszą na poziom tamtych. Aby poezję oddać głosem, a także aby ją odczuć, trzeba na to religijnego skupienia. Musi się wytworzyć, między czytelnikiem a słuchaczami, porozumienie, bez

którego elektryczne zetknięcie uczuć nie jest możliwe. Jeśli brakuje tego zespolenia, wówczas poeta znajduje się w położeniu anioła, który próbuje śpiewać hymn niebiański wśród chichotu piekieł. Owóż, w sferze w której rozwijają się ich zdolności, bogato obdarzeni ludzie posiadają ów okrężny wzrok ślimaka, węch psa i ucho kreta; widzą, czują, rozumieją wszystko dokoła siebie. Muzyk i poeta równie szybko odczuwają podziw lub brak zrozumienia, jak roślina usycha lub odżywa w przyjaznej lub wrogiej atmosferze. Szmery mężczyzn, którzy przybyli jedynie przez wzgląd na swoje damy i którzy szeptali z sobą o interesach, odbijały się w uszach Lucjana mocą tej specjalnej akustyki; tak samo jak widział zachęcające czeluście szczęk rozwartych ziewaniem i urągających mu szeregiem zębów. Kiedy, podobny do owego gołębia w czas potopu, szukał przyjaznego kącika, gdzieby jego spojrzenie mogło się zatrzymać, spotykał zniecierpliwione oczy ludzi, którzy mieli widocznie zamiar skorzystać z tego zebrania, aby pomówić z sobą o jakichś pozytywnych sprawach. Z wyjątkiem Laury de Rastignac, paru młodych ludzi i biskupa, wszyscy obecni nudzili się. Niewątpliwie, ci którzy rozumieją poezję, starają się rozwinąć w duszy to, co autor pomieścił w zarodku w swych wierszach; ale ci lodowaci słuchacze, dalecy od wdechania duszy poety, nie słuchali nawet jego głosu. Lucjan uczuł tak głębokie zniechęcenie, iż zimny pot oblał mu koszulę. Płomienne spojrzenie, rzucone przez Luizę w stronę której się obrócił, dało mu siłę dokończyć; ale serce poety krwawiło się tysiącem ran.

— Cóż, bardzo się bawisz, Fifi? rzekła do sąsiadki chuda Lili, która oczekiwała, zdaje się, sztuk łamanych.

— Nie pytaj, duszko: kiedy słyszę czytanie, zaraz mi się oczy kleją.

— Mam nadzieję, że Nais nie zechce nas zbyt często karmić wierszami wieczorem, rzekł Franio. Kiedy słucham czytania po obiedzie, to wytężenie uwagi fatalnie wpływa na moje trawienie.

— Biedny kiciuś, rzekła po cichu Zefiryna, napij się wody z cukrem.

— Dobrze recytuje, rzekł Aleksander; ale i tak wolę wista.

Słysząc tę uwagę, którą przyjęto jako dowcip ze względu na angielskie znaczenie słowa[9], zwolenniczki kart zauważyły iż deklamator potrzebuje wypoczynku. Pod tym pretekstem, jedna czy dwie pary wymknęły się do buduaru. Lucjan, ubłagany przez Luizę, przez uroczą Laurę de Rastignac i przez biskupa, obudził uwagę słuchaczy dzięki oryginalnym jambom poematu, który wiele osób, porwanych ciepłem deklamacji, oklaskiwało nie rozumiejąc. Na takich ludzi działa podniesiony głos, jak na grube podniebienia mocny trunek. Gdy podawano lody, Zefiryna posłała Frania aby obejrzał tomik, i udzieliła sąsiadce swej, Amelji, wiadomości, że wiersze, które czytał Lucjan, są drukowane.

— Ależ, odparła Amelja z widoczną błogością, to bardzo proste, przecież pan de Rubempré pracuje u drukarza. To tak, rzekła spoglądając na Lolotę, jakgdyby ładna kobieta sama sobie szyła suknie.

— Sam wydrukował swoje poezje, obiegło szeptem wśród kobiet.

— Czemuż nosi tedy nazwisko de Rubempré? spytał Jakób. Skoro szlachcic pracuje własnemi rękami, powinien wówczas zrzec się nazwiska.

— On też w istocie porzucił swoje, które było gminne, rzekła Zizi, i przybrał nazwisko matki, szlachcianki z domu.

— Skoro jego wiersze, rzekł Astolf, są drukowane, możemy je przeczytać i sami.

Na tych niedorzecznościach utknęła rozmowa, aż wreszcie pan du Châtelet raczył objaśnić to zebranie nieuków, iż zapowiedź nie była retoryczną osłonką, i że te piękne poezje są to utwory zmarłego rojalisty, brata republikanina Józefa Marji Chénier. Zebrani z wyjątkiem biskupa, pani de Rastignac i jej córek, którzy odczuli tę wielką poezję — uważali iż padli ofiarą mistyfikacji i wzięli ten podstęp za obrazę. Głuchy szmer podniósł się wkoło, ale Lucjan go nie słyszał. Odosobniony od tego wstrętnego świata upojeniem jakie budziła w nim wewnętrzna melodja, silił się ją oddać i widział ludzi niby przez mgłę. Odczytał posępną elegję o samobójstwie, i drugą w stylu starożytności, oddychającą cudowną melancholją; później tę, która zawiera ów wiersz:

Słodkie są wiersze twoje, powtarzam je rada.

Wreszcie, zakończył uroczą sielanką, zatytułowaną *Néère*.

Zatopiona w rozkosznem marzeniu, z ręką w puklach

włosów które rozplotła nie wiedząc o tem, z drugą ręką zwisłą bezwładnie, z roztargnionemi oczyma, sama w pośrodku salonu, pani de Bargeton czuła się, pierwszy raz w życiu, przeniesiona we właściwą sferę. Osądźcie, jak niemile zbudziła ją Amelja, która podjęła się wyrazić jej życzenia całego zgromadzenia.

— Nais, przyszłyśmy tutaj, aby usłyszeć poezje pana Chardon, a ty nam dajesz wiersze drukowane. Mimo iż te kawałki są bardzo ładne, te panie, przez patrjotyzm, wolałyby wino swojego chowu.

— Czy nie znajduje pan, że język francuski niezbyt nadaje się do poezji? rzekł Astolf do dyrektora podatków. Proza Cycerona jest dla mnie tysiąc razy poetyczniejsza.

— Prawdziwa poezja francuska, to poezja lekka, piosenka, odparł Châtelet.

— Piosenka dowodzi, że nasz język jest bardzo muzykalny, rzekł Adrjan.

— Chciałabym bardzo poznać wierszyki, które doprowadziły Nais do zguby, rzekła Zefiryna; ale, po sposobie w jaki przyjęła prośbę Amelji, nie ma, zdaje się, ochoty uczęstować nas próbką.

— Winna jest samej sobie, aby mu kazać zadeklamować coś swojego, odparł Francis; wszak talent tego jegomościa stanowi jej usprawiedliwienie.

— Pan, który byłeś w dyplomacji, uzyskaj to dla nas, rzekła Amelja do pana du Châtelet.

— Nic łatwiejszego, odparł baron.

Ex-sekretarz do szczególnych poruczeń, przyzwyczajony do tych intryżek, podszedł do biskupa i zręcznie wysunął go

naprzód. Zagadnięta przez duchowną osobę, Nais musiała poprosić Lucjana o jakiś utwór który umie na pamięć. Szybki tryumf barona w tej negocjacji zyskał mu powłóczyste spojrzenie Amelji.

— Stanowczo, ten baron jest bardzo sprytny, rzekła do Loloty.

Lolota pamiętała słodko-kwaśne uwagi Amelji o kobietach które same robią suknie.

— Odkądże to uznajesz baronów Cesarstwa? odparła z uśmiechem.

Lucjan próbował przebóstwić swoją ukochaną w odzie, którą poświęcił jej pod tytułem wynalezionym przez wszystkich młodych ludzi na wyjściu z kolegjum. Oda ta, pieszczona z takiem umiłowaniem, upiększona całą miłością jaką nosił w sercu, wydała mu się jedynem dziełem zdolnem walczyć z poezją Chéniera. Rzucił dość zdobywcze spojrzenie w stronę pani de Bargeton, wymawiając tytuł: *Do Niej!* Następnie, upozował się dumnie dla wygłoszenia tego ambitnego utworu, autorska bowiem miłość własna czuła się pewniejsza za spódniczką pani de Bargeton. W tej chwili, Nais pozwoliła oczom kobiet podchwycić swój sekret. Mimo iż przyzwyczajona górować nad tym światem całą wysokością swej inteligencji, nie mogła się wstrzymać aby nie drżeć za Lucjana. Zachowanie jej było niepewne, spojrzenia prosiły niejako o pobłażanie; następnie, zmuszona była siedzieć ze spuszczonemi oczyma, i ukrywać zadowolenie, w miarę jak rozwijały się następujące strofy:

DO NIEJ

Z promiennych blasków fali lazurowej,
Kędy aniołów smętnych brać skrzydlata
Powtarza szeptem u tronu Jehowy
Skargi wszechświata,

Często, cherubin, dziecię sfer podniebne,
Gasząc blask złoty, co mu stroi ciemię,
Zbywszy w błękitach piór okiście srebrne,
Schodzi na ziemię.

Spieszy, gdzie czoła w zadumie się kłonią
Genjusza w pętach pokrzepia zawody,
I starca smutki koi miękką dłonią
Dzieweczki młodej.

Zbiera łzy żalu posępnych zbrodniarzy,
Matce strapionej szepce: „Miej otuchę!“
Z radosnem sercem na swej szali waży
Miłość i skruchę.

Jeden z tych posłów wśród nas tutaj bawi,
Litośnie dzieląc ziemskie nasze losy,
I patrzy okiem, co we łzach się pławi,
W jasne niebiosy.

Nie czoła jego zaduma wpółsenna
Boskości jego sekret mi zdradziła,
Ni głosu słodycz, ani ta płomienna
Ócz jego siła;

Lecz gdy, niebacznie, biedne serce moje
Na tyle czarów dłoń ściągnęło drżącą,
Spotkało straszną archanioła zbroję,
Chłodną i lśniącą...

Naucz mnie, naucz, cudny serafinie,
Magicznej pieśni ziemi, nieb i morza,
Ma jaźń niech z tobą na wieki popłynie
W modre przestworza!

Niech zespolone bratnie nasze duchy,
Pośród szaleństwa nadobłocznej jazdy,
Sieją ku ziemi marzeń swych okruchy,
Niknące gwiazdy...

— Czy rozumie pan tę szaradę? rzekła Amelia do pana du Châtelet, zwracając nań zalotne spojrzenie.

— Phi! Wiersze, jakie fabrykowaliśmy mniej lub więcej wszyscy w kolegjum, odparł baron ze znudzoną miną, trzymając się roli sędziego któremu nic nie imponuje. Dawniej, błądziliśmy w mgłach ossyanicznych: *Malwiny*, *Fingale*, mgliste zjawiska, rycerze którzy wstawali z grobów z gwiazdami płonącemi nad czołem. Dzisiaj, tę poetycką tandetę zastąpił Jehowa, sfery, anioły, pióra serafinów, cała rajska garderoba odświeżona i połatana zapomocą słów takich jak „nieskończoność, bezmiar, samotność, jaźń“. Mamy jeziora, słowa boże, rodzaj uchrystjanizowanego panteizmu, wzbogaconego rymem rzadkim a mozolnie szukanym, jak *szmaragd* i *katarakt*, *kirys* i *Iris*, etc. Słowem zmieniliśmy szerokość geograficzną: zamiast bawić na Północy, jesteśmy na Wschodzie, ale ciemności zostały równie gęste.

— Jeśli oda jest ciemna, rzekła Zefiryna, oświadczyny wydają mi się bardzo jasne.

— A zbroja archanioła jest bardzo lekką suknią muślinową, rzekł Franio.

— Jeśli mnie kochasz, nie będziesz komplementował ani autora ani jego anielicy, rzekła do swego drogiego Adrjana Lolota despotycznym tonem, którego nie ważył się nie usłuchać.

— Ostatecznie, to tylko frazesy, rzekła Zefiryna do Frania, miłość zaś, jestto poezja w czynie.

— Wiesz, Zizi, pomyślałem zupełnie toż samo, ale nie byłbym umiał tego tak ładnie wyrazić, odparł Stanisław, muskając się od stóp do głowy pieszczotliwem spojrzeniem.

— Nie wiem cobym dała, rzekła Amelja do pana du Châtelet, aby doczekać upokorzenia Nais, która każe sobie świadczyć od archaniołów, jakgdyby była czemś lepszem od nas, a nam każe się pospolitować z synem aptekarza i akuszerki, którego siostra jest gryzetką a który sam pracuje u drukarza.

— Wstępuje w ślady ojca, bo to czem nas uczęstował, to istne ziółka, rzekł Stanisław, przybierając jedną ze swoich wyzywających póz. Dobre są czasem ziółka, ale, ostatecznie, wolałbym już co innego.

W jednej chwili, całe towarzystwo jakgdyby się zmówiło aby upokorzyć Lucjana jakiemś żądłem arystokratycznej ironji. Nabożna Lili upatrywała sposobność do chrześcijańskiego uczynku, mówiąc iż czas oświecić Nais, blizką popełnienia szaleństwa. Dyplomata Franio podjął się przeprowadzić głupi spisek, którym wszystkie te małe dusze zainteresowały się jak rozwiązaniem dramatu i w którym zaświtała im plotka do obnoszenia nazajutrz. Dawny konsul, nie mający wcale ochoty na pojedynek z

młodym poetą, który, w obecności ukochanej, wpadłby w szał za pierwszem obelżywem słowem, zrozumiał, iż trzeba zamordować Lucjana poświęcanem żelazem, wobec którego zemsta byłaby niemożliwa. Poszedł za przykładem jaki mu dał zręczny Châtelet, kiedy chodziło o to aby skłonić Lucjana do wygłoszenia wierszy. Podsunął się do biskupa, udając iż podziela zachwyt Jego Wielebności; następnie zmistyfikował go, objaśniając, iż matka Lucjana jestto kobieta wyższego umysłu, niezmiernie skromna, która dostarcza synowi tematu do wszystkich utworów. Największą (mówił baron) radością dla Lucjana jest, gdy widzi iż ktoś oddaje sprawiedliwość jego matce, którą ubóstwia. Raz zaszczepiwszy tę myśl biskupowi, Franio zdał się na traf konwersacji, aby sprowadzić zabójcze słowo, które umyślił wymierzyć ustami Jego Wielebności. Kiedy Franio z biskupem wrócili do koła, w środku którego znajdował się Lucjan, uwaga zaostrzyła się wśród osób które mu już dawały pić małemi łykami cykutę. Zupełnie obcy salonowym manewrom, biedny poeta umiał tylko patrzeć na panią de Bargeton i głupio odpowiadać na głupie pytania, które mu zadawano. Nie znał nazwisk i tytułów większości obecnych, nie wiedział jak się odzywać do kobiet prawiących brednie za które mu było wstyd. Czuł się zresztą odepchniętym o tysiąc mil od tych angulemskich bożyszcz, słysząc jak go nazywają to panem Chardon, to panem de Rubempré, podczas gdy między sobą wołają się Lolotą, Adrjanem, Astolfem, Lili, Fifi. Zmięszanie jego doszło do szczytu, kiedy, wziąwszy „Lili“ za imię męzkie, nazwał *panem Lili* brutalnego pana de Senonches. Nemrod

przerwał Lucjanowi „*panem Lulu?*“, które przyprawiło panią de Bargeton o rumieniec po same białka.

— Trzeba być bardzo zaślepioną, aby wpuszczać tutaj i przedstawiać nam tego smarkacza! rzekł półgłosem.

— Pani margrabino, rzekła Zefiryna do pani de Pimentel pocichu, ale w ten sposób aby ją słyszano: czy nie znajduje pani wielkiego podobieństwa między panem Chardon a panem de Cante-Croix?

— Podobieństwo idealne, odparła z uśmiechem pani de Pimentel.

— Sława ma swoje uroki, do których wolno się przyznać, rzekła pani de Bargeton do margrabiny. Są kobiety, które pociąga wielkość, jak inne małość, dodała, spoglądając na Frania.

Zefiryna nie zrozumiała, konsul zdawał się jej bardzo wielki; ale margrabina przeszła na stronę Nais, podkreślając śmiechem przycinek.

— Panie drogi, pan jesteś bardzo szczęśliwy, rzekł do Lucjana pan de Pimentel, który, nazwawszy go wprzódy panem Chardon, poprawił się na *de Rubempré;* pan musi się nigdy nie nudzić.

— Czy pan szybko pracuje? spytała Lolota, tonem jakim się mówi do stolarza: „Czy długo trwa robota takiej skrzynki?“

Lucjan stał jak ogłuszony pod tym ciosem maczugi, ale podniósł głowę, słysząc jak pani de Bargeton odpowiada z uśmiechem:

— Moja droga, poezja nie rośnie w głowie pana de Rubempré tak jak trawa na naszych dziedzińcach.

— Pani, rzekł biskup do Loloty, nie podobna mieć nadto szacunku dla tych szlachetnych duchów, w które Bóg tchnął promyk swego światła. Tak, poezja jest rzeczą świętą. Kto mówi: poezja, mówi cierpienie. Ileż milczących nocy kosztowały te strofy, które podziwiamy! Skłońcie się z umiłowaniem przed poetą, który pędzi prawie zawsze życie nieszczęśliwe i któremu Bóg z pewnością zachował miejsce w niebie, między prorokami. Ten młody człowiek jest poetą, dodał kładąc rękę na głowie Lucjana; czy nie widzicie jakiejś fatalności wypisanej na tem pięknem czole?

Szczęśliwy z tak szlachetnej obrony, Lucjan podziękował biskupowi tkliwym wzrokiem, nie wiedząc iż zacny prałat stanie się jego katem.

Pani de Bargeton rzuciła na obóz nieprzyjacielski spojrzenia pełne tryumfu, które wbiły się, niby tyleż grotów, w serca rywalek, zdwajając ich wściekłość.

— Och, Wasza Wielebność, odparł poeta, spodziewając się ugodzić te głowy głupców swojem złotem berłem, tłum nie posiada rozumu ani serca Waszej Wielebności. Nasze cierpienia nie są nikomu znane, nieznaną też nasza praca. Górnikowi z mniejszym trudem przychodzi dobywać złoto ze swej miny, niż nam wyrywać obrazy z wnętrzności najniewdzięczniejszego pod słońcem języka. Jeżeli celem poezji jest doprowadzać myśl do punktu w którym każdy może ją widzieć i odczuwać, poeta musi przebiegać wciąż drabinę ludzkich inteligencyj, aby uczynić zadość wszystkim; musi, pod najżywszemi barwami, ukrywać logikę i uczucie, dwie wrogie potęgi. Trzeba mu zamykać cały świat myśli w jednym okresie, streszczać całe filozofje

w jednym obrazie. Słowem, wiersze jego są jak nasiona, których kwiaty powinny się rozwinąć w sercach, szukając w nich bruzd wyżłobionych własnemi uczuciami. Czy nie trzeba wszystkiego wycierpieć, aby wszystko oddać? A czuć całą mocą, czy nie znaczy cierpieć? Toteż, poezję poczyna się jedynie po ciężkich podróżach podjętych w rozległe krainy myśli i społeczeństwa. Czyż nie są nieśmiertelnemi trudy, będące rodzicielami tworów, których życie staje się bardziej istotnem niż osób żyjących naprawdę, jak *Klaryssa* Richardsona, *Kamilla* Chéniera, *Delia* Tibulla, *Angelika* Aryosta, *Francesca* Dantego, *Alcest* Moliera, *Figaro* Beaumarchais‘go, *Rebeka* Walterskota i *Don Kiszot* Cervantesa!

— I które nam pan stworzysz...? spytał Châtelet.

— Zapowiadać takie twory, odparł Lucjan, czyż nie znaczy dawać sobie dekret genjuszu? Zresztą, tego rodzaju poczynania wymagają długiej znajomości świata, studjum namiętności i interesów, studjum którego nie mogłem jeszcze dokonać; ale zaczynam! rzekł z goryczą, rzucając spojrzenie nabrzmiałe odwetem po tym kręgu. Mózg nosi swój płód długo...

— Poród będzie mozolny, wtrącił pan du Hautoy.

— Pańska nieoszacowana matka przyjdzie panu z pomocą, rzekł biskup.

To tak zręcznie przygotowane słówko, ta wyczekiwana zemsta zapaliła we wszystkich oczach błysk radości. Po wszystkich ustach przebiegi uśmieszek arystokratycznego zadowolenia, podkreślony przez tępotę pana de Bargeton, który, po dobrej chwili, zaczął się głośno śmiać.

— Wasza Wielebność jest trochę zbyt dowcipna dla nas w tej chwili, te panie nie rozumieją Waszej Eminencji, rzekła pani de Bargeton, która, tem jednem słowem, sparaliżowała śmieszki i ściągnęła na siebie zdumione spojrzenia. Poeta, który czerpie wszystkie natchnienia w Biblji, posiada w Kościele prawdziwą matkę. — Panie de Rubempré, zechciej nam powiedzieć *Świętego Jana w Patmos*, albo *Ucztę Baltazara*, aby pokazać Eminencji, że Rzym jest zawsze *Magna parens* Wergiljusza.

Kobiety wymieniły uśmieszki, słysząc w ustach Nais łacińskie wyrazy.

W zaraniu życia, najdzielniejsi ludzie nie są wolni od chwil omdlenia. Cios ten zepchnął odrazu Lucjana na dno otchłani; ale tupnął o nie nogą i wypłynął na powierzchnię, przysięgając sobie, iż zapanuje nad tym światem. Jak byk skłuty tysiącem strzał, podniósł się wściekły i, posłuszny głosowi Luizy, miał wygłosić *Św. Jana w Patmos;* ale, po największej części, zielone stoliki znęciły już partnerów; ciągnęli do kieratu swoich przyzwyczajeń, znajdując w nich przyjemność, której nie dała im poezja. Przytem, zemsta za tyle podrażnionych ambicyj nie byłaby zupełna bez owej biernej wzgardy, którą okazano rodzimej poezji, opuszczając Lucjana i panią de Bargeton. Każdy okazał się nagle bardzo zajęty; ten wdał się w rozmowę z prefektem o drodze powiatowej; ta poddała, aby urozmaicić wieczór trochą muzyki. Śmietanka miejscowa, czując się lichym sędzią w rzeczach poezji, była przedewszystkiem ciekawa opinji Rastignaków i Pimentelów, i skupiła się dokoła nich. Przemożny wpływ, jaki te dwie rodziny wywierały w całym

departamencie, objawiał się zwłaszcza w wielkich okolicznościach; każdy zazdrościł im i zabiegał się o nie, każdy bowiem przewidywał że może potrzebować ich poparcia.

— Jak pani znajduje poetę i poezje? spytał Jakób margrabiny u której często polował.

— Och, jak na wiersze pisane na prowincji, rzekła z uśmiechem, wcale niezłe; zresztą, tak ładny poeta nie może nie robić źle.

Wyrok wydał się wszystkim czarujący; zaczęli go obnosić, przypisując mu więcej złośliwości niż to leżało w intencjach margrabiny. Zaczem, uproszono pana du Châtelet o zaakompanjowanie panu de Bartas, który zmasakrował wielką arję z *Figara*. Z chwilą gdy raz otwarły się wrota dla muzyki, trzeba było wysłuchać romancy rycerskiej napisanej za Cesarstwa przez Chateaubrianda, a odśpiewanej przez pana du Châtelet. Następnie, przyszły „kawałki“ młodych dziewcząteк na cztery ręce, na żądanie pani du Brossard, która chciała błysnąć talentem Kamilli przed panem de Séverac.

Pani de Bargeton, zraniona lekceważeniem jakie okazywano jej poecie, oddała wzgardę za wzgardę usuwając się do buduaru na czas przez który muzykowano. Za nią podążył biskup. Wielki wikarjusz wytłómaczył Eminencji głęboką ironję Jej mimowolnego epigramu; biskup pragnął go tedy naprawić. Panna de Rastignac, którą poezja rozmarzyła, wsunęła się do buduaru niepostrzeżona przez matkę. Siadając na kanapie, na którą pociągnęła Lucjana, Luiza mogła, niesłyszana i niewidziana przez

nikogo, szepnąć mu do ucha:

— Drogi aniele, nie zrozumieli cię! ale

Słodkie są twoje wiersze, powtarzam je rada...

Lucjan, pocieszony pochlebstwem, zapomniał na chwilę swoich cierpień.

— Niema sławy tanio nabytej, rzekła pani de Bargeton, ujmując go za rękę i ściskając ją. Cierp, cierp, drogi mój; będziesz wielki, cierpienia są ceną twej nieśmiertelności. Rada byłabym umieć znosić wysiłki, walki! Niech cię Bóg strzeże od życia martwego i bez bojów, gdzie orle skrzydła nie znajdują dosyć przestrzeni! Zazdroszczę ci twoich cierpień: ty przynajmniej żyjesz! Rozwiniesz siły, możesz żyć nadzieją zwycięstwa! Walka, która cię czeka, będzie chlubną. Kiedy dosięgniesz królewskiej sfery w której błyszczą wielkie inteligencje, wspomnij sobie biedne istoty wydziedziczone przez los, których dusza dławi się pod uciskiem moralnego azotu i które giną, mając świadomość co jest życie a nie mogąc żyć; które mają oczy zdolne do jasnego widzenia a nic nie widziały, które posiadały delikatne powonienie a nic nie czuły prócz zapowietrzonych kwiatów. Wyśpiewaj wówczas losy rośliny która usycha w głębi lasu, zduszona przez liany, przez wegetacje łakome, bujne, nie upieszczona nigdy przez słońce, i która umiera nie zakwitnąwszy nigdy! Nie byłżeby to poemat pełen straszliwej melancholji, temat wręcz fantastyczny? Cóż za cudowna kompozycja, taki obraz młodej dziewczyny zrodzonej pod niebem Azji, albo jakiej

córy pustyni przeniesionej w zimny kraj Zachodu, wzywającej swoje ukochane słońce, umierającej z niezrozumiałego cierpienia, dławionej zarówno chłodem jak miłością! Byłby to obraz wielu istnień.

— Odmalujesz w nim duszę która zachowała pamięć nieba, rzekł biskup. Poemat taki musiał niegdyś powstać: skłonny jestem widzieć jego fragment w Pieśni nad Pieśniami.

— Niech pan to napisze, rzekła Laura de Rastignac, wyrażając naiwną wiarę w genjusz Lucjana.

— Brakuje Francji wielkiego świętego poematu, rzekł biskup. Wierzaj mi, chwała i fortuna staną się udziałem człowieka z talentem, który zechce pracować dla religji..

— On to podejmie, Wasza Wielebność, rzekła pani de Bargeton z emfazą. Czy Eminencja nie widzi idei, żarzącej się już, niby blask jutrzenki w jego oczach?

— Nais poczyna sobie z nami dość szczególnie, rzekła Fifi. Co ona robi?

— Nie słyszysz? Harcuje oklep na wielkich słowach, bez głowy i ogona.

Amelja, Fifi, Adrjan i Franio ukazali się w drzwiach buduaru, towarzysząc pani de Rastignac, która szukała córki, gotując się do odjazdu.

— Nais, rzekły obie panie, zachwycone iż mogą zakłócić buduarowe *aparté*, byłabyś bardzo uprzejma, gdybyś chciała zagrać jakiś kawałek.

— Moje drogie dziecko, odparła pani de Bargeton, pan de Rubempré powie nam swego *Świętego Jana w Patmos*, wspaniały poemat biblijny.

— Biblijny! powtórzyła Fifina ze zdumieniem.

Amelja i Fifi wróciły do salonu, unosząc to słowo jako nowy żer dla drwinek. Lucjan wymówił się od deklamacji, tłómacząc się brakiem pamięci. Kiedy się znów pojawił w salonie, nie budził już żadnego zainteresowania: każdy zajęty był rozmową lub grą. Poeta zbył się już wszystkich promieni; właściciele ziemscy nie widzieli w nim nic; ludzie z pretensjami obawiali się go, jako elementu niebezpiecznego dla ich ignorancji; kobiety, zazdrosne o panią de Bargeton, Beatryczę tego nowego Danta, wedle wyrażenia generalnego wikarjusza, rzucały mu zimne i wzgardliwe spojrzenia.

— Oto świat! powtarzał sobie Lucjan, wracając do Houmeau okrężnemi drogami; są bowiem chwile w życiu, w których człowiek chętnie obiera najdalszą drogę, aby przedłużyć bieg myśli w których tonie i z których falą chce płynąć.

Zamiast podciąć w nim odwagę, wściekłość odtrąconej ambicji dawała Lucjanowi nową energję. Jak wszyscy ludzie, pociągnięci instynktem w podniosłą sferę w którą weszli zanim mają siłę się w niej utrzymać, obiecywał sobie wszystko poświęcić, byle pozostać w arystokratycznym świecie. Idąc, rozbierał kolejno zatrute strzały któremi go ugodzono; mówił głośno sam do siebie, miażdżył głupców z którymi miał do czynienia; znajdował cięte odpowiedzi na ich głupie pytania i wściekał się że dowcip przychodzi mu tak po niewczasie. Skoro zbliżył się do gościńca ku Bordeaux, wijącego się u stóp góry i ocierającego się o brzegi Charenty, zdało mu się, iż w świetle księżyca

spostrzega Ewę i Dawida siedzących na pniu nad rzeką, opodal fabryki; zeszedł ku nim małą ścieżynką.

Podczas gdy Lucjan biegł po swoje udręczenia do pani de Bargeton, siostra włożyła perkalową suknię w drobne paseczki, słomkowy kapelusz, lekki jedwabny szal: ubiór prosty, ale który robił wrażenie strojności, jak bywa u osób, których naturalny wykwint podnosi najmniejsze przybory. Toteż, kiedy porzucała strój robotnicy, Ewa nadzwyczaj onieśmielała Dawida. Mimo iż drukarz zdecydowany był mówić o swojej sprawie kiedy podał rękę pięknej Ewie aby ją prowadzić przez Houmeau, nie zdolny był wykrztusić słowa. Miłość lubuje się w owych pełnych czci onieśmieleniach, podobnych uczuciu jakie wspaniałość Boga budzi w wiernych. Młoda para kroczyła w milczeniu ku mostowi, aby się dostać na lewy brzeg Charenty. Ewa, którą milczenie to wprawiało w zakłopotanie, zatrzymała się w połowie mostu aby popatrzeć na wodę. Od tego punktu aż do miejsca gdzie budowano prochownię, rzeka tworzy niby długą wyspę, na której zachodzące słońce kładło w tej chwili radosne smugi.

— Ładny wieczór! rzekła, szukając tematu; powietrze ciepłe a świeże, kwiaty pachną, niebo wspaniałe.

— Wszystko przemawia do serca, odparł Dawid, próbując dopłynąć do swej miłości przez analogję. Jakąż rozkoszą dla kochających ludzi jest odnajdywać w szczegółach krajobrazu, w przejrzystości powietrza, zapachu ziemi, poezję, którą mają w duszy. Natura mówi za nich.

— I rozwiązuje im język, rzekła Ewa śmiejąc się. Był

pan bardzo milczący, kiedyśmy szli przez Houmeau. Wie pan, że czułam się zakłopotana!...

— Była pani tak piękna, że oniemiałem z podziwu! odparł naiwnie Dawid.

— Jestem więc mniej piękna w tej chwili? spytała.

— Nie, ale czuję się tak szczęśliwy iż przechadzamy się tak we dwoje, że...

Zatrzymał się zakłopotany, tocząc wzrok po wzgórzach, po których zbiega droga do Saintes.

— Jeśli pan znajduje jakąś przyjemność w tej przechadzce, cieszy mnie to niezmiernie; czuję się w obowiązku odpłacić panu wieczór, który pan dla mnie poświęcił. Odmawiając pójścia do pani de Bargeton, był pan równie szlachetny, jak Lucjan gdy narażał się na jej gniew swą prośbą.

— Nie szlachetny, ale rozsądny, odparł Dawid. Skoro jesteśmy sami pod tem niebem, bez innych świadków prócz trzcin i krzaków okalających Charentę, pozwól mi, droga panno Ewo, abym ci się zwierzył z niepokoju, jaki budzi we mnie obecne życie Lucjana. Po tem co mu powiedziałem, obawy moje wydadzą się pani z pewnością przeczuleniem przyjaźni. Ty, panno Ewo, i twoja matka, uczyniłyście wszystko, aby go wynieść wyżej jego stanu; ale, podsycając jego ambicję, czyście go nie pchnęły niebacznie na drogę wielkich cierpień? W jaki sposób zdoła się utrzymać w świecie, w który ciągną go upodobania? Znam go! należy on do natur, lubiących zbiory bez pracy. Obowiązki towarzyskie pochłoną mu czas, a czas to jedyny kapitał ludzi, którzy mają za cały majątek swą inteligencję; lubi

błyszczeć, świat będzie drażnił jego pragnienia których żadna suma nie zdoła zaspokoić, będzie wydawał pieniądze zamiast zarabiać. Wreszcie, przyzwyczaiłyście go do wielkiego rozumienia o sobie; ale, nim świat uzna jakąś wyższość, żąda wprzód świetnych rezultatów. Otóż, tryumfy literackie zdobywa się jedynie w samotności, wytrwałą pracą. Co da pani de Bargeton twemu bratu, w zamian za tyle dni spędzonych u jej stóp? Lucjan jest zbyt dumny aby przyjąć jej pomoc, a my wiemy, że jest zbyt ubogi, aby nadal przebywać w otoczeniu które jest dlań podwójnie rujnujące. Wcześniej czy później, ta kobieta rzuci Lucjana, zabiwszy w nim miłość pracy, rozwinąwszy skłonność do zbytku, lekceważenia naszego skromnego życia, smak rozrywek, żyłkę próżniactwa, tej rozpusty poetycznych dusz. Tak, drżę o to, aby ta wielka pani nie uczyniła sobie zabawki z Lucjana: albo kocha szczerze i doprowadzi go do zapomnienia wszystkiego, albo nie kocha i unieszczęśliwi go, bo on za nią szaleje.

— Mrozi mi pan serce, rzekła Ewa, zatrzymując się przy barjerze nad Charentą. Ale, póki matka będzie miała siłę wykonywać swe uciążliwe rzemiosło, póki ja będę żyła, owoce naszej pracy starczą może na wydatki Lucjana i pozwolą mu czekać chwili, w której zacznie się jego dobra dola. Nigdy nie braknie mi sił; myśl że się pracuje dla ukochanej istoty, rzekła Ewa z zapałem, odejmuje pracy całą gorycz i wszystkie jej przykrości. Czuję się szczęśliwa, myśląc dla kogo zadaję sobie tyle męki, jeżeli wogóle to jest męka. Tak, nie obawiaj się pan, zarobimy tyle ile trzeba, aby Lucjan mógł bywać w wielkim świecie. Tam

jego los.

— Tam także jego zguba, odparł Dawid. Posłuchaj mnie, droga Ewo. Powolne tworzenie genjalnych dzieł wymaga znacznej już gotowej fortuny, albo też szczytnej abnegacji ubóstwa. Wierzaj! Lucjan ma taki wstręt do braków i nędzy, z taką rozkoszą wdycha w siebie woń uczt świata, kadzidło powodzenia, jego miłość własna tak rozrosła się w buduarze pani de Bargeton, iż raczej pokusi się o wszystko, niżby miał zstąpić z tych wyżyn; owoce zaś waszej pracy nigdy nie zdołają nastarczyć jego potrzebom.

— Więc i pan jesteś fałszywym przyjacielem! wykrzyknęła Ewa, zrozpaczona. Inaczej nie odbierałbyś nam odwagi w ten sposób.

— Ewo! Ewo! odparł Dawid, chciałbym być bratem Lucjana. Ty jedna możesz mi dać ten tytuł, który pozwoliłby mu wszystko przyjąć odemnie, który dałby mi prawo poświęcenia mu się z tą świętą miłością jaką ty wnosisz w swoje poświęcenia, ale z rozwagą opartą na rachunku. Ewo, drogie ukochane dziecko, spraw aby Lucjan zyskał skarb, w którym mógłby czerpać bez wstydu! Sakiewka brata czyż nie będzie jego własną? Gdybyś znała wszystkie refleksje, które mi nasunęła nowa pozycja Lucjana! Jeśli chce bywać u pani de Bargeton, biedny chłopiec nie może być dłużej moim protem, nie może nadal mieszkać w Houmeau, ty nie powinnaś być robotnicą, matka nie powinna wykonywać swego rzemiosła. Gdybyś zgodziła się zostać mą żoną, ułożyłoby się wszystko: Lucjan mógłby mieszkać u mnie na piętrze, tymczasem zaś wybudowałbym mu mieszkanko nad oficyną, o ileby ojciec

nie zechciał wystawić drugiego piętra. Urządzilibyśmy mu w ten sposób życie bez trosk, niezależne. Pragnienie pomożenia Lucjanowi dodało mi chęci zbogacenia się, jakiejbym nie miał gdyby chodziło tylko o mnie; ale od ciebie zależy dać mi prawo do tego poświęcenia. Może, kiedyś, uda się do Paryża, jedynej widowni na jakiej może zabłysnąć i gdzie talenty jego znajdą ocenę i nagrodę. Życie w Paryżu jest drogie: nie będzie nadto nas trojga aby go tam wspomagać. Zresztą i tobie i twojej matce, czyż nie będzie trzeba oparcia? Droga Ewo, oddaj mi rękę przez miłość dla Lucjana. Później, pokochasz mnie może, widząc wysiłki jakie czynię aby mu dopomóc i aby ciebie uczynić szczęśliwą. Jesteśmy oboje ludźmi skromnych upodobań, starczy nam niewiele; szczęście Lucjana będzie naszym wielkim celem, a jego serce będzie skarbonką, w którą włożymy nasze mienie, wzruszenia, wszystko!

— Względy świata rozdzielają nas, rzekła Ewa wzruszona tem jak wielka miłość czyni się małą. Pan jest bogaty, a ja biedna. Trzeba bardzo kochać, aby zamknąć oczy na trudności tego rodzaju.

— Nie kochasz mnie więc jeszcze dosyć? wykrzyknął Dawid, zrozpaczony.

— Ojciec pański sprzeciwiłby się może...

— Dobrze, dobrze, odparł Dawid, jeżeli chodzi tylko o zgodę ojca, będziesz moją żoną. Ewo, droga Ewo, uczyniłaś mi życie bardzo lekkiem od tej chwili. Miałem, ach! serce bardzo ciężkie brzemieniem uczuć, których nie mogłem ani nie umiałem wyrazić. Powiedz tylko, że kochasz trochę, a znajdę odwagę by mówić o reszcie.

— W istocie, rzekła, zniewala mnie pan abym musiała się wstydzić, ale, skoro mówimy szczerze, powiem, iż nigdy, w życiu mojem, nie myślałam o innym niż o panu. Widziałam w panu jednego z owych ludzi z których uczucia kobieta może czuć się dumną i nie śmiałam marzyć dla siebie, biednej robotnicy bez przyszłości, o tak wielkim losie.

— Dosyć, dosyć, rzekł przysiadając na barjerze do której wrócili, chodzili bowiem tam i z powrotem jak szaleńcy, przebiegając wciąż tę samą drogę.

— Co panu? rzekła, dając poraz pierwszy wyraz owemu uroczemu niepokojowi, jakiego kobiety doświadczają za istotę będącą ich własnością.

— Samo dobre, odparł. Widząc przed sobą szczęście całego życia, umysł jest jakby olśniony, dusza nie może ochłonąć. Czemu ja jestem bardziej szczęśliwy? rzekł z wyrazem melancholji. Ale wiem.

Ewa spojrzała na Dawida z zalotną i pytającą minką która żądała wyjaśnienia.

— Droga Ewo, otrzymuję więcej niż daję. Dlatego będę cię kochał zawsze lepiej niż ty mnie, mam bowiem więcej przyczyn kochać ciebie; ty jesteś aniołem, ja człowiekiem.

— Nie umiem tak ładnie mówić, odparła Ewa z uśmiechem. Kocham pana z serca...

— Tyle co Lucjana? przerwał.

— Dość aby zostać twą żoną, aby poświęcić się tobie i starać się nie sprawić ci żadnej przykrości w życiu, z początku nieco trudnem, jakie nas czeka.

— Czy spostrzegłaś, droga Ewo, że pokochałem cię od

pierwszego dnia kiedy cię ujrzałem?

— Któraż kobieta nie czuje że jest kochaną? spytała.

— Pozwól mi rozprószyć skrupuły jakie w tobie budzi mój rzekomy majątek. Jestem biedny, droga Ewo. Tak, ojciec uczynił sobie przyjemność z tego aby mnie zrujnować; uczynił przedmiot spekulacji z mej pracy; zrobił tak, jak wielu mniemanych dobroczyńców z obdarowanymi. Jeśli stanę się bogaty, to dzięki tobie. To nie jest frazes zakochanego, ale refleksja myślącego człowieka. Muszę ci wyjaśnić moje wady, a są one ogromne, jak dla kogoś kto ma stworzyć swój los. Charakter mój, nawyki, zajęcia które mi się podobają, czynią mnie niezdatnym do wszystkiego co jest handlem i spekulacją, a jedynie chwycenie się jakiegoś przemysłu może nam dać bogactwo. Jestem może zdolny odkryć kopalnię złota, ale osobliwie niezręczny do eksploatowania jej. Ale ty, która, przez miłość dla brata, zniżyłaś się do najdrobniejszych szczegółów, która masz genjusz oszczędności, cierpliwą zdolność czekania, tak cenną dla prawdziwego przemysłowca, ty zbierzesz ziarno, które ja posieję. Nasze położenie (oddawna wszak czuję się członkiem waszej rodziny), trapi mnie tak bardzo, iż trawiłem dnie i noce na szukaniu drogi do majątku. Znajomość chemji i obserwacja potrzeb handlu naprowadziły mnie na drogę zyskownego odkrycia. Nie mogę ci jeszcze nic powiedzieć, przewiduję zbyt powolną drogę. Będziemy cierpieć, może kilka lat; ale, w końcu, uda mi się odkryć metody techniczne na których tropie nie jestem ja sam: jeśli dojdę do celu pierwszy, staniemy się panami wielkiego majątku. Nie powiedziałem

nic Lucjanowi, jego gorące usposobienie zepsułoby wszystko; przekształciłby moje nadzieje w rzeczywistość, żyłby jak wielki pan, zadłużyłby się może. Dlatego, zachowaj sekret. Twoje słodkie i drogie towarzystwo samo jedno zdoła mi być pociechą w ciągu tych długich prób, tak jak pragnienie uczynienia cię bogatą, ciebie i Lucjana, doda mi wytrwałości i hartu...

— Odgadłam również, rzekła Ewa przerywając, że jesteś jednym z owych wynalazców, którym trzeba, jak memu biednemu ojcu, kobiety zdolnej opiekować się nimi.

— Kochasz mnie tedy! och, powiedz bez obawy, mnie który w imieniu twojem widziałem symbol twej miłości. Ewa była jedyną kobietą istniejącą na świecie, i to co było materjalnie prawdą dla Adama, moralnie stało się nią dla mnie. Mój Boże! kochasz mnie!

— Tak, rzekła, przedłużając tę prostą sylabę sposobem w jaki ją wymówiła, jakby chcąc odmalować rozciągłość swego uczucia.

— Dobrze więc, siądźmy, rzekł prowadząc Ewę za rękę ku długim balom drzewa które się tam znajdowały poniżej kół papierni. Pozwól mi oddychać powietrzem wieczoru, wsłuchiwać się w nawoływania ptasząt, podziwiać promienie księżyca odbijające się w wodzie; pozwól mi napawać się tą naturą, w której każdym szczególe widzę wypisane swoje szczęście, i która ukazuje mi się pierwszy raz w swoim przepychu, oświetlona miłością, upiększona przez ciebie. Ewo, ukochana moja, oto pierwsza chwila niezmąconej radości, jaką los mi dał w życiu! Wątpię, aby Lucjan był kiedy tak szczęśliwy, jak ja w tej chwili.

Czując wilgotną i drżącą w jego dłoni rękę Ewy, Dawid uronił na nią łzę.

— Nie mogę wiedzieć sekretu?... rzekła Ewa pieszczotliwym głosem.

— Masz nawet prawo do tego, gdyż ojciec twój zajmował się tą kwestją, która, niebawem, stanie się poważną. Oto czemu: upadek Cesarstwa przyczyni się do rozpowszechnienia płócien bawełnianych, z przyczyny taniości tej materji w stosunku do płótna lnianego. W tej chwili, papier robią jeszcze ze szmat konopnych i lnianych, ale ten produkt jest drogi, a koszt jego opóźnia olbrzymi rozwój, do jakiego, siłą rzeczy, idzie prasa francuska. Otóż, nie można zwiększyć produkcji gałganów. Gałgany są rezultatem zużycia bielizny, ludność danego kraju dostarcza tylko ograniczoną jej ilość, a ilość może się wzmóc jedynie przez przyrost urodzeń. Aby osiągnąć widoczną różnicę przyrostu ludności, kraj potrzebuje ćwierć wieku i wielkich przeobrażeń obyczajów, handlu i rolnictwa. Jeżeli zatem potrzeby naszych papierni przerosną ilość gałganów dostarczanych przez Francję, czy to w stosunku podwójnym czy potrójnym, trzeba będzie, dla utrzymania papieru w niskiej cenie, wprowadzić w jego wyrób inny czynnik. To rozumowanie opiera się na fakcie, na który patrzymy własnemi oczami. Papiernie tutejsze, ostatnie w których będzie się wyrabiało papier ze szmat nicianych, widzą jak bawełna zalewa ciasto w stosunku wprost zastraszającym.

Na zapytanie młodej robotnicy, która nie wiedziała co znaczy *ciasto*, Dawid udzielił jej w kwestji papiernictwa nieco wyjaśnień. Nie będą one może nie na miejscu w

dziele, które swoje materjalne istnienie zawdzięcza zarówno papierowi jak tłoczni drukarskiej; ale ten długi nawias między zakochaną parą zyska może jeśli się go poprostu streści.

Papier, wynalazek nie mniej cudowny od druku któremu służy za podstawę, istniał oddawna w Chinach; stamtąd, podziemnemi chodnikami handlu, dotarł do Azji Mniejszej, gdzie, wedle tradycji, około r. 750, posługiwano się papierem z wełny zmielonej i rozgotowanej na masę. Potrzeba zastąpienia pergaminu, który był niezmiernie kosztowny, doprowadziła przez naśladownictwo *papieru bombajskiego* (nazwa bawełnianego papieru na Wschodzie), do wynalazku papieru szmacianego: jedni twierdzą, iż dokonali tego w Bazylei w r. 1170 jacyś zbiegowie greccy, drudzy utrzymują, iż pierwszy osiągnął to w Padwie, w r. 1301, Włoch imieniem Pax. Papier ów doskonalił się powoli i bez rozgłosu; ale pewnem jest, iż, już za Karola VI-go, wyrabiano w Paryżu z papy karty do gry. Kiedy nieśmiertelni Faust, Koster i Gutenberg wynaleźli KSIĄŻKĘ, rękodzielnicy nieznani, jak tylu wielkich artystów owej epoki, zastosowali papiernictwo do potrzeb sztuki drukarskiej. W owym wieku, tak tęgim a tak naiwnym, nazwy rozmaitych formatów papieru, tak samo jak nazwy dawane czcionkom, noszą piętno naiwności epoki. Przed wynalazkiem papieru fabrycznego, o nieograniczonej długości, największe formaty były wielki *jezus* lub wielki *colombier*: ten służył jedynie do atlasów albo rycin. W istocie, rozmiary papieru drukarskiego zastosowane były do rozmiarów marmurowej płyty w

prasie. W chwili gdy rozgrywa się ta historja, istnienie papieru *ciągłego* wydawało się chimerą we Francji, mimo że już Djonizy-Robert d‘Essonne, około r. 1799, wynalazł do tego celu maszynę, którą później Didot-Saint-Leger próbował udoskonalić. Papier welinowy, wynaleziony przez Ambrożego Didot, datuje ledwie od r. 1870. Ten pobieżny rzut oka wykazuje niezbicie, że wszystkie te wielkie zdobycze przemysłu i inteligencji powstawały niezmiernie powoli, drogą niedostrzegalnego rozwoju, zupełnie tak jak postępuje przyroda. Aby dojść do swej doskonałości, pismo, a może i mowa, potrzebowały tego samego szukania poomacku, co typografja i papiernictwo.

— Gałganiarze zbierają w całej Europie szmaty, starą bieliznę, i kupują szczątki wszelakich tkanin, rzekł drukarz kończąc wykład. Te szczątki, przebrane i posortowane, gromadzą się u handlarzy szmat, hurtowników, którzy zaopatrują papiernie. Fabrykant płucze szmaty i osiąga z nich jasny wywar, który się cedzi (zupełnie tak samo jak kucharka cedzi sos przez sito) przez żelazne krosna zwane formą. Od wielkości *formy* zależy tedy wielkość papieru. W epoce gdy byłem u Didotów, zajmowano się już tą kwestją i zajmują się nią dziś jeszcze: udoskonalenie, którego szukał twój ojciec, jest jedną z najbardziej palących dzisiejszych konieczności. Oto czemu. Trwałość płótna w porównaniu z trwałością bawełny czyni w rezultacie nić tańszą od bawełny; mimo to, ponieważ większość klientów to są biedacy, dla których zawsze odgrywa rolę doraźna suma, wolą dać mniej niż więcej i, w imię zasady *Vae victis!* ponoszą olbrzymie straty. Klasa mieszczańska czyni tak jak

biedni. Toteż, szmat płóciennych brakuje. W Anglji, gdzie bawełna zastąpiła płótno u czterech piątych ludności, fabrykują już tylko papier bawełniany. Papier ten, który ma przedewszystkiem tę wadę, iż przeciera się i łamie, rozpuszcza się w wodzie tak łatwo, iż książka z bawełnianego papieru zmieniłaby się po kwadransie moczenia w papkę, gdy stara książka nie zniszczyłaby się nawet zanurzona na dwie godziny. Starą książkę dałoby się wysuszyć i, mimo iż pożółkłaby i zbladła, czcionki byłyby jeszcze czytelne, dzieło nie uległoby zniweczeniu. Zbliżamy się do czasu, w którym, wobec zmniejszenia majątków przez ich wyrównanie, wszystko zubożeje; będziemy chcieli bielizny i książek tanich, jak dziś żąda się małych obrazów z braku miejsca na duże. Koszule i książki staną się mniej trwałe, to wszystko. Rzetelność wytworów zanika na całej linji. Problem, jaki się nastręcza, jest najwyższej wagi dla piśmiennictwa, nauki i polityki. Toczyła się też kiedyś, w moim gabinecie, żywa dyskusja nad ingredjencjami, jakiemi posługują się Chiny do papieru. Tam, dzięki gatunkowi surowca, papiernictwo, od samego zaczątku, osiągnęło niedoścignioną dla nas doskonałość. Zajmowano się wówczas wiele papierem chińskim, który, przez swą lekkość i delikatność, stoi o wiele wyżej od naszego, gdyż te cenne własności nie umniejszają jego mocy i, nawet przy największej cienkości, nie jest nic a nic przeźroczysty. Pewien bardzo wykształcony korektor (w Paryżu spotyka się uczonych pośród korektorów: Fourier i Piotr Leroux są w tej chwili korektorami u Lachevardière‘a!...); zatem, hrabia de Saint-Simon,

wówczas korektor, zaszedł do nas w pełni dyskusji. Powiedział nam, iż, wedle Kempfera i du Halde‘a, podstawę papieru u Chińczyków stanowi *brussonatia*, produkt czysto roślinny, jak nasze. Inny korektor twierdził, iż papier chiński fabrykują głównie z materji zwierzęcej, z jedwabiu, tak obfitego w Chinach. Uczyniono zakład. Ponieważ Didotowie są drukarzami Instytutu, poddano oczywiście spór członkom tego uczonego zgromadzenia. Pan Marcel, ex-dyrektor Drukarni Cesarskiej, ustanowiony sędzią, odesłał obu korektorów do księdza Grozier, bibljotekarza w Arsenale. Wedle księdza Grozier, obaj korektorzy przegrali zakład: papieru chińskiego nie robią ani z jedwabiu ani z *brussonatia*; miazga jego pochodzi z utartych na proch włókien bambusowych. Ksiądz Grozier posiadał książkę chińską, zarazem monografję i dzieło technologiczne, gdzie znajdowały się liczne ryciny przedstawiające fabrykację papieru we wszystkich fazach, i pokazał nam łodygi bambusu wymalowane w całych pękach w kącie wspaniale narysowanej fabryki papieru. Kiedy Lucjan powiedział mi, iż ojciec wasz, drogą jakiejś intuicji właściwej ludziom genjalnym, przeczuł sposób zastąpienia szczątków bielizny zapomocą nader pospolitego materjału, czerpanego wprost z ziemi (tak jak Chińczycy posługują się włóknistemi łodygami), rozpatrzyłem wszystkie próby dokonane przez poprzedników i przystąpiłem do badania kwestji. Bambus jest trzciną: naturalną tedy drogą, pomyślałem o trzcinach krajowych. Cena pracy ręcznej nie odgrywa w Chinach żadnej roli, dzień pracy kosztuje tam trzy su: toteż, Chińczycy mogą, po

wyjęciu z formy, rozciągać swój papier, arkusz po arkuszu, między dwiema rozgrzanemi płytami z białej porcelany, zapomocą których prasują go i dają mu ów blask, trwałość, lekkość, ową miękkość atłasu, które czynią zeń pierwszy papier w świecie. Otóż, trzeba zastąpić sposoby Chińczyków jakąś maszyną. Zapomocą maszyn, można rozwiązać problem taniości, którą daje Chińczykom nizka cena pracy ręcznej. Gdybyśmy zdołali wyrabiać tanio papier o własnościach takich jak papier chiński, zmniejszylibyśmy przeszło o połowę wagę i grubość książek. Wolter oprawny, który, na naszych welinach, waży dwieście pięćdziesiąt funtów, nie ważyłby na papierze chińskim ani pięćdziesięciu. Niewątpliwa zdobycz. Miejsce potrzebne w bibljotekach będzie z pewnością kwestją coraz to trudniejszą, w epoce, w której powszechne zmniejszenie rzeczy i ludzi dosięga wszystkiego, nawet mieszkań. W Paryżu, wielkie pałace, wielkie apartamenta ulegną, prędzej czy później, zburzeniu; nie będzie fortun na miarę budowli naszych ojców. Jakiż wstyd dla naszej epoki wyrabiać książki nietrwałe! Jeszcze dziesięć lat, a papier holenderski, to znaczy papier ze szmat płóciennych, będzie zupełnie niemożliwy. Otóż, brat twój udzielił mi myśli jaką miał wasz ojciec, aby użyć pewnych włóknistych roślin do fabrykacji papieru; widzisz tedy, iż, jeśli mi się powiedzie, macie prawo do...

W tej chwili, Lucjan zbliżył się do siostry i przerwał szlachetną deklarację Dawida.

— Nie wiem, rzekł, czy wam się wydał ten wieczór ładny, ale dla mnie był okrutny.

— Mój biedny Lucjanie, cóż się stało? rzekła Ewa, zauważywszy wzburzenie na twarzy brata.

Podrażniony poeta opowiedział swoje męki, wylewając w przyjacielskie serca fale myśli które go nurtowały. Ewa i Dawid słuchali w milczeniu, ze smutkiem patrząc na ten potok boleści, ujawniający tyleż wielkości co małostek.

— Pan de Bargeton, kończył Lucjan, to starzec, który niebawem pożegna się ze światem sprzątnięty jakąś niestrawnością; wówczas, zapanuję nad tą dumną kastą: zaślubię panią de Bargeton! Czytałem, tego wieczora, w jej oczach miłość równą mojej. Tak, ona odczuła moje rany; uśmierzyła me cierpienia; jest równie szlachetna i wielka jak piękna i pełna uroku! Nie, ona mnie nie zdradzi nigdy!

— Czy nie jest pora, aby mu stworzyć spokojną egzystencję? rzekł zcicha Dawid do Ewy.

Ewa przycisnęła w milczeniu ramię Dawida, który, zrozumiawszy jej myśl, skwapliwie opowiedział Lucjanowi swoje plany. Zakochana para była tak pełna siebie samych, jak Lucjan siebie: tak iż Ewa i Dawid, żądni aprobaty własnego szczęścia, nie spostrzegli odruchu zdumienia, który się wymknął ulubieńcowi pani de Bargeton, skoro się dowiedział o zamierzonem małżeństwie siostry. Lucjan, który marzył o tem aby znaleźć dla Ewy świetną partję, gdy sam dojdzie do wysokiej pozycji i w ten sposób stworzyć szersze podstawy dla swej ambicji wiążąc się z jakąś potężną rodziną, z rozpaczą ujrzał w tym związku jedną przeszkodę więcej dla swych światowych sukcesów.

— Jeżeli pani de Bargeton zgodzi się zostać panią de Rubempré, nigdy nie zechce być bratową Dawida Séchard!

To zdanie zawiera jasną i ścisłą formułę myśli, które szarpały sercem Lucjana.

— Luiza ma słuszność! Ludzie przyszłości nigdy nie znajdują zrozumienia w rodzinie, pomyślał z goryczą.

Gdyby Lucjan otrzymał wiadomość o tym związku kiedyindziej niż w chwili, gdy, w wyobraźni, uśmiercił właśnie pana de Bargeton, byłby ją z pewnością przyjął z najżywszą radością. Zastanawiając się nad swem obecnem położeniem, nad losem dziewczyny pięknej a bez majątku, patrzyłby na to małżeństwo jak na nieoczekiwane szczęście. Ale on bujał właśnie w jednym z owych złotych snów, w których młodzi ludzie, dosiadłszy słówka *gdyby*, przeskakują wszystkie zapory. W tej chwili, widział siebie panującego nad światem; jako prawdziwy poeta, cierpiał iż tak rychło trzeba mu się osunąć w rzeczywistość. Ewa i Dawid myśleli, iż brat, przygnieciony tą wspaniałomyślnością, milczy. Dla tych dwóch pięknych dusz, milczące przyjęcie było świadectwem prawdziwej przyjaźni. Drukarz począł, z łagodną i serdeczną wymową, malować szczęście jakie czeka wszystkich czworo. Mimo okrzykiwań się Ewy, umeblował pierwsze pięterko z przepychem zakochanego; wybudował, z naiwną dobrą wiarą, drugie dla Lucjana oraz dla pani Chardon wobec której chciał rozwinąć wszelkie synowskie starania. W końcu, uczynił rodzinę tak szczęśliwą i brata swego tak niezależnym, iż Lucjan, oczarowany głosem Dawida i pieszczotami Ewy, zapomniał, w cienistej alei nad spokojną i lśniącą Charentą, pod gwieździstem sklepieniem i w atmosferze ciepłej nocy, o dotkliwej koronie z cierni, jaką

społeczeństwo wtłoczyło mu na głowę. Pan de Rubempré ocenił wreszcie Dawida. Wrażliwość jego przeniosła go niebawem w czyste, pracowite i mieszczańskie życie jakie wiódł wprzódy; Dawid ukazał mu je, piękniejsze jeszcze i wolne od trosk. Zgiełk arystokratycznego świata oddalał się coraz bardziej. Wreszcie, kiedy wstąpili na bruk Houmeau, ambitny młodzieniec uścisnął rękę brata i dostroił się do szczęśliwej pary kochanków.

— Byle tylko twój ojciec się nie sprzeciwiał? rzekł do Dawida.

— Wiesz dobrze, ile on troszczy się o mnie! żyje sobie na własną rękę; ale pójdę go jutro odwiedzić w Marsac, choćby poto, aby uzyskać przebudowy które nam są potrzebne.

Dawid odprowadził rodzeństwo aż do mieszkania pani Chardon, którą poprosił o rękę Ewy z pośpiechem człowieka nie chcącego dopuścić możliwości odwłoki. Matka ujęła rękę córki, włożyła z radością w rękę Dawida, ośmielony zaś kochanek pocałował w czoło piękną narzeczoną, która uśmiechnęła się doń zarumieniona.

— Oto zaręczyny biednych ludzi, rzekła matka, wznosząc oczy, jakby dla uproszenia błogosławieństwa Boga. — Odważny jesteś, moje dziecko, rzekła do Dawida; jesteśmy pod znakiem nieszczęścia i lękam się aby ono nie było zaraźliwe.

— Będziemy bogaci i szczęśliwi, rzekł poważnie Dawid. Na początek, poniecha pani rzemiosła pielęgniarki, i zamieszka, z córką i Lucjanem, w Angoulême.

Troje młodych zaczęło na wyprzódki opowiadać

zdumionej matce śliczny projekt, zapuszczając się w jedną z owych gawęd rodzinnych, w których zgarnia się zawczasu wszystkie zasiewy i kosztuje z góry wszystkich radości. Trzeba było Dawida wypędzić z domu przemocą; byłby pragnął, aby ten wieczór trwał wiecznie. Biła pierwsza zrana, kiedy Lucjan odprowadzał przyszłego szwagra do bramy Palet. Zacny pan Postel, zaniepokojony niezwykłym ruchem, przycupnął za oknem; otwarł żaluzje i mówił sobie, widząc o tej porze oświetlone okienko Ewy:

— Co się tam dzieje u tych Chardonów? — Mój chłopcze, rzekł widząc wracającego Lucjana, co się stało u was? Może byłbym na co potrzebny?

— Nie, panie, odparł poeta; ale, ponieważ jest pan przyjacielem rodziny, mogę powiedzieć o co chodzi: matka oddała Dawidowi Séchard rękę Ewy.

Za całą odpowiedź, Postel zamknął gwałtownie okno, w rozpaczy iż nie oświadczył się o pannę Chardon.

Zamiast wrócić do Angoulême, Dawid skierował się do Marsac. Nie spiesząc się, szedł przed siebie i, właśnie w chwili gdy słońce wstawało, dotarł do ogródka okalającego dom. Kochanek ujrzał, pod drzewem migdału, głowę starego niedźwiedzia, wznoszącą się nad żywopłotem.

— Dzień dobry, ojcze, rzekł Dawid.

— Jakto, to ty, mój chłopcze! Jakimż cudem znalazłeś się na gościńcu o tej porze? Chodźże tędy, rzekł winiarz, wskazując furtkę. Całe wino zakwitło cudownie, ani jeden szczep nie przemarzł! Będzie więcej niż dwadzieścia beczek z morgi tego roku; ale też ile nawozu!...

— Ojcze, pragnąłbym z tobą pomówić w ważnej

sprawie.

— No i cóż, jakże twoje prasy? musisz zarabiać góry złota?

— Będę zarabiał, ojcze, ale na tę chwilę nie jestem bogaty.

— Wszyscy powstają tu na mnie, że nawożę jak djabli, odparł ojciec. Mieszczuchy, to znaczy pan margrabia, pan hrabia, pan taki i taki, utrzymują, że obniżam tem jakość wina. Na co zda się nauka, żeby człowiekowi rozum zmącić. Posłuchaj! ci panowie zbierają siedm, czasem ośm beczek z morgi, i sprzedają je po sześćdziesiąt franków, co daje najwyżej czterysta franków z morgi w dobrym roku. Ja zbieram dwadzieścia beczek i sprzedaję po trzydzieści franków, razem sześćset! Kto jest głupiec? Jakość! jakość! Cóż mnie obchodzi jakość, niech oni zachowają jakość dla siebie, panowie markizy. Dla mnie, jakość, to talary. Jak powiadasz?...

— Mój ojcze, żenię się, przychodzę prosić...

— Prosić? Och, nic a nic, mój chłopcze. Żeń się, owszem; ale, żebym ci miał dać cośkolwiek... Jestem w tej chwili bez grosza. Wkłady zrujnowały mnie! Od dwóch lat, wkładam i wkładam; do tego podatki, koszta wszelakiego rodzaju; rząd bierze wszystko, co najlepsze idzie w kieszeń rządu! Oto już dwa lata, jak biedni właściciele winnic nie mają nic. Ten rok przedstawia się nieźle, i oto szelmy beczki już są po jedenaście franków! Pracuje się na bednarza. Poco ci się żenić przed winobraniem?...

— Ojcze, przychodzę prosić tylko o pozwolenie.

— Och, to, to inna inność. A z kimże to chcesz się żenić,

jeżeli wolno spytać?

— Z panną Ewą Chardon.

— Cóż to takiego? co to za nasienie?

— Córka nieboszczyka pana Chardon, aptekarza z Houmeau.

— Ty żenisz się z dziewczyną z Houmeau, ty, obywatel, ty, drukarz królewski w Angoulême! Oto owoce edukacji! Oddawajże-tu dzieci do szkół! Ho, ho, musi być tedy bardzo bogata, mój chłopcze, rzekł stary winiarz, zbliżając się do syna z pieszczotliwym wyrazem; jeżeli się żenisz z dziewczyną z Houmeau, musi chyba tęgo być wypchana złotem! Dobrze! zapłacisz mi zaległe czynsze. Wiesz, chłopcze, że to już dwa lata i kwartał jak zalegasz: razem dwa tysiące siedemset franków, któreby mi w samą porę spadły na zapłacenie bednarza. Od każdego innego miałbym prawo domagać się procentów; ostatecznie, interes interesem; ale tobie daruję je. No więc, cóż ona ma?

— Ma to, co miała moja matka.

Stary winiarz już miał wykrzyknąć: „Tylko dziesięć tysięcy!“ ale przypomniał sobie, iż odmówił był zdania rachunków synowi i wykrzyknął: Nie ma nic!

— Majątek matki stanowiły jej rozsądek i uroda.

— Idźże z tem na targ, zobaczysz co ci dadzą za ten towar! Krocśet djabłów, biedni są ci ojcowie ze swemi dziećmi! Dawidzie, kiedy ja się żeniłem, miałem za cały majątek czapkę na głowie i tych dziesięć palców; byłem biednym drapichrustem; ale ty z piękną drukarnią, którą ci *dałem*, z twoim fachem i nauką, masz prawo zaślubić obywatelkę, kobietę z jakimi trzydziestoma, czterdziestoma

tysiącami franków. Zostaw swoje miłostki, a ja cię już wyswatam! Mamy, o milę stąd, trzydziestoletnią wdowę, młynarkę: ma sto tysięcy franków w doskonałej ziemi, to coś dla ciebie. Możesz połączyć jej majątek z gruntami w Marsac; stykają się. O, cóż za ładny kawał ziemi mielibyśmy wówczas, jakbym ja na nim gospodarował! Powiadają, że ma się wydać za pana Courtois, swego rządcę, tożeś ty więcej wart od niego! Jabym prowadził młyn, gdy ona paradowałaby w Angoulême.

— Ojcze, dałem słowo...

— Dawidzie, ty nie masz pojęcia o handlu, idziesz do ruiny. Tak, jeśli się ożenisz z tą dziewczyną z Houmeau, ubezpieczę się wobec ciebie sądownie, pozwę cię o czynsze, bo nie przewiduję nic dobrego. O moje biedne prasy! moje prasy! Ileż to trzeba było pieniędzy, aby was naoliwić, utrzymać, puścić w ruch! Jedynie dobry rok urodzaju mógłby mnie pocieszyć po tem com usłyszał.

— Mój ojcze, zdaje mi się, że dotąd mało sprawiłem ci zgryzot...

— A jeszcze mniej płaciłeś czynszów, odparł stary.

— Przyszedłem cię prosić, prócz zezwolenia na małżeństwo, o to, abyś mi wybudował drugie piętro, i wystawił mieszkanko nad oficyną.

— Figę z makiem, nie mam ani szeląga, wiesz o tem. Zresztą, toby były pieniądze rzucone do wody, cóżby mi to przyniosło? Ha, wstajesz o świcie, aby mnie nagabywać o budowle zdolne zrujnować króla! Mimo że dano ci na imię Dawid, ja nie posiadam skarbów Salomona. Aleś ty oszalał! Zamieniono mi chyba moje dziecko u mamki! Ten

zapowiada się solennie! — rzekł, przerywając, aby pokazać Dawidowi szczep. Oto dzieci, które nie zawodzą nadziei rodziców; nawieziesz je, przynoszą ci dochody. Oddałem cię do liceum, płaciłem ogromne sumy aby z ciebie zrobić uczonego, umieściłem cię u Didotów: wszystkie figle kończą się tem, iż wprowadzasz mi do domu dziewczynę z Houmeau bez grosza posagu! Gdybyś się nie uczył, gdybyś został pod mojem okiem, byłbyś się prowadził wedle mej woli i ożeniłbyś się dziś z młynarką stutysięczną, nie licząc młyna. Więc tak, twoja mądrość służy na to, abyś sobie myślał że ja cię wynagrodzę za te piękne uczucia, budując ci pałace?... Powiedziałby kto, doprawdy, że, od dwustu lat, w twoim domu mieszkały tylko świnie i że dziewczyna z Houmeau nie może się tam przespać. Ejże! czy to królowa francuzka?

— Zatem, ojcze, wybuduję piętro własnym kosztem; niechże syn wzbogaci ojca. Mimo że to wywraca naopak porządek świata, zdarza się niekiedy.

— Jakto, chłopcze, masz na budowanie, a nie masz na czynsz? Spryciarzu, ty kręcisz z ojcem!

Kwestja tak postawiona stawała się trudna do rozwiązania: stary uszczęśliwiony był, iż może synowi nic nie dać, zachowując pozory ojcostwa. To też, Dawid nie zdołał uzyskać od ojca nic więcej, jak tylko proste zezwolenie na małżeństwo oraz na dokonanie własnym kosztem w domu ojca potrzebnych przeróbek. Stary niedźwiedź, ów wzór ojców dawnej daty, uczynił synowi tę łaskę, że nie wymagał zaległych czynszów i nie obdzierał go z oszczędności z jakiemi syn niebacznie się zdradził.

Dawid posmutniał: zrozumiał, że, w razie nieszczęścia, nie może liczyć na pomoc ojca.

W całem Angoulême gadano jedynie o koncepcie biskupa i odpowiedzi pani de Bargeton. Najmniejsze wydarzenia wypaczono, powiększono, upiększono niebawem tak, iż poeta stał się bohaterem chwili. Ze sfer wyższych, gdzie huczała ta burza plotek, spadło kilka kropel i w światek mieszczański. Kiedy Lucjan przechodził przez Beaulieu, udając się do pani de Bargeton, zauważył zazdrosną baczność, z jaką przyglądało mu się wielu młodych ludzi, oraz pochwycił kilka zdań, które go wbiły w dumę.

— Oto szczęśliwy chłopak, rzekł dependent adwokacki nazwiskiem Petit-Claud, bardzo brzydki, kolega szkolny Lucjana, wobec którego ten przybierał protekcyjne miny.

— Niema gadania: ładny chłopiec, ma talent, i pani de Bargeton szaleje za nim, odparł jakiś obywatelski synek, który był obecny przy lekturze.

Lucjan niecierpliwie oczekiwał godziny, w której wiedział iż zastanie Luizę samą; czuł potrzebę uzyskania jej zezwolenia na małżeństwo siostry. Pani de Bargeton stała się panią jego losów. Po wczorajszym wieczorze, Luiza będzie może tkliwsza, a tkliwość ta snadnie sprowadzi chwilę szczęścia... Nie omylił się: pani de Bargeton przyjęła go z emfazą uczucia, która temu nowicjuszowi w amorach wydała się wzruszającym postępem miłości. Poddała piękne złote włosy, ręce, głowę, płomiennym pocałunkom poety, który, przez wczorajszy wieczór, tyle wycierpiał!

— Gdybyś widział swoją twarz kiedy czytałeś! —

rzekła: wczorajszego dnia bowiem doszli do owego *ty*, do tej pieszczoty słów, wówczas, gdy, na kanapie, Luiza białą ręką otarła krople potu, zawczasu strojące perłami czoło, na które ona kładła wieniec. Iskry sypały się z twych pięknych oczu! zdało mi się, że widzę wychodzące z twoich ust złote łańcuchy, na jakich zawisają serca u warg poetów. Przeczytasz mi całego Chéniera, to poeta kochanków. Nie będziesz już cierpiał więcej, ja nie chcę! Tak, drogi aniele, stworzę ci oazę, w której będziesz żył pełnem życiem poety, naprzemian czynnem, miękkiem, leniwem, pracowitem, myślącem; ale nie zapominaj nigdy, że twoje laury mnie należą z prawa, że to będzie dla mnie wspaniałe odszkodowanie za cierpienia, które mnie czekają. Biedny mój, drogi, ten świat nie oszczędzi mnie, jak ciebie nie oszczędził; mści się za każde szczęście, którego nie dzieli. Tak, będą mi zawsze zazdrościć, czy nie widziałeś wczoraj? jak te muchy krwiożercze prędko się zbiegły, aby ssać ranki które zadały! Ale byłam szczęśliwa! żyłam! Już od tak dawna nie dźwięczały struny mego serca!

Łzy popłynęły po policzkach Luizy; Lucjan wziął ją za rękę, i, za całą odpowiedź, wycisnął na niej długi pocałunek. Ta kobieta głaskała wszystkie próżności poety, tak samo jak matka, siostra, Dawid. Każdy dokoła niego pracował nad wywyższeniem urojonego piedestału, na którym się znalazł. Utrzymywany przez cały świat, zarówno przez przyjaciół jak przez wściekłość nieprzyjaciół, w swoich ambitnych przeświadczeniach, kroczył w atmosferze zwodnych mirażów. Młoda wyobraźnia tak łatwo staje się wspólniczką tego rodzaju

pochwał i myśli, wszystko tak kwapi się służyć pięknemu, pełnemu przyszłości młodzieńcowi, że trzeba więcej niż jednej gorzkiej i zimnej lekcji, aby rozproszyć takie czary.

— Chcesz zatem, urocza Luizo, być moją Beatryczą, ale Beatryczą, która pozwala się kochać?

Podniosła piękne oczy, dotąd spuszczone, i rzekła, przecząc słowom anielskim uśmiechem:

— Jeżeli zasłużysz... później! Czy nie jesteś szczęśliwy? Mieć oddane serce! móc wszystko powiedzieć z tą pewnością, że się będzie zrozumianym, czy to nie szczęście?

— Tak, odparł, z miną dąsającego się kochanka.

— Dzieciaku! — rzekła przedrzeźniając go. — No, czy nie masz mi nic do powiedzenia? Wszedłeś jakby zaprzątnięty jakąś myślą, mój Lucjanie.

Lucjan zwierzył nieśmiało swej ukochanej wzajemną miłość Dawida i siostry, jak również zamierzone małżeństwo.

— Biedny Lucuś, rzekła, boi się, że go wybiją, połają, jakby to on sam się żenił! Ale cóż w tem widzisz złego? dodała, wodząc palcami po włosach Lucjana. Co mnie obchodzi twoja rodzina, w której ty jesteś wyjątkiem? Gdyby mój ojciec zaślubił służącą, czy bardzobyś się troszczył o to? Drogie dziecko, kochankowie są sami dla siebie całą rodziną. Czy ja mam w świecie inną troskę prócz mego Lucjana? Bądź wielki, umiej zdobyć sławę, oto co nas obchodzi!

Słysząc tę egoistyczną odpowiedź, Lucjan czuł się najszczęśliwszym człowiekiem. W chwili gdy słuchał

szalonych racyj, zapomocą których Luiza udowadniała mu że są sami na świecie, wszedł pan de Bargeton. Lucjan zmarszczył brwi zmięszany; Luiza dała mu znak i poprosiła aby został na obiedzie, nakłaniając aby jej poczytał Andrzeja Chénier, póki nie zejdą się gracze i goście wieczorni.

— Sprawi pan przyjemność nietylko żonie, rzekł pan de Bargeton, ale i mnie. Nic mi nie robi tyle przyjemności co słuchać czytania po obiedzie.

Karmiony słodyczami przez pana de Bargeton, pieszczony przez Luizę, obsługiwany przez lokai z owym szacunkiem jaki mają dla faworytów państwa, Lucjan został w pałacu Bargetonów, wżywając się we wszystkie rozkosze fortuny, do której używalności go dopuszczono. Kiedy salon napełnił się ludźmi, uczuł się tak silny głupotą pana de Bargeton i miłością Luizy, że przybrał postawę zwycięscy, w której piękna kochanka umacniała go jeszcze. Kosztował rozkoszy władzy zdobytej przez Nais, której sprawiało przyjemność z nim ją dzielić. Słowem, tego wieczora, odgrywał w całej pełni rolę bohatera małego miasteczka. Widząc tę zmianę w zachowaniu Lucjana, niektóre osoby mniemały, że, wedle staroświeckiego wyrażenia, między nim a panią de Bargeton doszło do ostateczności. Amelja, przybyła w towarzystwie pana du Châtelet, ogłaszała tę katastrofę w kącie salonu, gdzie się skupili zazdrośni i zawistni.

— Nie wińcie Nais za wyskoki próżności smarkacza, nieposiadającego się z dumy iż znalazł się w świecie, w którym nigdy nie spodziewał się stąpić nogą, rzekł Châtelet.

Nie widzicie, że ten Chardon bierze uprzejmość światowej damy za awanse? Nie umie jeszcze odróżnić milczenia które cechuje prawdziwą miłość od protekcjonalnych grzeczności jakie nań ściąga jego uroda, młodość i talent! Los kobiet byłby zbyt ciężki, gdyby odpowiadały za wszystkie pragnienia które budzą. On jest zakochany, to pewna; ale, co się tyczy Nais...

— Och! Nais, podjęła przewrotna Amelja, Nais jest bardzo szczęśliwa z tego uczucia. W jej wieku, miłość młodego chłopca przedstawia tyle uroków! Kobieta odzyskuje wówczas młodość, staje się młodą dziewczyną, przybiera jej skrupuły, wzięcie, zapomina o śmieszności... Ot, patrz pan! Syn aptekarza przybiera tony władcy u pani de Bargeton!

— Miłość nie zna co to stany, zanucił Adrjan.

Nazajutrz, nie było ani jednego domu w całem Angoulême, gdzieby nie dyskutowano stopnia poufałości, na jakiej pozostaje pan Chardon, *alias* de Rubempré, z panią de Bargeton: parę tę, ledwie winną kilku pocałunków, świat obwiniał już o najbardziej zbrodnicze szczęście. Wśród różnych dziwactw społeczeństwa, czyście nie zauważyli kaprysu jego sądów i szaleństwa jego wymagań? Są osoby, którym wszystko wolno; mogą robić rzeczy najniewłaściwsze; u tych wszystko jest w porządku; ludzie, na wyprzódki, usprawiedliwiają wszystkie ich postępki. Ale są inne osoby, wobec których świat okazuje niewiarygodną surowość: te powinny czynić wszystko dobrze, nigdy się nie mylić, nie błądzić, nie popełniać nawet najlżejszego głupstwa; rzeklibyście posągi otoczone podziwem, które

ściąga się z piedestału z chwilą gdy mróz odkruszył im palec lub koniec nosa; nie pozwala się im na nic ludzkiego, mają obowiązek być ciągle boskie i doskonałe. Jedno spojrzenie pani de Bargeton na Lucjana równoważyło dwanaście lat słodyczy Ziziny i Frania. Uścisk dłoni kochanków miał ściągnąć na nich wszystkie gromy Charenty.

Dawid przywiózł z Paryża sekretny zapasik, który przeznaczał na koszta małżeństwa oraz przybudówki na ojcowskim domu. Powiększyć ten dom, czyż nie znaczyło pracować dla siebie? prędzej czy później, musiał on spaść na niego, ojciec miał siedemdziesiąt ośm lat. Drukarz kazał tedy wznieść w formie drewnianej nadbudowy mieszkanko Lucjana, aby nie przeciążać porysowanych murów starego domostwa. Z zapałem zabrał się do zdobienia, meblowania mieszkania na pierwszem piętrze, gdzie piękna Ewa miała spędzić życie. Był to dla dwóch przyjaciół czas wesela i niezmąconego szczęścia. Mimo iż znużony ciasnotą prowincjonalnego życia, Lucjan zniósł bez skargi rachuby ubóstwa i jego prywacje. Posępna melancholja ustąpiła miejsca promiennej nadziei. Widział gwiazdę błyszczącą nad swą głową; marzył o świetnej egzystencji lokując swe szczęście na grobie pana de Bargeton, który, od czasu do czasu, miał trawienie nieco utrudnione, oraz tę szczęśliwą manję, aby niestrawność poobiednią uważać za chorobę, na którą najlepszem lekarstwem jest obfita wieczerza.

Około początku września, Lucjan nie był już protem, był *panem de Rubempré*, mieszkającym wspaniale w porównaniu do nędznego poddasza, jakie młody Chardon

zajmował w Houmeau; nie był już „człowiekiem z Houmeau“, mieszkał w wyżnem Angoulême i bywał cztery razy na tydzień na obiedzie u pani de Bargeton. Zyskawszy łaskę biskupa, miał wstęp i do konsystorza. Zatrudnienia jego stawiały go w rzędzie najwyżej położonych osób. Wreszcie, miał kiedyś zająć miejsce między chwałami Francji. To pewna, iż przebiegając ładny salonik, uroczą sypialnię i gotowalnię pełną smaku, mógł zapomnieć o przykrości, iż zagarnia trzydzieści franków na miesiąc z ciężkiego zarobku matki i siostry; widział bowiem dzień, kiedy romans historyczny, nad którym pracował od dwóch lat, *Gwardzista Karola IX-go*, i tomik poezyj zatytułowanych *Stokrotki* rozgłoszą jego imię w literaturze, przynosząc mu dość pieniędzy aby się mógł wypłacić wobec matki, siostry i Dawida. To też, czując jak urasta, łowiąc uchem rozgłos swego nazwiska w przyszłości, przyjmował teraz te ofiary ze szlachetną ufnością: uśmiechał się ze swej niedoli, cieszył się ostatniemi chwilami swej nędzy. Ewa i Dawid kładli szczęście brata przed własnem. Ślub opóźnił się wskutek zwłoki, jakiej zażądali robotnicy dla wykończenia mebli, obić, malowań pierwszego piętra, sprawy bowiem Lucjana szły przed innemi. Kto znał Lucjana, nie dziwiłby się temu poświęceniu: był tak uroczy! w obejściu miał tyle pieszczoty! swą niecierpliwość i swoje pragnienia umiał objawiać z takim wdziękiem! zawsze wygrał sprawę, nim się odezwał. Przez ten fatalny przywilej więcej młodych ludzi ginie niż wypływa. Przyzwyczajeni do względów jakie spotyka wszędzie urodziwa młodość, szczęśliwi z

owego samolubnego poparcia jakiego świat użycza istocie, która mu się podoba, tak jak daje jałmużnę żebrakowi, który budzi w nim współczucie, wiele tych wielkich dzieci cieszy się tą łaską zamiast z niej korzystać. Łudząc się co do istoty sprężyn społecznych, spodziewają się zawsze spotkać ujmujące uśmiechy; ale dochodzą nadzy, łysi, obdarci, bez wartości i mienia, do chwili, w której, niby stare kokietki i stare łachmany, świat porzuca ich u drzwi salonu lub na rogu ulicy.

Ewa zresztą sama chciała tego opóźnienia, pragnęła w oszczędny sposób zaopatrzyć dom w rzeczy potrzebne dla gospodarstwa. Czegóż mogła odmówić para kochanków bratu, który, widząc jak siostra pracuje, mówił, z głębi serca: „Chciałbym umieć szyć!“ Poważny i bacznie obserwujący Dawid stał się również wspólnikiem tego poświęcenia. Mimo wszystko, od czasu tryumfów Lucjana u pani de Bargeton, uczuwał lęk przed przeobrażeniem jakie dokonywało się w chłopcu; lękał się, iż rozwinie się w nim wzgarda dla mieszczańskiej prostoty. Pragnąc doświadczyć brata, Dawid stawiał go niekiedy w konieczności wyboru między patrjarchalnemi uciechami rodziny a rozkoszami wielkiego świata; aż, widząc iż Lucjan chętnie nieraz poświęca dla rodziny swoje upodobania i próżnostki, wykrzyknął: „Nie zepsują go nam!“ Często, trójka przyjaciół i pani Chardon wyprawiali sobie wycieczki, ot, jak to na prowincji: puszczali się na przechadzkę w okoliczne lasy, ciągnące się wzdłuż Charenty; przyrządzali na trawie śniadanie z zapasów, które uczeń Dawida przynosił we wskazane miejsce; następnie,

wracali wieczór, nieco znużeni, nie wydawszy ani trzech franków. W wielkich okolicznościach, kiedy puścili się na obiadek w tak zwanej *Restauracji*, wydatek dochodził pięciu franków, które dzieliło się między Dawida a Chardonów. Dawid był nieskończenie wdzięczny Lucjanowi, iż umiał zapomnieć, w tych sielskich dniach, zadowoleń próżności, które znajdował u pani de Bargeton, oraz wspaniałych obiadów wielkiego świata. Każdy chciał wówczas fetować wielkiego człowieka z Angoulême.

W tym stanie rzeczy, w chwili gdy już niemal niczego nie brakło do przyszłego gospodarstwa, Dawid wybrał się do Marsac aby uzyskać od ojca jego udział w ceremonji, w nadziei, iż starowina, rozbrojony urokiem synowej, przyczyni się do ogromnych wydatków spowodowanych urządzeniem domu. Otóż, tego właśnie dnia zdarzył się jeden z owych wypadków, które, w małem miasteczku, zupełnie zmieniają postać rzeczy.

Lucjan i Luiza posiadali w panu Châtelet domowego szpiega, który, z wytrwałością nienawiści łączonej z miłością i interesem, czatował na sposobność wywołania skandalu. Sykstus chciał zmusić panią de Bargeton do tak wyraźnego oświadczenia się za Lucjanem, aby się stała tem, co nazywają kobietą *zgubioną*. Przybrał rolę skromnego powiernika pani de Bargeton; ale, o ile w jej domu rozpływał się w zachwytach nad Lucjanem, pastwił się nad nim ile mógł gdzieindziej. Nieznacznie, zdobył sobie wstęp o każdej godzinie do Nais, która pozbyła się nieufności do starego wielbiciela; ale baron zbyt wiele pokładał zaufania w kochankach, których miłość

pozostawała wciąż platoniczną, ku wielkiej zresztą rozpaczy Luizy i Lucjana. Bywają, w istocie, namiętności, które ruszyły z miejsca złą czy dobrą nogą, jak kto woli. Obie strony grzęzną w taktyce uczucia, mówią miast działać, i biją się w szczerem polu, zamiast podjąć oblężenie. Często zdarza się, iż sprzykrzą się sobie, znużywszy swoje pragnienia w próżni. W takiej grze, kochankowie zostawiają sobie czas na to aby się zastanawiać, aby sądzić. Często, namiętności które wyruszyły w pole z rozwiniętymi sztandarami, dziarskie, z zapałem niepohamowanym żadną zaporą, wracają wkońcu do domu, bez chwały, bez trofeów, zawstydzone, rozbrojone, ogłupiałe swym próżnym hałasem. Fatalności te dadzą się niekiedy wytłómaczyć nieśmiałością młodego wieku oraz targami w jakich lubują się kobiety nowicjuszki, tego rodzaju bowiem wzajemne oszukaństwa nie zdarzą się ani wygom wytartym w praktyce życia, ani kokietkom przyzwyczajonym do miłosnych manewrów.

Życie prowincjonalne jest zresztą szczególnie wrogie zadowoleniom miłosnym i sprzyja intelektualnym bojom wielkich uczuć; przeszkody, jakie wszystko bez wyjątku stawia słodkiej poufałości, tak bardzo wiążącej kochanków, rzucają gorące dusze w ostateczne krańce. Życie to oparte jest na tak drobiazgowem szpiegostwie, na tak doskonałej przejrzystości wnętrza domu, tak mało dopuszcza serdecznego zbliżenia, które daje chwile szczęścia nie obrażając cnoty, najczystsze stosunki spotykają się z tak niedorzecznemi oskarżeniami, że wiele kobiet dostaje się pod pręgierz mimo swej niewinności. Niejedna wyrzuca

sobie wówczas, iż nie zakosztowała słodyczy błędu, którego dźwiga wszystkie ciężary. Społeczeństwo, które bez poważniejszego zbadania potępia lub krytykuje oczywiste fakty jakimi kończą się długie, tajemne walki, jest, w ten sposób, w samym zaczątku, współwinne tych wykroczeń; ale większość ludzi piorunujących przeciw rzekomemu zgorszeniu do jakiego powód dają owe bez racji spotwarzane kobiety, nie zastanawia się nigdy nad przyczynami doprowadzającemi je do takiej publicznej rezolucji. Pani de Bargeton miała się znaleźć w tej dziwacznej sytuacji, jak znalazło się w niej wiele kobiet, które się zgubiły dopiero w następstwie niesłusznego oskarżenia.

W początkach namiętności, przeszkody przerażają ludzi niedoświadczonych: te zaś, z któremi spotkała się para kochanków, były bardzo podobne do więzów, któremi Lilipuci skrępowali Guliwera. Były to same „nic“, mnożące się w takiej ilości, iż czyniły każde poruszenie niemożliwem i unicestwiały najgwałtowniejsze pragnienia. I tak, pani de Bargeton zawsze musiała być widzialna. Gdyby kazała zamknąć dla gości drzwi w godzinach w których bywał Lucjan, byłoby to otwarte przyznanie: na jedno wyszłoby uciec poprostu z kochankiem. Przyjmowała go, to prawda, w buduarze, z którym był tak oswojony iż czuł się w nim jakgdyby panem; ale drzwi były cały czas skrupulatnie otwarte. Wszystko odbywało się najcnotliwiej w świecie. Pan de Bargeton snuł się po domu jak chrząszczyk, nie przypuszczając aby żona życzyła sobie zostać sam na sam z Lucjanem. Gdyby nie było innej

zapory prócz męża, Nais mogłaby doskonale wyprawić go lub zatrudnić; ale miała równocześnie pełno wizyt, a liczba odwiedzających rosła w miarę jak wzmagał się pieprzyk ciekawości. Mieszkańcy prowincji są z natury przekorni, lubią przeszkadzać rodzącym się uczuciom. Służba łaziła po domu, nie wołana i nie pukając, wskutek oddawna przyjętych zwyczajów, którym kobieta nie mająca nic do ukrywania pozwoliła się zakorzenić. Zmieniać coś w porządku domu, czyż nie byłoby jawnem przyznaniem się do miłostki, co do której Angoulême było jeszcze w niepewności? Pani de Bargeton nie mogła uczynić kroku poza domem, żeby miasto całe nie wiedziało dokąd się udaje. Przechadzać się sam na sam z Lucjanem za miastem byłoby postępkiem zupełnie niedwuznacznym: mniej już niebezpieczne byłoby zamknąć się z nim u siebie w domu. Gdyby Lucjan został po północy u pani de Bargeton sam, gadanoby o tem natychmiast nazajutrz. Tak więc, wewnątrz i zewnątrz, pani de Bargeton żyła ciągle na widowni. Te szczegóły malują całą prowincję: błędy są tam albo publiczne, albo niemożliwe.

Luiza, jak wszystkie kobiety porwane namiętnością a nie mające doświadczenia, ogarniała kolejno wszystkie trudności swego położenia; przerażały ją. Przestrach jej odbijał się wówczas w owych miłosnych dyskusjach, które pochłaniają najpiękniejsze godziny sam na sam. Pani de Bargeton nie miała majątku ziemskiego, dokądby mogła uwieźć swego kochanego poetę, jak czynią niekiedy kobiety, które, pod zręcznie ułożonym pozorem, zagrzebują się na jakiś czas na wsi. Znużona tem życiem ciągle na

widowni, doprowadzona do ostateczności ową tyranją, której jarzmo nie równoważyło się ze słodyczami jakich kosztowała, myślała o Escarbas i zamierzała wybrać się tam do starego ojca, tak dały się jej we znaki te nędzne zapory.

Châtelet nie wierzył w tyle niewinności. Śledził godziny, w których Lucjan zjawiał się u pani de Bargeton i wkraczał w kilka chwil później, zawsze w towarzystwie pana de Chandour, człowieka najniedyskretniejszego w całem kółku. Wchodząc, puszczał go przodem, spodziewając się zawsze, iż przypadek pozwoli mu trafić na drażliwy moment. Rola jego i powodzenie planu były tem trudniejsze, iż sam musiał zostać neutralny, aby móc powodować aktorami planowanego dramatu. I tak, aby uśpić Lucjana dla którego udawał przyjaźń, oraz panią de Bargeton niepozbawioną przenikliwości, przybrał pozory człowieka, który się zaleca do Amelji. Aby sobie zapewnić lepszą służbę szpiegowską dokoła Luizy i Lucjana, zdołał, od kilku dni, wszcząć z panem de Chandour spór na temat zakochanej pary. Châtelet twierdził, iż pani de Bargeton żartuje sobie z Lucjana, że jest zbyt dumna, zbyt wysoko urodzona, aby się zniżyć do aptekarskiego synka. Ta rola niedowiarka odpowiadała planowi jaki sobie zakreślił: chciał uchodzić za obrońcę pani de Bargeton. Stanisław utrzymywał, że Lucjan nie jest trzymany tak krótko. Amelja podsycała dyskusję, chcąc dowiedzieć się prawdy. Każdy dawał swoje racje. Jak zdarza się w małych miasteczkach, często parę bliskich osób trafiało na moment rozmowy, gdy Châtelet i Stanisław motywowali szeroko swoje opinje zapomocą nader bystrych argumentów. Zrozumiałe jest, że

każdy z przeciwników szukał partyzantów, zapytując pierwszego z brzegu: „A pan, jakie pańskie zdanie?“ Ta kontrowersja czyniła panią de Bargeton i Lucjana przedmiotem nieustannej obserwacji.

Jednego dnia, w dyskusji, Châtelet zwrócił uwagę, że, ilekroć pan de Chandour i on zjawiają się u pani de Bargeton podczas wizyty Lucjana, żaden szczegół nie zdradza jakichś podejrzanych stosunków: drzwi są otwarte, służba wchodzi, wychodzi, nic tajemniczego nie zwiastuje uroczych występków miłości, etc. Stanisław, który miał porządną dawkę głupoty, postanowił nazajutrz wejść na palcach, w którym to zamiarze utwierdziła go przewrotna Amelja.

Owo „nazajutrz“, był to u Lucjana dzień, w którym młodzi ludzie wyrywają sobie kilka włosów, przysięgając sami sobie nie znosić dłużej głupiego stanowiska wzdychacza. Oswoił się ze swą pozycją. Poeta, który niegdyś tak trwożliwie ujmował krzesło w poświęcanym buduarze królowej Angoulême, przeobraził się w wymagającego kochanka. Pół roku wystarczyło, aby uwierzył że jest równy Luizie, i oto chciał być jej panem. Wyszedł z domu, postanawiając sobie popełnić wszystkie szaleństwa, postawić życie na kartę, użyć wszystkich środków płomiennej wymowy, powiedzieć że obłęd go się chwyta, że nie zdolny jest począć jednej myśli ani napisać jednego wiersza. Istnieje u niektórych kobiet wstręt do powziętych z góry postanowień: wstręt, który przynosi zaszczyt delikatności ich uczuć. Lubią ustępować porywowi, ale nie ukartowanym planom. Naogół, nikt nie

chce przyjemności narzuconej. Pani de Bargeton zauważyła na czole Lucjana, w jego oczach, fizjognomji i wzięciu ów niepokój, świadczący o obmyślonym zamiarze: umyśliła sobie sparować go, trochę przez zmysł przekory, ale także przez szlachetne pojęcie miłości. Jako kobieta skłonna do przesady, przesadzała sobie wartość własnej osoby. W swoich oczach, pani de Bargeton była niby królową, Beatryczą, Laurą. Zasiadła, niby w średnich wiekach, pod baldachimem literackiego turnieju; Lucjan winien był zasłużyć ją po wielu zwycięstwach; trzeba mu było zaćmić *boskie dziecię*[10], Lamartine'a, Walter Scotta, Byrona. Szlachetna istota uważała swą miłość za pierwiastek twórczy: pragnienie, które budziła w Lucjanie, winno było stać się dlań pobudką chwały. Ten *donkiszotyzm* kobiecy jest uczuciem które niejako uświęca miłość, czyni ją użyteczną, większą, chlubniejszą. W intencji odgrywania roli Dulcynei w życiu Lucjana przez siedem do ośmiu lat, pani de Bargeton chciała, jak wiele kobiet na prowincji, kazać kupić swą osobę rodzajem lennictwa, okresem stałości, któryby jej pozwolił wypróbować kochanka.

Kiedy Lucjan podjął walkę zapomocą owych dąsów z których śmieją się kobiety wolne jeszcze sercem a które osmucają jedynie kobietę kochającą, Luiza przybrała minę pełną godności i uderzyła w jedną ze swych tyrad najeżonych wielkiemi słowami.

— Czy to mi przyrzekałeś, Lucjanie? rzekła wkońcu. Nie obciążaj tak słodkiej teraźniejszości zgryzotą, która później zatrułaby mi życie. Nie psuj przyszłości! i, powtarzam to z dumą, nie psuj teraźniejszości! Czy nie posiadasz całego

mego serca? Czegóż ci trzeba? Czyżby twoja miłość dała się powodować zmysłom, gdy najpiękniejszym przywilejem kochanej kobiety jest nakazać im milczenie? Za kogo mnie bierzesz? czy już nie jestem twoją Beatryczą? Jeżeli nie jestem dla ciebie czemś więcej niż kobietą, jestem mniej niż kobietą!

— Cóż innego mogłaby pani powiedzieć człowiekowi któregobyś nie kochała? wykrzyknął Lucjan, wściekły.

— Jeżeli nie czujesz, ile jest prawdziwej miłości w moim sposobie myślenia, nigdy nie będziesz mnie godny.

— Podajesz moją miłość w wątpliwość, aby nie musieć jej odpłacić, rzekł Lucjan, rzucając się jej do nóg i płacząc.

Biedny chłopiec płakał na dobre, widząc się skazanym na tak długą stację u wrót raju. Były to łzy poety, który czuje się upokorzony w swej potędze, łzy dziecka w rozpaczy iż odmawiają mu upragnionej zabawki.

— Nigdy mnie nie kochałaś, wykrzyknął.

— Nie wierzysz w to co mówisz, odparła mile pogłaskana tym wybuchem.

— Dowiedź zatem, że jesteś moją, rzekł Lucjan wpółprzytomny.

W tej chwili, Stanisław zjawił się niesłyszany, ujrzał Lucjana nawpół leżącego na ziemi ze łzami w oczach i z głową na kolanach Luizy. Zadowolony tym dostatecznie podejrzanym obrazem, Stanisław wykonał szybki odwrót wprost na pana Châtelet, który pozostał w progu salonu. Pani de Bargeton zerwała się żywo, ale nie dosięgła dwóch szpiegów, którzy cofnęli się szybko, jak ludzie którzy przybyli nie w porę.

— Kto tu był? spytała służby.

— Panowie de Chandour i du Châtelet, odparł Gentil, stary lokaj pani de Bargeton.

Wróciła do buduaru blada i drżąca.

— Jeżeli cię widzieli w tej pozie, jestem zgubiona, rzekła do Lucjana.

— Tem lepiej! wykrzyknął poeta.

Uśmiechnęła się na ten wykrzyknik pełnego miłości egoizmu. Na prowincji, podobna anegdota zyskuje na wadze przez sposób w jaki się ją opowiada. W jednej chwili każdy wiedział, że zaskoczono Lucjana u kolan Nais. Pan de Chandour, uszczęśliwiony ważnością jaką mu dawała ta przygoda, poszedł najpierw opowiedzieć wielki wypadek do klubu, a potem od domu do domu. Châtelet skwapliwie zaznaczał wszędzie że nic nie widział; ale, wysuwając się w ten sposób poza nawias, równocześnie podniecał Stanisława, wyciągając go na coraz drażliwsze szczegóły; Stanisław zaś, czując że ma powodzenie, dodawał za każdym razem coś nowego. Wieczorem, całe towarzystwo napłynęło do Amelji; do wieczora bowiem najprzesadniejsze wieści rozeszły się po arystokratycznem Angoulême, gdzie każdy narrator naśladował Stanisława. Wszyscy, kobiety i mężczyźni, żądni byli dowiedzieć się prawdy. Do kobiet, które zasłaniały sobie twarz wykrzykując o skandalu i zepsuciu, należały przedewszystkiem Amelja, Zefiryna, Fifi, Lolota, wszystkie mniej lub więcej obciążone niedozwolonem szczęściem. Drażliwy temat obrabiano na wszystkie tony.

— I cóż, mówiła jedna, ta biedna Nais? czy wiecie? Co

do mnie, nie wierzę; ma za sobą całe życie bez skazy; jest o wiele za dumna, aby być czem innem niż protektorką pana Chardon. Ale, jeżeli tak jest, żal mi jej z całego serca.

— Tem bardziej godna jest współczucia, że ściąga na siebie straszliwą śmieszność; ostatecznie, mogłaby być matką pana Lulu, jak go nazywał Jakób. Ten poecina ma co najwyżej dwadzieścia dwa lat, a Nais, mówiąc między nami, dobrze sięga czterdziestki.

— Co do mnie, rzekł Châtelet, uważam, że właśnie położenie, w jakiem znajdował się pan de Rubempré, dowodzi niewinności Nais. Człowiek nie pada na kolana aby prosić o to co już miał.

— To zależy! rzekł Franio filuternym tonem, który ściągnął nań karcące spojrzenie Zefiryny.

— Ale powiedzże pan wreszcie, jak to było! pytali wszyscy Stanisława, tłocząc się w poufnem kółku w kącie salonu.

Stanisław zrobił z tego wydarzenia małą powiastkę pełną domyślników, i podkreślał je gestami i pozami obciążającymi całą rzecz w wysokim stopniu.

— To nie do uwierzenia! powtarzano.

— W południe? mówiła jedna z pań.

— Nais byłaby ostatnią kobietą, którąbym podejrzewała.

— Co ona zrobi teraz?

Nastąpiły komentarze, przypuszczenia, bez końca!... Du Châtelet bronił pani de Bargeton; ale bronił tak niezręcznie, że podsycał jeszcze ogień komerażów zamiast go ugasić. Lili, zrozpaczona upadkiem najpiękniejszego anioła angulemskiego Olimpu, poszła, zapłakana, obnieść nowinę

po konsystorzu. Kiedy miasto było już dostatecznie wzburzone, szczęśliwy Châtelet udał się do pani de Bargeton, gdzie zastał, niestety! tylko jeden stolik wista; poprosił dyplomatycznie Nais o chwilę rozmowy w buduarze. Usiedli na kanapce.

— Wie pani zapewne, rzekł Châtelet przyciszonym głosem, czem zajmuje się cale Angoulême?

— Nie, odparła.

— Zanadto, rzekł, jestem pani przyjacielem, aby panią zostawić w nieświadomości. Obowiązkiem moim jest dać pani możność uśmierzenia potwarzy wymyślonych z pewnością przez Amelję, która jest natyle zuchwała, aby się uważać za twoją rywalkę. Zaszedłem dziś rano odwiedzić panią z tą małpą Stanisławem, który szedł przedemną o kilka kroków, kiedy, doszedłszy tutaj (rzekł Châtelet wskazując na drzwi), oznajmił, iż *widział* panią z panem de Rubempré w sytuacji, która nie pozwoliła mu wejść; wpadł na mnie, cały poruszony, pociągając mnie z sobą i nie dając czasu na opamiętanie się; byliśmy już w Beaulieu, kiedy mi wyjawił przyczynę swego odwrotu. Gdybym ją znał, nie byłbym się ruszył z salonu, aby oświetlić tę sprawę na pani korzyść; ale wrócić do domu raz wyszedłszy, toby nie dowodziło niczego. Teraz, czy Stanisław widział fałszywie czy miał słuszność, *trzeba aby się mylił*. Droga Nais, nie zostawiaj swego życia, honoru, przyszłości na igraszkę w rękach głupca; natychmiast trzeba go zmusić do milczenia. Zna pani moje położenie tutaj? Mimo iż potrzebuję potrosze wszystkich, jestem pani zupełnie oddany. Rozporządzaj życiem, które do ciebie należy. Jakkolwiek

odtrąciłaś moje marzenia, serce moje zawsze pozostanie twojem i w każdej sposobności potrafię ci dowieść, jak bardzo cię kocham. Tak, będę czuwał nad tobą niby wierny sługa, bez nadziei nagrody, jedynie dla przyjemności jaką znajduję w tem aby ci służyć, nawet bez twej wiedzy. Dziś rano, oświadczyłem wszędzie, że byłem w drzwiach i nie widziałem nic. Jeżeli cię spytają kto panią uprzedził o tych plotkach, powołaj się na mnie. Byłoby dla mnie zaszczytem być twym jawnym obrońcą; ale, otwarcie mówiąc, pan de Bargeton jest jedyny człowiek, który może zażądać rachunku od Stanisława... Gdyby nawet ten głuptasek Rubempré popełnił jakie szaleństwo, honor kobiety nie może być na łasce pierwszego warjata, który jej padnie do nóg. Oto, co powiedziałem.

Nais podziękowała Châteletowi skinieniem głowy i zadumała się. Czuła się znużona, aż do wstrętu, życiem prowincji. Za pierwszem słowem pana Châtelet, myśl jej spoczęła na Paryżu. Milczenie pani de Bargeton postawiło jej przemyślnego przyjaciela w kłopotliwem położeniu.

— Rozporządzaj mną pani, rzekł, powtarzam.

— Dziękuję, odparła.

— Co pani zamierza uczynić?

— Zobaczę.

Długie milczenie.

— Czy tak bardzo pani kocha tego malca?

Na ustach Nais zaigrał dumny uśmiech; zaplotła na piersiach ramiona, wodząc oczyma po ścianach buduaru. Châtelet wyszedł, nie zdoławszy odcyfrować serca wyniosłej kobiety. Kiedy Lucjan i czterej wierni starcy,

którzy przybyli na partyjkę nie dając się wzruszyć zagadkowym plotkom, pożegnali się, pani de Bargeton zatrzymała męża, który właśnie wybierał się na spoczynek, otwierając usta aby życzyć żonie dobrej nocy.

— Chodź tutaj, mój drogi, mam z tobą do pomówienia, rzekła z pewną uroczystością w głosie.

Pan de Bargeton udał się za żoną do buduaru.

— Posłuchaj, rzekła: może źle uczyniłam, roztaczając nad młodym Rubempré opiekuńczą protekcję, równie źle zrozumianą przez głupców z tego miasteczka jak przez niego samego. Dziś rano, Lucjan rzucił mi się do nóg, wyznając miłość. Stanisław wszedł w chwili gdy właśnie podnosiłam z kolan nieboraka. Depcąc obowiązki, jakie, w każdej okoliczności, delikatność nakazuje szlachcicowi wobec kobiety, rozpowiada, iż przydybał mnie w dwuznacznem położeniu z tym chłopcem, którego potraktowałam w owej chwili tak jak zasługiwał. Gdyby ten młody szaleniec znał potwarze których jego wybryk stał się powodem, znam go, spoliczkowałby Stanisława i zmusiłby go do pojedynku. Czyn ten byłby niejako publicznem wyznaniem miłości. Nie potrzebuję ci mówić, że żona twoja jest czysta; ale zrozumiesz, iż byłoby ubliżające dla ciebie i dla mnie, aby pan Rubempré był moim obrońcą. Idź w tej chwili do Stanisława i uroczyście zażądaj rachunku z obrażających plotek, które o mnie rozszerza; pamiętaj, że nie powinieneś przyjąć zadośćuczynienia, o ile nie odwoła swoich słów w obecności licznego grona. Zdobędziesz w ten sposób poklask wszystkich uczciwych ludzi: zachowasz się jak człowiek honoru, jak człowiek dzielny, i będziesz

miał prawo do mego szacunku. Wyprawię konnego posłańca do Escarbas, ojciec musi być twoim świadkiem; mimo swoich lat, wiem, że byłby zdolny zdeptać nogami tego pajaca, który kala reputację urodzonej Nègrepelisse. Przysługuje ci wybór broni; wybierz pistolety, strzelasz świetnie.

— Idę, rzekł pan de Bargeton, biorąc laskę i kapelusz.

— Dziękuję ci, rzekła małżonka wzruszona; lubię takich mężczyzn. Jesteś prawdziwy szlachcic.

Podała mu do pocałunku czoło, które starzec ucałował, wzruszony i dumny. Ta kobieta, mająca niby macierzyńskie uczucie dla swego dziecka, nie mogła wstrzymać łzy, słysząc trzask wjazdowej bramy zamykającej się za nim.

— Jak on mnie kocha! pomyślała. Biedaczysko przywiązany jest do życia, a jednak poświęciłby je dla mnie bez żalu.

Pan de Bargeton nie troszczył się o to, że nazajutrz przyjdzie mu stanąć na placu i popatrzeć zimno w skierowaną weń lufę pistoletu; nie, kłopotał się w tej chwili tylko o jedno, i drżał na tę myśl idąc do pana de Chandour.

— Co ja mu powiem? pomyślał. Nais powinna mi była dać notatkę.

I łamał sobie głowę, aby sformułować jakieś parę zdań któreby nie były śmieszne.

Ale ludzie, którzy żyją, jak pan de Bargeton, w milczeniu nałożonem ograniczeniem umysłu i szczupłością horyzontów, posiadają, w wielkich okolicznościach, zupełnie naturalną uroczystość. Ponieważ mówią mało, tem samem mało wymyka się im głupstw; ponieważ zaś długo

myślą nad tem co mają powiedzieć, nieufność do samych siebie każe im tak gruntownie wystudjować swą orację, iż wysławiają się doskonale, fenomenem podobnym owemu, który rozwiązał język oślicy Balaama. To też pan de Bargeton wywiązał się z zadania jak człowiek niepospolity. Usprawiedliwił opinję tych, którzy go uważali za filozofa ze szkoły Pytagorasa. Wkroczył do domu pana de Chandour około jedenastej i zastał liczne towarzystwo. Przywitał się w milczeniu z Amelją i uczęstował każdego swym głupim uśmiechem, który, w danych okolicznościach, wydał się głęboko ironiczny. Zapanowała wielka cisza, jak w naturze za zbliżeniem się burzy. Châtelet, który powrócił, spoglądał w bardzo znaczący sposób kolejno na pana de Bargeton i na Stanisława, do którego obrażony mąż przystąpił nader dwornie.

Châtelet zrozumiał znaczenie odwiedzin w godzinie o której starzec zwykle już spoczywał: widocznie Nais poruszała tem wątłem ramieniem, że zaś pozycja jego wobec Amelji dawała mu prawo mięszania się do spraw tego domu, wstał, wziął pana de Bargeton na stronę i rzekł:

— Chce pan mówić ze Stanisławem?

— Tak, rzekł starowina, szczęśliwy iż znalazł pośrednika, który może wyręczy go w oracji.

— Idź pan tedy do sypialnego pokoju, odparł dyrektor podatków, uszczęśliwiony z tego pojedynku, który mógł uczynić panią de Bargeton wdową, rozłączając ją zarazem z Lucjanem, przyczyną tej zwady.

— Stanisławie, rzekł Châtelet do pana de Chandour, Bargeton przybył z pewnością żądać wyjaśnień w sprawie

tego co mówiłeś o Nais. Idź do pokoju żony i zachowajcie się obaj jak przystało gentelmanom. Nie rób hałasu, okaż niewzruszoną grzeczność, słowem, rozwiń cały chłód brytyjskiej godności.

W jednej chwili, Stanisław i Châtelet znaleźli się naprzeciw Bargetona.

— Panie, rzekł obrażony mąż, pan twierdzisz, iż zastałeś panią de Bargeton w dwuznacznej sytuacji z panem de Rubempré?

— Z panem Chardon, odparł ironicznie Stanisław, który nie uważał pana de Bargeton za groźnego człowieka.

— Niech i tak będzie, odparł mąż. Otóż, jeżeli pan nie odwołasz tego w obecności towarzystwa, które jest w tej chwili w twoim domu, proszę abyś postarał się o świadka. Mój teść, pan de Nègrepelisse, zgłosi się do pana o czwartej rano. Poczyńmy obaj dyspozycje, gdyż sprawa może się załatwić tylko w sposób przezemnie wskazany. Jako strona obrażona, wybieram pistolety.

Przez całą drogę pan de Bargeton przetrawiał to przemówienie, najdłuższe jakie wygłosił w życiu, tak iż wypowiedział je bez uniesienia, w sposób najprostszy w świecie. Stanisław zbladł i rzekł sobie w duchu:

— Cóż ja ostatecznie widziałem?

Ale, między wstydem odwołania własnych słów wobec całego miasta, w obecności tego niemowy, który widocznie nie znał co to żarty, a strachem, ohydnym strachem chwytającym go palącemi rękami za gardło, wybrał niebezpieczeństwo bardziej oddalone.

— Dobrze. Do jutra, rzekł do pana de Bargeton, z myślą

iż może rzeczy jakoś się ułożą.

Trzej mężczyźni wrócili do salonu, gdzie każdy śledził wyraz ich twarzy. Châtelet uśmiechał się, pan de Bargeton był zupełnie taki jak u siebie w domu; natomiast Stanisław był blady. Na ten widok, parę kobiet odgadło przedmiot rozmowy. Słowa: „biją się“ zaczęły krążyć z ust do ust. Połowa zebrania pomyślała iż Stanisław zawinił, bladość jego i zmięszanie świadczyły o kłamstwie; druga połowa podziwiała zachowanie pana de Bargeton. Châtelet starał się być poważny i tajemniczy. Postawszy przez kilka chwil przyglądając się fizjognomjom, pan de Bargeton wysunął się.

— Czy masz pistolety, rzekł Châtelet do ucha Stanisławowi, który zadrżał.

Amelja zrozumiała wszystko; zrobiło się jej słabo, kobiety odniosły ją do sypialni. Powstał straszliwy zgiełk, wszyscy mówili naraz. Mężczyźni zostali w salonie i oświadczyli jednogłośnie, że pan de Bargeton jest w swojem prawie.

— Czy bylibyście myśleli, że ta fujara zdolna jest zachować się w ten sposób, rzekł pan de Saintot.

— Ależ, rzekł nielitościwy Jakób, toż on za młodu był jednym z najtęższych graczów w pojedynku. Ojciec często mi opowiadał o sprawkach Bargetona.

— Ba! postawcie ich o dwadzieścia kroków, i, o ile weźmiecie kawaleryjskie pistolety, nic sobie nie zrobią, rzekł Franio do Châteleta.

Skoro wszyscy się rozeszli, Châtelet dodał otuchy Stanisławowi i jego żonie, upewniając, że wszystko pójdzie

dobrze i że, w pojedynku między człowiekiem sześćdziesięcio a trzydziestosześcioletnim, ostatni ma wszelką przewagę.

Nazajutrz rano, Lucjan śniadał razem z Dawidem który wrócił z Marsac od ojca, kiedy pani Chardon weszła poruszona.

— No cóż, Lucjanie, czy wiesz nowinę, o której mówią wszyscy, nawet na targu. Pan de Bargeton o włos nie zabił pana de Chandour, dziś rano o piątej. Zdaje się, pan de Chandour opowiadał wczoraj, iż przychwycił cię z panią de Bargeton.

— To fałsz! pani de Bargeton jest niewinna, wykrzyknął Lucjan.

— Wieśniak, od którego słyszałam szczegóły, widział wszystko jadąc wózkiem. Pan de Nègrepelisse przyjechał o trzeciej rano aby służyć za świadka panu de Bargeton; powiedział panu de Chandour, że, gdyby zięciowi zdarzyło się nieszczęście, on podejmuje się go pomścić. Oficer kawalerji pożyczył pistoletów, które pan de Nègrepelisse wypróbował na kilka zawodów. Pan du Châtelet chciał się sprzeciwić przestrzeliwaniu pistoletów, ale oficer, wzięty za arbitra, powiedział, że, o ile się nie chce robić ze sprawy błazeństwa, trzeba się upewnić, że broń jest w porządku. Świadkowie ustawili przeciwników o dwadzieścia pięć kroków. Pan de Bargeton, który zachowywał się jakgdyby wyjechał na przechadzkę, strzelił pierwszy i wpakował panu de Chandour kulę w szyję, tak iż ten padł, nie mogąc nawet wystrzelić. Chirurg oświadczył przed chwilą, że pan de Chandour będzie miał szyję skrzywioną na całe życie.

Przyszłam ci opowiedzieć rezultat, abyś nie szedł do pani de Bargeton, ani nie pokazywał się w Angoulême, ktoś z przyjaciół pana de Chandour mógłby cię zaczepić.

W tej chwili wszedł Gentil, służący pani de Bargeton, wprowadzony przez ucznia z drukarni, i oddał Lucjanowi bilecik Luizy:

„Wiadomo ci zapewne, drogi Lucjanie, o wyniku pojedynku między panem de Chandour a moim mężem. Nie przyjmujemy dziś nikogo. Bądź rozsądny, nie pokazuj się, proszę cię o to w imię twego przywiązania dla mnie. Czy nie uważasz, że najlepszem zużyciem tego smutnego dnia będzie przyjść porozmawiać z twoją Beatryczą, której życie uległo, wskutek tego wypadku, zupełnej przemianie i która ma ci tysiąc rzeczy do opowiedzenia?“

— Szczęściem, rzekł Dawid, ślub mój naznaczony jest na pojutrze; będziesz miał pozór, aby mniej często pokazywać się u pani de Bargeton.

— Drogi Dawidzie, odparł Lucjan, Luiza prosi mnie abym ją odwiedził dziś jeszcze; sądzę, że trzeba być posłusznym, będzie wiedziała lepiej od nas, jak powinienem się zachować w obecnych okolicznościach.

— Wszystko zatem gotowe? spytała pani Chardon.

— Pójdźcie zobaczyć, wykrzyknął Dawid, szczęśliwy iż może pokazać przeobrażenie jakiego doznało mieszkanko na pierwszem piętrze, gdzie wszystko było świeże i nowe.

Oddychał tam ów luby duch, panujący w młodych małżeństwach, gdzie kwiat pomarańczowy i welon oblubienicy wieńczą zarazem i życie domowe, gdzie wiosna miłości odbija się w każdym sprzęcie, gdzie

wszystko jest białe, czyste i kwitnące.

— Ewa będzie tu jak księżniczka, rzekła matka; ale ty musiałeś wydać za wiele pieniędzy, porobiłeś szaleństwa!

Dawid uśmiechnął się w milczeniu; pani Chardon dotknęła palcem tajemnej rany która sprawiała straszny ból biednemu kochankowi. W wykonaniu, obliczenia tak się rozrosły, że niepodobna było dokonać przybudówki nad oficyną. Teściowa zatem długo jeszcze nie mogła mieć mieszkania, w jakie pragnął ją wprowadzić. Szlachetne dusze doświadczają najwyższego bólu, gdy im przychodzi chybić tego rodzaju przyrzeczeniom, które stanowią poniekąd małe próżnostki uczucia. Dawid ukrywał starannie swoje kłopoty, aby oszczędzać Lucjana, który mógłby odczuć brzemię poświęceń uczynionych dla niego.

— Ewa z przyjaciółkami też dzielnie pracowały, rzekła pani Chardon. Wyprawka, bielizna stołowa, wszystko gotowe. Te dziewczęta tak ją kochają, że, zupełnie bez jej wiedzy, pokryły materace białą szerszą z różowemi wypustkami. Ślicznie wygląda! aż zbiera ochota pójść za mąż!

Matka z córką zużyły wszystkie oszczędności, aby zaopatrzyć dom Dawida w rzeczy o których nie myślą nigdy młodzi ludzie. Widząc ile on rozwija zbytku — była mowa i o porcelanowym serwisie zamówionym w Limoges! — starały się utrzymać harmonję między rzeczami, które one wnoszą, a temi które kupował Dawid. Ta mała walka uczucia i hojności musiała doprowadzić do tego, iż młoda para znalazła się w kłopotach finansowych od samego początku, wśród wszystkich pozorów

skromnego dobrobytu, mogącego uchodzić za zbytek w zacofanem miasteczku jakiem było wówczas Angoulême. W chwili gdy Lucjan ujrzał iż matka i Dawid przechodzą do sypialni z obiciem w białe i niebieskie prążki, wymknął się do pani de Bargeton. Zastał Nais przy śniadaniu, z mężem, który, czując przypływ apetytu po rannej przejażdżce, zajadał bez najmniejszej troski o to co się zdarzyło. Stary domator wiejski, pan de Nègrepelisse, figura nawskroś imponująca, zabytek dawnego francuskiego rycerstwa, siedział obok córki. Kiedy Gentil oznajmił pana de Rubempré, białowłosy starzec obrzucił Lucjana badawczem spojrzeniem ojca, który ciekaw jest zdać sobie sprawę z człowieka wyróżnionego przez córkę. Nadzwyczajna uroda Lucjana uderzyła go tak żywo, iż nie mógł się wstrzymać od aprobującego spojrzenia; ale zdawał się widzieć w stosunku córki raczej miłostkę, kaprys, niż trwałe uczucie. Skoro śniadanie miało się ku końcowi, Luiza wstała, zostawiając ojca i pana de Bargeton, oraz dając znak Lucjanowi aby się udał za nią.

— Mój przyjacielu, rzekła głosem smutnym i radosnym zarazem, jadę do Paryża, ojciec zaś zabiera pana de Bargeton do Escarbas, gdzie zostanie przez czas mej nieobecności. Pani d‘Espard, z domu Blamont-Chauvry, z którą jesteśmy spokrewnieni przez d‘Espardów, starszą linją rodziny Nègrepelisse, jest w tej chwili bardzo wpływowa, i sama przez się i przez krewnych. Jeżeli raczy przyznać się do nas, będę trzymała się jej towarzystwa: mogłaby wpływem swoim uzyskać jakieś miejsce dla pana de Bargeton. Wskutek mych starań, mógłby dwór życzyć go

sobie jako posła z Charenty, coby się przyczyniło do jego wyboru tutaj. Poselstwo mogłoby później dopomódz mi w moich krokach w Paryżu. To ty, drogie dziecko, natchnąłeś mnie myślą o zmianie egzystencji. Dzisiejszy pojedynek zmusza mnie do zamknięcia domu na jakiś czas, znajdą się bowiem ludzie, którzy staną po stronie Chandourów. W położeniu w jakiem się znajdujemy, w małem miasteczku, takie zniknięcie zawsze jest potrzebne aby pozwolić usnąć nienawiściom. Ale, albo powiedzie mi się i nie ujrzę już Angoulême, albo nie powiedzie mi się, wówczas chcę czekać w Paryżu momentu, kiedy będę mogła spędzać lato w Escarbas, a zimę w Paryżu. To jedyny tryb życia dla kobiety mego stanowiska, i zbyt późno zdecydowałam się na to. Dzień jeden wystarczy na wszystkie przygotowania, wyjadę jutro w nocy, a ty będziesz mi towarzyszył, nieprawdaż? Pojedziesz naprzód. Pomiędzy Mansle a Ruffec wezmę cię do powozu i niebawem staniemy w Paryżu. Tam, drogi mój, jest życie dla ludzi wyższych. Można się czuć dobrze jedynie wśród równych sobie, wszędzie indziej jest tylko męka. Zresztą, Paryż, stolica intelektualnego świata, jest naturalnym teatrem twych sukcesów; przebądź corychlej przestrzeń jaka cię od nich dzieli. Nie pozwól myślom twoim pleśnieć na prowincji, spoufal się szybko z wielkimi ludźmi, którzy będą kiedyś wyrazem XIX wieku. Zbliż się do dworu i do władzy. Godności ani zaszczyty nie przyjdą szukać talentu, który kwasi się w małem miasteczku. Wymień mi zresztą jakieś wielkie dzieła dokonane na prowincji? Popatrz, przeciwnie, na szczytnego i biednego Jana Jakóba, jak go nieprzeparcie

pociąga owo słońce duchowe, które tworzy chwałę, rozżarzając umysły tarciem współzawodnictwa. Czyż nie powinieneś corychlej zająć miejsca w plejadzie, jaka skupia się w każdej epoce? Nie masz wyobrażenia, jak pożyteczne jest dla młodego talentu dostać się na widownię dzięki wysokim stosunkom. Wprowadzę cię do pani d‘Espard: nie jest łatwo dostać się do jej salonu, gdzie znajdziesz wszystkie wielkie osobistości, ministrów, ambasadorów, mówców, parów Francji, co najwpływowszych ludzi, bogatych lub sławnych. Trzebaby być bardzo niezręcznym, aby nie obudzić ich zainteresowania, kiedy się jest pięknym, młodym i pełnym genjuszu. Wielkie talenty nie znają małostek, użyczą ci swego poparcia. Skoro świat ujrzy cię na wyżynie, dzieła twoje nabędą niezmiernej ceny. Dla artystów, wielki problem do rozwiązania, to być na widoku. Znajdzie się tam dla ciebie tysiąc sposobności do fortuny: synekury, pensja z królewskiej szkatuły. Burboni tak lubią popierać nauki i sztukę! to też, bądź poetą religijnym i rojalistycznym. To nietylko cię dobrze postawi, ale stworzy ci los. Czy opozycja, czy liberalizm dają stanowiska, nagrody, i stwarzają fortunę pisarzów? Zatem, obierz odrazu dobrą drogę, i krocz tam, gdzie idą genjusze. Znasz mój sekret, zachowaj najgłębsze milczenie i gotuj się spieszyć za mną. Nie chcesz? dodała, zdziwiona milczeniem kochanka.

Lucjan, oszołomiony tym pospiesznym rzutem oka na Paryż, słysząc te kuszące słowa, miał uczucie, że dotąd żył tylko połową mózgu: zdawało mu się, iż druga połowa odsłania się w tej chwili, tak dalece rozszerzył się jego

horyzont. Ujrzał samego siebie w Angoulême, niby żabę pod kamieniem w bajorze. Paryż i jego przepychy, Paryż, który odbija się w prowincjonalnych wyobraźniach niby Eldorado, ukazał mu się w złotolitej szacie, z głową opasaną królewskimi klejnotami, z ramionami otwartemi dla talentów. Znakomici ludzie mieli go przygarnąć braterskim uściskiem. Tam, wszystko uśmiecha się genjuszowi. Tam, niema ani zazdrosnych szlachetków silących się zatrutemi słówkami upokorzyć pisarza, ani tępej obojętności dla poezji. Stamtąd tryskają dzieła poetów; tam płaci się je i stawia na świeczniku. Przeczytawszy pierwsze stronice *Gwardzisty Karola IX-go*, księgarze otworzą kasy i rzekną: „Ile pan żąda?“ Rozumiał zresztą, iż, po podróży w której skojarzą ich same okoliczności, pani de Bargeton będzie zupełnie jego, że będą żyli ze sobą.

Na te słowa: „Nie chcesz?“ odpowiedział łzą, objął Luizę, przycisnął ją do serca i pocentkował jej szyję namiętnemi pocałunkami. Następnie, zatrzymał się, uderzony nagłem przypomnieniem i wykrzyknął:

— Boże, pojutrze ślub siostry!

Był to ostatni krzyk szlachetnego i czystego dziecka. Owe potężne więzy jakie wiążą młodych ludzi do rodziny, do pierwszego przyjaciela, do wszystkich pierwocin uczuć, miał ugodzić straszliwy cios siekiery.

— Więc cóż, wykrzyknęła dumna Nègrepelisse, i cóż ma wspólnego ślub siostry ze sprawą naszej miłości? Tak zależy ci na tem, aby być wodzirejem hulających mieszczan i robotników, że nie możesz się dla mnie wyrzec tych

szczytnych rozkoszy? Piękne poświęcenie! rzekła ze wzgardą. Wysłałam dziś rano męża, aby się bił za pana. Odejdź, opuść mnie! omyliłam się na panu.

Wyczerpana, osunęła się na kanapę. Lucjan podbiegł ku niej, przeklinając w duchu rodzinę, Dawida i siostrę.

— Tak wierzyłam w ciebie, rzekła. Pan de Cante-Croix miał matkę, którą ubóstwiał, ale, aby uzyskać list w którym mu powiem: *Jestem zadowolona!* zginął na polu bitwy. A ty, kiedy chodzi o to aby mi towarzyszyć, nie umiesz się wyrzec kolacji weselnej!

Lucjan chciał się zabić, rozpacz jego była tak prawdziwa, tak głęboka, że Luiza przebaczyła, ale dając mu uczuć iż trzeba mu będzie okupić tę winę.

— Idź więc, rzekła wreszcie, bądź dyskretny i czekaj jutro wieczór, o północy, o sto kroków za stacją w Mansle.

Lucjanowi ziemia zdała się maleńką pod nogami, wrócił do Dawida ścigany nadzieją niby Orestes przed furjami i przewidywał tysiąc trudności, które streszczały się w tem strasznem słowie: „A pieniądze?“ Przenikliwość Dawida przerażała go do tego stopnia, iż zamknął się w swoim ładnym gabinecie, aby się ocknąć z oszołomienia w jakie wtrąciła go nowa pozycja. Trzeba tedy opuścić to mieszkanko urządzone z takim kosztem, obrócić w nicość tyle poświęceń! Lucjan pomyślał, że matka mogłaby tu zamieszkać, Dawid oszczędziłby sobie w ten sposób kosztownej budowy. Wyjazd jego jest tylko z korzyścią dla rodziny. Lucjan znalazł tysiąc przekonywujących racyj dla swej ucieczki, niema bowiem nic równie jezuickiego jak pragnienie. Natychmiast pobiegł do Houmeau, do siostry,

aby jej oznajmić swoje nowe losy i naradzić się z nią. Przechodząc koło sklepu, pomyślał, że gdyby nie było innego sposobu, pożyczyłby u ojcowskiego następcy sumę potrzebną na rok pobytu w Paryżu.

— Jeżeli będę żył obok Luizy, talar dziennie będzie dla mnie majątkiem, a to dopiero tysiąc franków na rok. A za pół roku będę przecież bogaty!

Ewa i matka wysłuchały, pod pieczęcią ścisłej tajemnicy, zwierzeń Lucjana. Obie płakały, słuchając ambitnego chłopaka; kiedy pytał o przyczynę zmartwienia, wyznały mu, że wszystko co posiadały pochłonęła bielizna stołowa i gospodarska, wyprawa Ewy i mnóstwo nabytków o których Dawid nie pomyślał. Lucjan zwierzył się z myślą o pożyczce; jakoż, pani Chardon podjęła się iść prosić Postela o tysiąc franków z rocznym terminem.

— Ale, Lucjanie, rzekła Ewa ze ściśniętem sercem, więc nie będziesz na mojem weselu? Och! wróć, zaczekam kilka dni! Przecież ona pozwoli ci wrócić tu za dwa tygodnie, skoro raz ją odwieziesz! Daruje nam jakiś tydzień, nam, któreśmy wychowały cię dla niej! Nasz związek zacząłby się pod złą wróżbą, gdyby ciebie miało brakować... Ale czy ty dosyć będziesz miał tysiąca franków? rzekła przerywając. Mimo że w swoim fraczku wyglądasz prześlicznie, masz tylko jeden! Masz tylko dwie cienkie koszule, pozostałe sześć są z grubego płótna. Masz tylko trzy batystowe krawatki, reszta ze zwykłego muślinu; chustki też nie są dość ładne. Czy znajdziesz w Paryżu siostrę któraby ci wyprała bieliznę w ciągu dnia jeśli będzie trzeba? musisz mieć więcej, koniecznie. Masz tylko jedną

parę świeżych nankinowych spodni, zeszłoroczne nadto są obcisłe, trzeba będzie sprawiać w Paryżu, a tam są ceny inne niż w Angoulême. Masz tylko dwie możliwe białe kamizelki, reszta już naprawiana. Wiesz, ja ci radzę, weź dwa tysiące.

W tej chwili, Dawid, wchodząc, usłyszał, zdaje się, ostatnie słowa, popatrzał bowiem w milczeniu na rodzeństwo.

— Nie ukrywajcie mi nic, rzekł.

— A więc, wykrzyknęła Ewa, jedzie z nią.

— Postel, rzekła pani Chardon wchodząc i nie widząc Dawida, godzi się pożyczyć tysiąc franków, ale tylko na pół roku, i żąda obligu podpisanego przez ciebie i przez szwagra; mówi że ty nie przedstawiasz żadnej gwarancji.

Matka odwróciła się, ujrzała zięcia; zapadło głębokie milczenie. Rodzina Chardonów czuła, jak dalece nadużyła Dawida. Wszyscy byli zawstydzeni. Łza zakręciła się w oku drukarza.

— Nie będziesz zatem na naszym ślubie, rzekł, nie zostaniesz z nami? A ja roztrwoniłem wszystko co miałem! Ach, Lucjanie, kiedym przynosił Ewie te biedne klejnociki jako dary ślubne, nie wiedziałem, rzekł ocierając oczy i wyjmując puzderko z kieszeni, iż przyjdzie mi żałować że je kupiłem.

Położył kilka safianowych pudełek na stole, przed teściową.

— Czemu tak wciąż myśleć o mnie? rzekła Ewa z anielskim uśmiechem, który łagodził te słowa.

— Droga mamo, rzekł drukarz, idź powiedzieć panu

Postel, że godzę się podpisać, widzę bowiem z twojej twarzy, Lucjanie, że masz stanowczy zamiar jechać.

Lucjan pochylił miękko i smutnie głowę, mówiąc po chwili:

— Nie sądźcie mnie źle, moje anioły ukochane.

Objął Ewę i Dawida, uścisnął ich, przyciągnął do siebie, dodając:

— Czekajcie rezultatów, a przekonacie się jak was kocham. Dawidzie, na co zdałby się wysoki lot naszej myśli, gdyby nie pozwolił nam wznieść się ponad małe ceremonje, w jakich prawo zamyka uczucia? Mimo oddalenia, czyż dusza moja nie będzie tutaj? czyliż myśl nas nie zjednoczy? Czyż nie mam przed sobą losu do spełnienia? Czy księgarze przyjdą tu szukać mego *Gwardzisty Karola IX-go* i *Stokrótek?* Wcześniej, później, czyż nie trzebaby mi ostatecznie zrobić tego, co robię dzisiaj? czy mogę kiedy napotkać bardziej sprzyjające okoliczności? Czy cały mój los nie jest w tem, aby, na wstępie do Paryża, dostać się do salonu margrabiny d‘Espard?

— Ma słuszność, rzekła Ewa. Ty sam, czy nie mówiłeś mi, że powinien rychło udać się do Paryża?

Dawid wziął Ewę za rękę, zaprowadził ją do ciasnej alkówki, w której sypiała od siedmiu lat, i szepnął:

— Trzeba mu dwóch tysięcy franków, wszak tak mówiłaś, najdroższa? Postel daje tylko tysiąc.

Ewa objęła narzeczonego spojrzeniem, w którem malowała się cała jej boleść.

— Słuchaj, Ewo ubóstwiana, źle rozpoczniemy życie.

Tak, wydatki moje pochłonęły wszystko co miałem. Zostają mi jedynie dwa tysiące, a połowa tego niezbędna jest aby utrzymać w ruchu drukarnię. Dać tysiąc twemu bratu, znaczy oddać chleb, narazić nasz spokój. Gdybym był sam, wiem cobym uczynił; ale jest nas dwoje. Rozstrzygnij.

Ewa, oszołomiona, rzuciła się w ramiona ukochanego, ucałowała go czule, i szepnęła mu do ucha, cała we łzach:

— Rób jakgdybyś był sam; będę pracować, aby odzyskać tę sumę!

Mimo najgorętszego pocałunku jaki narzeczeni kiedykolwiek wymienili, Dawid opuścił Ewę przybitą i poszedł do Lucjana.

— Nie martw się, rzekł, będziesz miał swoje dwa tysiące.

— Idźcie do Postela, rzekła pani Chardon, bo macie obaj podpisać weksle.

Kiedy dwaj przyjaciele wrócili, zastali Ewę i matkę modlące się na kolanach. Mimo iż wiedziały ile nadziei miał urzeczywistnić zwycięski powrót, czuły w tej chwili wszystko co tracą w tem pożegnaniu; przyszłe szczęście zdawało się im zbyt drogo okupione rozłąką, która miała złamać ich życie i wtrącić je w tysiąc obaw o Lucjana.

— Gdybyś kiedy zapomniał tę scenę, szepnął Dawid Lucjanowi, byłbyś ostatnim z ludzi.

Drukarz uznał widocznie za potrzebne wyrzec te poważne słowa; wpływ pani de Bargeton przerażał go, niemniej jak zgubna wrażliwość charakteru Lucjana, która mogła go pchnąć zarówno na złą jak na dobrą drogę. W parę chwil, Ewa przysposobiła tobołek Lucjana. Ten

Ferdynand Kortez literatury niewiele zabierał z sobą! Zatrzymał na sobie najlepszy surdut, najlepszą kamizelkę i jedną z dwu cienkich koszul. Cała bielizna, sławny frak, przybory i rękopisy tworzyły tak szczupły pakiecik, że, aby go ukryć oczom pani de Bargeton, Dawid zaproponował, iż wyśle go dyliżansem pod adresem swego korespondenta, handlarza papieru, z tem aby go przechował do dyspozycji Lucjana.

Mimo ostrożności zachowanych przez panią de Bargeton dla ukrycia wyjazdu, Châtelet dowiedział się o jej planach. Chciał wiedzieć, czy odbędzie podróż sama, czy w towarzystwie Lucjana; wysłał tedy swego lokaja do Ruffec, z poleceniem śledzenia wszystkich powozów, zmieniających konie.

— Jeżeli uwiezie swego poetę, pomyślał, mam ją!

Lucjan wyjechał nazajutrz o świcie z Dawidem, który wystarał się o kabrjolet i konia, oznajmiając iż jedzie do ojca w interesie. To kłamstewko miało, w danych okolicznościach, pozory prawdy. Przyjaciele wybrali się do Marsac, gdzie spędzili dzień u starego niedźwiedzia, następnie, wieczór, udali się za Mansle, aby tam oczekiwać pani de Bargeton, która przyjechała nad ranem. Widząc starą sześćdziesięcioletnią karocę, którą tyle razy oglądał stojącą w remizie, Lucjan doświadczył jednego z najżywszych wzruszeń w życiu; rzucił się w ramiona Dawida, który rzekł:

— Daj Boże, aby to było dla twego dobra!

Drukarz siadł z powrotem w lichy wózeczek i zniknął ze

ściśniętem sercem; miał straszne przeczucia co do losów Lucjana w Paryżu[11].

1. ↑ Tytuł dodany przez Wikiźródła.
2. ↑ Kierujący robotami w zecerni, „metrampaż“.
3. ↑ *Sécher*, suszyć, wysuszać.
4. ↑ Ten *motylek* spadający *całym ciężarem* na Lucjana, to przykład jednego z owych kwiatków, które dość często szpecą bujną wegetację stylu Balzaca.
5. ↑ Pod mianem Canalisa, Balzac mierzy, najczęściej sarkastycznie, w Lamartine‘a, którego widocznie nie lubił. Niektóre wydania niniejszej powieści kładły w tem miejscu wprost nazwisko Lamartine‘a.
6. ↑ Przekład Edwarda Leszczyńskiego.
7. ↑ *Chardon* — oset.
8. ↑ *Ojciec Goriot, Bank Nucingena etc.*
9. ↑ Whist — milczenie.
10. ↑ Tak nazwał Chateaubriand młodziutkiego Wiktora Hugo.
11. ↑ Dzieje Lucjana i pani de Bargeton w Paryżu znajdzie czytelnik w powieści p. t. *Stracone złudzenia*.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [Honoré de Balzac](#) i tłumacza: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Dwaj poeci

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wydarty
- Seboloidus
- Salicyna
- Joanna Le
- Fluokid
- Iketsi
- Rocket000
- ChrisiPK
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR
- Rei-artur
- Zanimum

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium